

**JAYNE ANN KRENTZ**

# **DOM LUSTER**

Przekład Alicja Skarbińska

## PROLOG

### *Rok wcześniej*

Halucynacje były coraz straszniejsze. Przystanęła u szczytu schodów, usiłując odzyskać spokój. Korytarz ciemnych luster rozciągał się przed nią niczym podstępny nieskończony labirynt, pełen przesuwających się cieni. Musi przejść jakoś przez te mroczne wnętrza, nim do reszty postrada zmysły.

Płaszczyzny i kąty korytarza rozmywały się i przybierały dziwne kształty, które przypominały jej wstęgę Möbiusa. Zwijają się w pętle bez końca i bez początku. Nie wiedziała, jak długo jeszcze uda jej się panować nad coraz rzadszymi przeblyskami świadomości. Marzyła o śnie, ale nie mogła poddać się wszechogarniającemu zmęczeniu. Jeszcze nie. Najpierw musi coś zrobić.

Przed chwilą wyłączono prąd. Słabe światło gwiazd sączyło się przez wąskie okienka na obu końcach długiego korytarza. Spojrzała przed siebie, na falującą podłogę, i dostrzegła smugę światła. Wiedziała, że to wejście do biblioteki. Czwarte drzwi z lewej strony.

Ogarnął ją desperacki pośpiech. Jeśli dotrze do tego promyka światła, będzie mogła zostawić wiadomość.

- Bethany? - Głos zabójcy dobiegał z cienia u stóp schodów. - Gdzie jesteś? Chcę ci pomóc. Na pewno jesteś już bardzo śpiąca.

Lodowaty dreszcz paniki zmobilizował energię, niezbędną do chwilowego pokonania efektów działania narkotyku. Zaciśnęła palce na pasku torebki, potykając się, przeszła kilka kroków korytarzem i znów przystanęła. Usiłowała przypomnieć sobie, co ma zrobić.

Wpatrywała się w najbliższe z wielu czarnych luster wiszących na ścianach. W mroku z trudem mogła dostrzec złoconą, bogato rzeźbioną ramę osiemnastowiecznego zwierciadła. W bezdennej pustce lustra szukała resztek wspomnień.

Zanim straci przytomność, koniecznie musi coś zrobić.

- Chcę ci pomóc, Bethany.

Wydawało jej się, że w starym lustrze dostrzega jakiś ruch. Może czyjś wizerunek. Biblioteka. Musi dostać się do biblioteki. Tak. O to chodzi. Musi dostać się do biblioteki, nim dopadnie ją morderca.

Na powierzchnię zanikającej pamięci wypłynęła cyfra.

Cztery.

Do biblioteki wchodziło się czwartymi drzwiami po lewej.

Z wdzięcznością myślała o cyfrze, która natchnęła ją otuchą. W świecie liczb czuła się jak w domu. Bezpieczna i szczęśliwa. W przeciwieństwie do świata ludzi i emocji, które tak komplikowały życie.

Czwarte drzwi po lewej.

Żeby tam dojść, musi przebiec między dwoma rzędami tych strasznych luster. Ta świadomość niemal ją paraliżowała.

- Nie chowaj się przede mną, Bethany. Chcę ci pomóc.

Musi to zrobić. Deke będzie potrzebował odpowiedzi. Nie spocznie, póki ich nie znajdzie. A Thomas mu w tym pomoże, bo Deke jest jego bratem, a bracia Walkerowie zawsze trzymają się razem. Nigdy do końca nie zrozumiała istoty tego związku, lecz jej logiczny umysł akceptował siłę braterskich więzów. Były równie rzeczywiste, jak relacje matematyczne.

Mobilizując nadludzkim wysiłkiem resztki woli, ruszyła w stronę promienia światła oznaczającego wejście do biblioteki.

Halucynacje były coraz intensywniejsze. W starych lustrach pulsowały dziwne stwory, osaczały ją i zapraszały, aby do nich dołączyła.

Jeszcze nie.

Zacisnęła zęby i skoncentrowała się na przesuwaniu stóp do przodu.

Nie odważyła się spojrzeć w którekolwiek ze starych ciemnych zwierciadeł w obawie, że wciągnie ją świat po drugiej stronie. Nie dlatego, że bała się tam trafić, po prostu musiała jeszcze przez kilka minut pozostać po tej stronie. Tyle się należało Deke'owi i Thomasowi.

- Bethany? Jesteś chora, chcę ci pomóc. Zabójca był na korytarzu za jej plecami.

- Już niedługo, Bethany. Halucynacje są na pewno okropne. Ale niedługo zaśniesz i wszystko się skończy.

Skupiła się na trójkącie księżycowego światła. Błyszczące kreski przyciągały ją i uspokajały. Matematyczna czystość oświetlonych światłem księżyca kątów była silnym, choć chwilowym, antidotum na halucynacje.

Weszła przez czwarte drzwi od lewej i przystanąła między regałami z książkami, usiłując coś sobie przypomnieć. Gdzieś jest małe biuro. A w biurze katalog. Oglądała go tego popołudnia. To był bardzo ważny katalog, ponieważ zawierał zdjęcia

mordercy. Musi jakoś oznaczyć to zdjęcie. Dla Deke'a i Thomasa.

Półki z książkami wyginały się i skrecały. Resztkami sił dobrnęła do biurka.

Katalog leżał na biurku, tam, gdzie go zostawiła. Otworzyła go i bezradnie wpatrywała się w pierwszą stronę. Gdzieś jest ta fotografia. Musi ją szybko znaleźć. Morderca jest już w połowie drogi.

Przewracała strony, zadowolona z tego, że widzi liczby.

Siedemdziesiąt dziewięć.

Osiemdziesiąt.

Osiemdziesiąt jeden. Znalazła. Zdjęcie mordercy.

Obok katalogu leżał długopis. Po trzech próbach udało jej się wziąć go do ręki. Nie była, oczywiście, w stanie niczego napisać, ale miała jeszcze na tyle sprawną rękę, że potrafiła narysować krzywe kółko wokół zdjęcia na osiemdziesiątej pierwszej stronie.

Przez moment siedziała nieruchomo, myśląc o czymś intensywnie.

Wiedziała, że musi zrobić coś jeszcze, aby ułatwić zadanie braciom Walkerom.

Koperta.

Uśmiechnęła się z satysfakcją na tak wyraźne wspomnienie wynurzające się z mroków niepamięci.

Koperta jest w torebce. Wyjęła ją i z trudem wsunęła do katalogu.

Co teraz? Trzeba schować katalog. Nie mogła ryzykować, że morderca go znajdzie.

- Wiem, gdzie jesteś, Bethany. Myślałaś, że uda ci się ukryć w bibliotece?

Rozejrzała się, szukając miejsca na katalog.

Pod ścianą stał wielki, drewniany, staroświecki katalog książek, z rzędami małych szufladek. Doskonale.

- Lustreczko, lustreczko, powiedz przecie - zawołał morderca od drzwi biblioteki - kto jest najmądrzejszy na świecie? Nie ty, Bethany. Ani nie Sebastian Eubanks. Ja.

Zignorowała te słowa i ukryła katalog. Deke i Thomas prędzej czy później go znajdą.

Zrobione. Poczowała ulgę. Wykonała zadanie. Teraz może zasnąć. Odwróciła się, trzymając kurczowo biurka.

W drzwiach biura ujrzała sylwetkę mordercy.

- No, Bethany, kto jest najmądrzejszy na świecie?

Bethany Walker nie odpowiedziała. Zamknęła oczy i przeszła do bezpiecznego świata po drugiej stronie lustra, gdzie obowiązywały matematyczne zasady i wszystko miało sens.

## ROZDZIAŁ 1

Błysk światła odbity w lustrze nad komodą był jedynym ostrzeżeniem, że nie jest sama w mieszkaniu zmarłej przyjaciółki. Dłonie jej zadrżały, poczuła na karku gęsią skórę.

Leonora szukała czegoś w szufladzie. Po chwili wyprostowała się, trzymając w rękach miękki jasnorożowy sweter z kaszmiru.

W drzwiach sypialni stały dwa kundle ze schroniska dla psów.

Jeden z nich był człowiekiem.

Jego szerokie bary wypełniały całe drzwi i zasłaniały widok na korytarz. Był jak drapieżnik, z pozoru chłodny i obojętny, a jednak niezwykle skoncentrowany. Nie przypominał impulsywnego młodego myśliwego, niecierpliwie oczekującego na jakąkolwiek ofiarę, lecz doświadczonego profesjonalistę, który dokładnie wybiera cel. Miał zimne szare oczy i twarz człowieka, który wiele w życiu osiągnął, choć nie przyszło mu to łatwo.

Szara bestia u jego stóp była podobna do swojego pana. Pies nie duży, ale silny. Jedno ucho miał oklapnięte, niewątpliwie w wyniku bójki. Trudno byłoby sobie wyobrazić to stworzenie łapiące wesoło piłkę. Mogłoby ją najwyżej rozerwać na strzępy i zjeść.

I pies, i jego pan sprawiali nieprzyjemne wrażenie, ale intuicja mówiła jej, żeby nie spuszczać z oczu mężczyzny. Nie widziała jego dłoni, które trzymał od niechcenia w kieszeniach szarej kurtki. Pod spodem miał cieką marynarkę, dżinsową koszulę i spodnie khaki. Na nogach duże, skórzane robocze buty.

Mężczyzna i pies byli mokrzy od deszczu, który właśnie rozpadał się nad tą częścią kalifornijskiego wybrzeża. Obaj sprawiali wrażenie, że chętnie złapałoby ją za gardło.

- Znała ją pani, czy tylko usłyszała o jej śmierci i przyszła sprawdzić, czy można coś ukraść? - spytał mężczyzna.

Miał niski, głęboki i cichy głos, przypominający pomruk psa. Postanowiła, że nie da się sprowokować.

- Kim pan jest?

- Ja spytałem pierwszy. Jest pani jej przyjaciółką? Jeśli nie, to myślę, że jest pani złodziejką, więc może odpowiedź nie jest taka ważna.

- Jak pan śmie? - Oburzenie wzięło górę nad strachem. - Nie jestem złodziejką

jestem bibliotekarką.

To dopiero głupio zabrzmiało. Ale przynajmniej umiałam się odciąć, pomyślała.

- Naprawdę? - Wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu. - Szuka pani niezwróconych książek? Nie powinna pani była zapisywać Meredith Spooner do biblioteki. Wątpię, czy zwróciła cokolwiek, co w życiu nakradła.

- Pańskie poczucie humoru pozostawia wiele do życzenia.

- Nie szukam etatu w kabarecie.

W takich sytuacjach należy zachowywać się zdecydowanie, pomyślała Leonora. Przejąć inicjatywę. Pokazać, kto tu rządzi. Okazać pewność siebie. W końcu ma doświadczenie w postępowaniu z trudnymi ludźmi. Podczas pracy w bibliotekach uniwersyteckich niejednokrotnie spotykała nieprzyjemnych klientów, od egoistycznych nadętych profesorów po gburowatych studentów.

Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi, modląc się w duchu, żeby obcy i jego pies zrobili jej przejście.

- Mam prawo tu być, czego z pewnością nie można powiedzieć o panu. - Rzuciła, uśmiechając się zimno. - Proponuję, abyśmy omówili to z przedstawicielem administracji.

- Jest zajęty. Na drugim piętrze pękła rura. Poza tym mam wrażenie, że powinniśmy porozmawiać w cztery oczy. Ma pani jakieś nazwisko?

Ani pies, ani jego pan, nie zamierzali odsunąć się od drzwi. Przystanęła więc na środku pokoju.

- Oczywiście, że mam nazwisko. Ale nie widzę powodu, dla którego miałabym je panu podawać.

- Będę zgadywał. Leonora Hutton?

- Skąd pan wie?

Wzruszył ramionami. Ten leniwy ruch ponownie zwrócił jej uwagę na ich imponującą szerokość. Zaniepokoił ją fakt, iż ją zafascynowały. Zazwyczaj męskie muskuły nie robiły na niej wrażenia. Woląla intelektualistów.

- Meredith nie miała zbyt wielu znajomych - powiedział. - Z tego, co wiem, na ogół obracała się w towarzystwie frajerów.

- Frajerów?

- Frajerów, ofiar, naiwniaków. Ludzi, których wykorzystywała, oszukiwała, naciągała. Jednak w przeciwieństwie do większości jej znajomych z Internetu, panią

zna od dość dawna. - Urwał. - To znaczy zakładając, że jest pani Eleonorą Hutton.

- No, dobrze, nazywam się Eleonora Hutton. Kim pan jest? - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- Walker. Thomas Walker. - Rzucił okiem na psa. - To jest Wrench. Na dźwięk swojego imienia Wrench przekrzywił łeb i pokazał zęby.

- Gryzie?

- Nie. - Thomasa najwyraźniej rozbawiło jej pytanie. - Wrench to słodki pies. W ogóle nie jest agresywny. W poprzednim życiu prawdopodobnie był pudlem miniaturką.

Nie uwierzyła. Jeśli Wrench miał kiedyś jakieś życie, to przeżył je jako olbrzymi średniowieczny mastiff. Postanowiła, że nie będzie się sprzeczała.

- Czekaliśmy na panią - oznajmił Thomas.

- Na mnie? - spytała przerażona.

- Od trzech dni. Przeważnie w kawiarni naprzeciwko. - Ruchem głowy wskazał okno. - To pani w zeszłym tygodniu odebrała ciało i zajęła się pogrzebem. Przypuszczałem, że prędzej czy później przyjdzie pani zrobić porządek z mieszkaniem.

- Dużo pan o mnie wie.

Uśmiechnął się w taki sposób, że Leonora miała ochotę obrócić się na pięcie i uciec. To jednak byłoby najgłupsze, pomyślała. Znała obyczaje zwierząt na tyle, by wiedzieć, iż drapieżniki podnieca uciekająca ofiara.

- Z mojego punktu widzenia stanowczo za mało.

I tak nie było dokąd uciekać. Przyparł ją do muru w tym małym, pozbawionym mebli pokoju. Postanowiła, że nie ustąpi.

- Jak pan dotarł do e - mailowej książki adresowej Meredith? - spytała.

- To było łatwe. Przyjechałem tu i zabrałem jej laptop, gdy tylko dowiedziałem się o wypadku.

Na kilka sekund zaniemówiła z oburzenia.

- Ukradł pan jej komputer? - wykrztusiła w końcu.

- Powiedzmy, że pożyczylem. - Znów ten sam zimny ponury uśmiech. - Tak samo, jak ona pożyczyla sobie półtora miliona dolarów z konta fundacji Bethany Walker.

O, cholera. Fatalnie. Defraudacja była ulubionym zajęciem Meredith, ale na ogół wybierała ofiary spośród innych oszustów i kanciarzy, którzy nie spieszyli się z powiadomianiem policji. Poza tym, według informacji Leonory, Meredith nigdy nie



kradła na taką skalę. Można się było spodziewać, że odejdzie z hukiem. I że zostawi cały ten bałagan jej.

- Jest pan z policji? - spytała podejrzliwie.

- Nie.

- Prywatny detektyw?

- Nie.

A więc nieoficjalny przedstawiciel prawa. Sama nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Chrząknęła.

- Znał pan Meredith?

- O, tak. Znałem ją. Oczywiście, jak większość ludzi, których spotkał ten zaszczyt, żałowałem tego, lecz łatwo jest żałować poniewczasie, prawda?

Teraz zrozumiała, o czym mówił.

- Był pan jednym z jej... - Urwała, szukając odpowiedniego określenia. - Znał ją pan towarzysko?

- Niezbyt długo - stwierdził sucho.

A więc był jednym z kochanków Meredith. Z jakiegoś powodu jato zmartwiło. Chociaż dlaczego miałoby jato właściwie obchodzić? Z pewnością nie był pierwszy, choć, z drugiej strony, mógł być ostatni.

- Dziwne, nie jest pan w jej typie - powiedziała bez zastanowienia. Cholera, ta uwaga była zupełnie niepotrzebna.

Choć mówiła prawdę. Meredith interesowała się wyłącznie facetami, którymi mogła manipulować. Thomas Walker na pewno nie nadawał się do roli pajacyka na sznurku, nawet przy kobiecie tak seksownej, sprytnej i wyszkolonej w technice manipulacji jak Meredith.

Jeśli ona zdawała sobie z tego sprawę, z pewnością nie usłoby to uwagi Meredith, która miała nadzwyczajny instynkt, jeśli chodzi o mężczyzn. Może dlatego powiedział, że znali się krótko?

- Meredith miała jakiś ulubiony typ? - Thomas zdawał się być lekko zdziwiony tą informacją. Po chwili znacząco pokiwał głową. - Chyba ma pani rację. Miała określone preferencje, jeśli chodzi o życie towarzyskie, prawda? O ile mi wiadomo, wybierała mężczyzn, którzy mogli jej pomóc w osiągnięciu założonych celów.

Leonora pomyślała, że być może Thomas przeżył głębokie rozczarowanie, gdy odkrył prawdziwą naturę Meredith. Złamane serce bardzo boli, a ból bywa przyczyną gniewu. Może ten człowiek cierpi na swój własny męski sposób.

Uśmiechnęła się współczująco.

- Przykro mi - powiedziała łagodnie.

- Mnie też. Więcej niż przykro. Kiedy się dowiedziałem, że zagarnęła półtora miliona dolców, byłem raczej wściekły.

No, dobrze, nie cierpiał z powodu złamanego serca, lecz z powodu pieniędzy.

- Eee... - Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- A pani? - spytał Thomas podejrzliwie przyjaznym tonem. - Ma pani jakieś miłe wspomnienia o zmarłej? Od kiedy ją pani znała?

- Poznałyśmy się na studiach. Przez wszystkie te lata byłyśmy w kontakcie, ale... - Urwała na moment i zaczęła jeszcze raz: - Ostatnio prawie jej nie widywałam.

Odkąd przyłapałam ją w łóżku z moim narzeczoną, dodała w duchu, bo nie widziała powodu, aby zwierzać się nieznajomemu.

- Miała pani szczęście. Meredith Spooner oznaczała wyłącznie kłopoty. Założę się jednak, że nie jest to dla pani nowością.

Trudno było tak od razu zerwać ze starymi przyzwyczajeniami. Instynkt, aby chronić, bronić i tłumaczyć Meredith, był silniejszy.

- Czy jest pan absolutnie pewny, że Meredith ukradła te pieniądze?

- Absolutnie.

- Jak to zrobiła?

- Bez problemu. Zatrudniła się jako urzędniczka w fundacji stypendialnej absolwentów w Eubanks College. Jako osoba zajmująca się na co dzień finansami, miała dostęp do wszystkich kont i wielu dobrze sytuowanych byłych studentów. Biorąc pod uwagę fakt, że miała charakter oszustki i znała się na komputerach, nie mam wątpliwości, że to ona zdefraudowała te pieniądze.

- Jeśli mówi pan prawdę, to po co pan tu przyjechał? Przy takiej sumie powinien pan przede wszystkim zawiadomić policję.

- Staram się unikać gliniarzy.

- Kiedy w grę wchodzi ponad milion dolarów? - Miała szansę, aby go zaatakować i niezwłocznie to uczyniła: - To bardzo podejrzane. Mam poważne wątpliwości co do pańskiej wiarygodności.

- Chcę uniknąć gliniarzy, bo pogłoski o defraudacji poważnie zaszkodziłyby fundacji. Mogłyby powstrzymać przyszłych potencjalnych sponsorów, którzy nabrałiby podejrzeń co do ludzi odpowiedzialnych za finanse fundacji. Wie pani, o co mi chodzi.

Miała spore doświadczenie w delikatnej materii zbierania pieniędzy na fundacje stypendialne, więc rozumiała jego punkt widzenia. To jednak nie był powód, by mu wierzyć. Poza tym wcale nie wyglądał na faceta, który zajmuje się fundacjami uniwersyteckimi. To na ogół domena gładkich, dobrze wychowanych mężczyzn w eleganckich garniturach, którzy potrafią zaprzyjaźnić się z bogatymi absolwentami. Uśmiechnęła się do niego najmilej, jak umiała.

- Chyba rozumiem pański problem. Teraz ja będę zgadywała. Czy to możliwe, że nie zgłosił pan tego policji, bo boi się pan, że zostanie głównym podejrzanym?

Uniósł ciemne brwi.

- Blisko, proszę pani. Nie na sto procent, ale bardzo blisko.

- Wiedziałam.

- Meredith zostawiła ślad, który, jeśli defraudacja wyjdzie na jaw, prowadzi do mojego brata, Deke'a.

- Pańskiego brata... - Zastanowiła się przez chwilę. - Gdzie znajduje się siedziba fundacji Bethany Walker?

- Jest częścią dotacji absolwentów Eubanks College. Została założona, aby wspomagać badania i nauczanie w dziedzinie matematyki.

- Eubanks? - Zmarszczyła brwi. - Nie znam tej instytucji.

- To niewielka uczelnia w małym miasteczku Wing Cove. Jakies półtorej godziny samochodem na północ od Seattle.

- Rozumiem.

- Fundacja nosi imię żony Deke'a, Bethany, genialnej matematyczki. Zmarła w zeszłym roku. Deke stoi na czele rady, która zajmuje się operacjami finansowymi fundacji i inwestycjami. Za trzy miesiące będzie kontrola. Jeśli się okaże, że brakuje pieniędzy, posądzą mojego brata o maczanie palców w defraudacji. Dzięki słodkiej Meredith.

To dla niej typowe, pomyślała Leonora. Zabezpieczenie się, żeby ofiara nie zgłosiła się na policję.

- Zdaję sobie sprawę, że to bardzo przykre dla pana i pańskiego brata. Muszę jednak powiedzieć, że jak na człowieka, który chce utrzymać całą sprawę w tajemnicy, zdradził mi pan dość dużo szczegółów.

- Bardzo mi zależy na odzyskaniu tych pieniędzy. Chcę, aby znalazły się z powrotem na koncie fundacji przed kontrolą ksiąg.

- Ale dlaczego mi pan to wszystko mówi?

- Jest pani moim głównym tropem.
- Słucham? - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.
- A raczej jest pani moim jedynym tropem. Poczula, że ogarnia ją panika.
- Przecież ja nie mam pojęcia o tych pieniądzach.
- Tak? - Nie wyglądał na przekonanego. - Załóżmy, że mówi pani prawdę...
- Mówię prawdę!
- Nawet w takim przypadku jest pani moim jedynym tropem.
- Dlaczego?
- Dlatego że, o ile mi wiadomo, znała pani Meredith lepiej niż ktokolwiek inny.

I mam nadzieję, że mi pani pomoże.

Jeszcze czego, pomyślała Leonora.

- Mówiłam już panu, że przez ostatni rok prawie nie miałam z nią kontaktu. Nawet nie wiedziałam, że pracowała w Eubanks College. I nie miałam pojęcia, że tu mieszkała, dopóki po wypadku nie zwróciła się do mnie policja.

- Coś takiego. Kierownik administracji powiedział mi, że podała pani nazwisko w referencjach.

Leonora milczała. Nie pierwszy raz Meredith skorzystała z jej nazwiska i referencji.

- Przypuszczam, że nie zamierzała zostać tu na dłużej. - Thomas rozejrzał się po prawie pustym pokoju. - Zapewne potrzebowała chwilowego mieszkania i adresu, żeby przygotować następne oszustwo.

- Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Nie jestem w stanie panu pomóc. Przyszłam tu jedynie po to, żeby zabrać rzeczy Meredith. Zamierzam je oddać do miejscowego sklepu z używanymi rzeczami. Kiedy skończę, wracam do domu. Mam rezerwację na wieczorny samolot. Jutro rano muszę być w pracy.

- Mieszka pani w Melba Creek, prawda? Koło San Diego. Usiłowała zignorować ukłucie niepokoju.

- No, dobrze, wie pan, gdzie mieszkam. Czy to ma mnie wystraszyć?

- Nie zamierzam pani straszyć. Chciałbym z panią współpracować.

- Hm.

- Mam dla pani propozycję.

- Dlaczego niby miałabym jej wysłuchać?

- Zaraz pani powiem. Po pierwsze, jeżeli będzie pani ze mną współpracowała i pomoże mi znaleźć te pieniądze, zadbam, aby dostała pani znaleźne.

- Powiedzmy prościej. Chce mnie pan przekupić, żebym zwróciła pieniądze, tak?

- Lepsze to niż więzienie za defraudację.

- Więzienie? - Odruchowo cofnęła się o krok. Wrench poruszył się i spojrzał na nią z zainteresowaniem. Znieruchomiała. - Dlaczego miałabym iść do więzienia? Sam pan mówił, że to pański brat będzie najbardziej podejrzany jeśli pieniądze się nie znajdą.

- Nie zamierzam pozwolić, aby za oszustwo Meredith obwiniono mojego brata - wycedził cicho Thomas. - Jeżeli pieniądze nie wrócą na konto przed kontrolą, postaram się, aby gliniarze zwrócili uwagę na panią.

- Jakim cudem?

- Deke jest geniuszem komputerowym. Ja nieźle znam się na finansach. Bez trudu uda nam się stworzyć ślady prowadzące od Meredith do pani.

- Do mnie? - powtórzyła, przyglądając mu się z osłupieniem. - Ależ ja nie miałam nic wspólnego z defraudacją Meredith.

- Kto wie? Może w końcu uda się to pani udowodnić, ale przedtem spotka panią wiele przykrości. Jak, na przykład, zareaguje pani pracodawca, kiedy się dowie, że jest pani zamieszana w śledztwo w sprawie oszustwa finansowego?

- Jak pan śmie mi grozić i wciągać w to wszystko?!

Wyjął rękę z kieszeni. To była bardzo duża, mocna ręka; ręka człowieka, który pracował fizycznie albo się wspinał. Nie miękka zadbana dłoń biznesmena.

Rozłożył palce, jakby dla podkreślenia faktu, że stawia ją przed faktem dokonanym.

- Nie wiem, czy pani zauważyła, ale już pani w tym tkwi. Po uszy, zresztą bardzo ładne.

- Jak pan może tak mówić?

- O ile mi wiadomo, jest pani chyba jedyną przyjaciółką Meredith. Co dla mnie oznacza także współniczkę.

- Nie byłam jej współniczką!

- Jest pani jedyną osobą, z którą przez lata utrzymywała kontakty. Jestem pewien, że przy drobnej pomocy ze strony Deke'a potrafię zrobić z pani jej współniczkę.

- Mój Boże, pan mówi serio, prawda?

- Półtora miliona dolarów i reputacja mojego brata to nie są żarty. Tak, proszę

pani, mówię jak najbardziej serio. Proszę mi pomóc odszukać te pieniądze i możemy się rozstać, nie angażując prawników.

- I gdzie ja bym miała trzymać taką sumę?

- Na razie wiem tylko, że nie ma jej na pani koncie.

- Sprawdzał pan? - spytała z niedowierzaniem.

- Gdy tylko znalazłem pani nazwisko w e - mailowej książce adresowej Meredith.

- Jak?

- Mówiłem już, że mój brat zna się na komputerach.

- To jest nielegalne. Mogłabym kazać pana aresztować.

- Coś takiego! Muszę to sobie zapamiętać na przyszłość.

- I jeszcze ma pan czelność oskarżać mnie o przestępstwo.

- Właśnie.

- Nie wierzę własnym uszom! To przekracza wszelkie wyobrażenie.

- Powinna być mi pani wdzięczna. - Sprawia! wrażenie rozbawionego. - Przypadła pani łatwiejsza część. Musi mi pani jedynie pomóc znaleźć pieniądze.

Przyglądała mu się ze zdumieniem.

- A jaka jest część trudniejsza? Przekazanie ich z powrotem na konto fundacji?

- Nie, to proste. Trudniej będzie przekonać mojego brata, że Meredith Spooner nie została zamordowana.

Powietrze uleciało z niej jak z balonika. Była tak zaskoczona, że miała w głowie kompletną pustkę.

- Policja nic nie mówiła o morderstwie - wyjąkała w końcu.

- Dlatego że nie znaleźli niczego, co sugerowałoby, iż nie był to zwykły wypadek. Zapewne nie było nic do znalezienia - dodał.

Miała wrażenie, że już od jakiegoś czasu powtarzał komuś te same argumenty.

- Ale pański brat uważa inaczej, tak?

- Deke jest... - Urwał, najwyraźniej szukając właściwego słowa. - Niektórzy ludzie uważają że ma obsesję na temat śmierci swojej żony w zeszłym roku. Jest przekonany, że została zamordowana. Kiedy się dowiedział o wypadku Meredith, doszedł do wniosku, że to dzieło tego samego mordercy.

- Dobry Boże! A jakie jest pana zdanie?

Thomas milczał przez chwilę. Wrench oparł mu się ciężko o nogę, jakby chciał okazać poparcie.

Myślała, że zbagatelizuje jej pytanie ze wszystkimi nieprzyjemnymi implikacjami, a on tymczasem potrząsnął głową i powiedział:

- Nie wiem.

- Nie wie pan? Co to znaczy? Rozmawiamy o morderstwie.

- Kiedy rok temu Bethany zmarła, wydawało mi się, że w jej śmierci nie ma nic podejrzanego. Oficjalnie stwierdzono samobójstwo. Nie znaleziono żadnych śladów przemocy czy jakiegokolwiek interwencji drugiego człowieka.

- Zostawiła list?

- Nie, ale samobójcy często nie zostawiają listów.

- Samobójstwo jest zawsze bardzo trudne do zaakceptowania dla bliskich. Nic dziwnego, że pański brat szuka innych wyjaśnień. Co takiego jednak, zdaniem pańskiego brata, wskazuje na związek między śmiercią jego żony a Meredith?

- Niewiele - przyznał Thomas. - Meredith zjawiała się w Wing Cove dopiero pół roku po śmierci Bethany. Obie kobiety się nie znały. Deke dopatruje się śladów, które nie istnieją. Uważam, że jedyna rzecz, która łączyła Meredith i Bethany, to fakt, iż obie spędzały dużo czasu w Domu Luster.

- Co to jest Dom Luster?

- Tam jest główna siedziba Stowarzyszenia Absolwentów Eubanks College.

- I to wszystko? Pracowały w tym samym budynku? To jedyny związek?

Zawahał się na moment.

- Jedyny konkretny.

- Nie mam nic przeciwko pańskiemu bratu, ale to bardzo słaba poszlaka.

- Zdaję sobie z tego sprawę - stwierdził ponuro Thomas. - Jak już mówiłem, Deke nie może się pogodzić ze śmiercią Bethany. Usiłowałem wytłumaczyć mu bezsens tych teorii spiskowych i przez jakiś czas myślałem, że robię postępy. Przynajmniej zaczął wychodzić z depresji. Jednak śmierć Meredith sprawiła, że znów snuje swoje teorie.

Przypomniała sobie, co mówił wcześniej.

- Chwileczkę. Powiedział pan, że jedynym konkretnym ogniwem jest fakt, że Bethany i Meredith pracowały w tym samym miejscu. A czy nie ma innych, mniej konkretnych śladów?

- Być może są - odparł powoli. - Przynajmniej jeden.

Ta wyraźna niechęć do wdawania się w szczegóły oznaczała, że nie do końca zgadzał się ze spiskową teorią brata, lecz czuł się zobowiązany, aby nadać jej cech

wiarygodności. Rodzinna lojalność. Dobrze wiedziała, jak to jest.

- Jaki? - spytała, gdy wciąż milczał.

- Po pogrzebie ludzie mówili różne rzeczy.

- Jakie rzeczy?

- Że Bethany eksperymentowała z narkotykami, mniej więcej w tym czasie, kiedy popełniła samobójstwo - odparł niechętnie. - Deke i ja uważamy, że to niemożliwe.

- Czy w czasie sekcji zrobiono badanie na zawartość narkotyków?

- Zrobiono rutynowe próby, ale nie było powodu, by szukać czegoś nieznanego, co wymagałoby wielu specjalistycznych i kosztownych badań. Budżet policji i lekarza sądowego w małym miasteczku nie pozwalają na dodatkowe testy, jeżeli nie ma poważnych wątpliwości co do przyczyny śmierci. Bethany nigdy nie zażywała narkotyków. Deke miał wątpliwości co do sposobu, w jaki zmarła, lecz nie dotyczyły one narkotyków. Teraz nic już nie można zrobić. Ciało Bethany zostało skremowane zgodnie z jej życzeniem.

- Meredith zginęła w wypadku. Nie zachodziło podejrzenie ani o używanie alkoholu, ani narkotyków. W jaki sposób plotki połączyły obie te śmierci?

- Kiedy do Wing Cove dotarła wiadomość o wypadku, mówiono, że Meredith zażywała narkotyki, kiedy tam mieszkała.

- Nie - powiedziała stanowczo Leonora. Spojrzał na nią, mrużąc oczy.

- Nie? Jest pani pewna?

- O, tak. Na sto procent. Meredith miała swoje wady, ale na pewno niczego nie brała. Jej matka umarła na skutek przedawkowania.

- Aha.

Thomas nic więcej nie powiedział. Nad czymś się zastanawiał. A Wrench się nudził.

- Wypadki stale się zdarzają. - Nie wiedziała, kogo chciała przekonać. - A poza tym nie ma motywu morderstwa.

- Tego bym nie powiedział. Półtora miliona dolców to kupa forsy. Załóżmy, że Meredith miała współnika. Kogoś, kto nie chciał się podzielić pieniędzmi.

Poczula się, jakby mknęła tunelem do środka ziemi.

- Po raz ostatni mówię panu, że nie byłam jej współniczką - powiedziała sucho.

- I nie miałam pojęcia o tej defraudacji, której, jak pan twierdzi, dokonała w Eubanks College.



- Więc niech mi to pani udowodni i pomoże odzyskać pieniądze.
- Pan mi grozi. To mi się nie podoba.
- Obiecałem pani duże znaleźne - przypomniał. - Proszę to traktować jako taktykę kija i marchewki.
- Chciałabym skończyć pakowanie rzeczy Meredith - rzuciła lodowato.
- O, właśnie, chciałem o coś zapytać.
- O co?
- Dlaczego to pani się tu zjawiała? Dlaczego to pani ma opróżnić mieszkanie i zająć się wszystkimi sprawami Meredith Spooner?

Leonora spojrzała na puste ściany i bezosobowe wyposażenie pokoju. Trudno jej było wyobrazić sobie, że żywiołowa i wiecznie podekscytowana Meredith spędziła ostatnie dni życia w tak bezbarwnym, nieciekawym wnętrzu.

Leonora poczuła wielki smutek. Meredith była silną osobowością, często ją złościła. Zawsze, gdy się pojawiała, wraz z nią zjawiały się problemy. Ale po jej śmierci świat stał się mniej kolorowy.

- Nie ma nikogo innego - powiedziała.

## ROZDZIAŁ 2

We wnętrzu domu Deke'a panowała wieczna noc. Zasłony we wszystkich oknach były szczelnie zasunięte, choć niskie, szare, listopadowe niebo nie obiecywało światła słońca. Ponury mrok rozjaśniała jedynie niesamowita poświata obrazu komputera. Odbijała się w okularach, w złotych oprawkach Deke'a i niezdrowym blaskiem oświetlała jego twarz i potarganą brodę.

Thomas siedział w skórzanym fotelu po drugiej stronie biurka, z filiżanką kawy, psem wyciągniętym u stóp i w podłym nastroju. Myślał, że udało mu się wyciągnąć Deke'a z otchłani komputerowego świata, jednak gdy doszła do nich wiadomość o śmierci Meredith Spooner, Deke natychmiast pogrążył się w szukaniu dowodów na to, że Bethany została zamordowana.

- Leonora Hutton zjawiała się w mieszkaniu Meredith? - spytał Deke z entuzjazmem, który ranił Thomasowi serce. - Tak jak się spodziewałeś?

- Tak. Powiedziała, że przysłała, by spakować rzeczy Meredith.

- I co? Pomoże nam?

- Nie wiem.

- Co to znaczy? Mówiłeś, że jest naszym jedynym tropem.

- Tak. - Zawahał się. - Ale ona nie jest taka, jak myślałem.

- Dlaczego?

Thomas przypomniał sobie, jakie wrażenie wywarła na nim Leonora. Myślał o niej przez prawie całą podróż powrotną do Wing Cove i większość nocy. Mimo usilnych starań nie udawało mu się jej w żaden sposób zasufladkować.

- Nie jest taka jak Meredith - powiedział. - W gruncie rzeczy jest jej całkowitym przeciwieństwem. Odwrotnością. Jak dzień i noc.

Jeśli Meredith, z miodowym akcentem z Teksasu, złotoblond włosami i oczami koloru letniego nieba, była dniem, Leonora przypominała noc.

- Dobra i zła bliźniaczka? - zasugerował Deke.

- Wierz mi, te dwie nigdy nie były bliźniaczkami.

Nadal przesładowało go wspomnienie Leonory. Widział ją oczami wyobraźni; miała na sobie ciemnozielone spodnie i zielony sweter. Ciemne włosy splecione w francuski warkocz. Stylowe okulary w czarnej oprawce podkreślały zielone oczy i regularne rysy inteligentnej twarzy, której - z jakiegoś niezrozumiałego powodu - nie mógł zapomnieć. Z najwyższym trudem udawało mu się wczoraj odwrócić od niej

wzrok choćby na parę sekund. Nie była umalowana. Na pewno nie wykorzystywała swojego wyglądu tak, jak robiła to Meredith.

Wiedział jedno - Leonora pod jednym względem była taka sama jak on. Zawsze zmierzała do wyznaczonego celu. I łatwo z niego nie rezygnowała.

- Co powiedziała na znaleźne? - spytał Deke.

- Nazwała je łapówką. Wtedy dałem jej do zrozumienia, że jeśli zajmie się tym policja, mogą ją zacząć podejrzewać, ponieważ była dobrą przyjaciółką Meredith.

- I co ona na to? - zapytał zaskoczony Deke.

- Chyba nie lubi, jak się jej grozi.

- To mnie zupełnie nie dziwi. - Deke wpatrywał się w świecący monitor, który traktował jak wyrocznię. - Zastanawiałem się nad tymi pieniędzmi.

- I co?

- W pewnym sensie to jest nasz najmniejszy problem.

- Wiesz co, Deke, kiedy kontrola wykaże brak półtora miliona dolarów, problem będzie dość duży.

- Wpłacę pieniądze przed kontrolą. Nikt się nie dowie, że zostały zdefraudowane.

- Wpłacisz? Jak? Skąd weźmiesz taką sumę?

- Zlikwiduję część wkładów bankowych.

- Na pewno nie - powiedział cicho Thomas. - Jestem twoim doradcą finansowym i się na to nie zgadzam.

- Zarobię te pieniądze. Wezmę kilka zleceń konsultingowych.

- Nie ma mowy. Meredith Spooner ukradła te pieniądze, a myje odzyskamy.

Deke uśmiechnął się lekko.

- Co?

- Nic. Masz taką samą obsesję na punkcie tych pieniędzy, jak ja na punkcie morderstwa Bethany.

- Tu chodzi o zasady.

- Tak, tak, zasady są najważniejsze. Thomas rozparł się w fotelu.

- Wiesz, jak o nas tutaj mówią? „Zwariowani bracia Walkerowie”.

- Słyszałem.

Przez jakiś czas siedzieli w ponurym milczeniu. Wrench przeciągnął się, nieznacznie zmienił pozycję i znów zasnął.

- Musimy odnaleźć te pieniądze - stwierdził w końcu Thomas. - To jedyna

możliwość, żebyśmy się przekonali, czy masz rację, twierdząc, że Bethany i Meredith zostały zamordowane.

- Co takiego? Zaczynasz wierzyć w moją teorię spiskową?

- Powiedzmy, że rozmowa z Leonorą sprowokowała kilka pytań, na które chciałbym poznać odpowiedzi.

- Jakich pytań?

- Słyszałeś o narkotykach? Deke zacisnął dłoń na ołówku.

- Co takiego? Bethany nie brała żadnych narkotyków. Thomas pochylił się i podrapał psa za uszami.

- Leonora Hutton twierdzi, że Meredith też niczego nie brała.

- Naprawdę? - Deke odłożył ołówek, usiadł prosto i przecesał palcami rozwichrzoną brodę. - A jednak o niej też. krążą plotki. To bardzo ciekawe.

- Aha - mruknął Thomas.

- Znałeś bliżej Meredith. Co sądzisz o tych plotkach na temat narkotyków?

Thomas zawahał się. Okazało się, że można pójść kilka razy z kimś do łóżka i nie wiedzieć, czy coś bierze. Mógł jedynie powiedzieć, że nie zażywała niczego w jego obecności i że nigdy nie zachowywała się tak, jakby była pod wpływem narkotyków.

- Nie jestem pewien, ale uważam, że Meredith Spooner była zbyt zaangażowana w swoje oszustwa, aby ryzykować kłopoty związane z narkotykami - stwierdził.

- Tak jak Bethany. Była zbyt skoncentrowana na pracy, żeby zajmować się czymś innym. Przynajmniej, że to dowód na kolejny związek między nimi.

- No, dobrze - przyznał z westchnieniem Thomas. - Mamy dwa powiązania. Być może. Obie kobiety spędzały dużo czasu w Domu Luster i obie podejrzewa się o zażywanie narkotyków, choć nie ma żadnych dowodów, że w chwili śmierci były pod ich wpływem. Ponadto każdy, kto je znał, upiera się, że w ogóle nie miały z nimi nic wspólnego.

Zapadła chwila milczenia.

- To w sumie niewiele, prawda? - mruknął Deke.

- Nie.

- Może Leonora Hutten okaże się kluczem do sprawy. Thomas milczał. Nie był pewien, czy chciałby, aby tak było.

Nim Thomas i Wrench wyszli od Deke'a, deszcz przestał padać, choć w powietrzu nadal czuć było przejmującą wilgoć. Niskie ciężkie chmury przysłaniały

resztki dziennego światła. Z jodeł kapały krople wody, a trawę na brzegu ścieżki pokrywała warstwa błota. Powierzchnia lodowatej wody w zatoce burzyła się, jakby jakiś potwór zamieszkujący pod wodą szukał ofiary.

Thomas założył psu smycz i razem ruszyli do domu. Wrench nie potrzebował smyczy, ale ludzie denerwowali się, gdy biegał luzem. Thomas ich rozumiał. Jego samego czasem też źle odbierano. Może dlatego tak łatwo dogadali się z Wrenchem. Obaj byli niewinnymi ofiarami genetycznego dziedzictwa.

Wybrukowana ścieżka wiodła wzdłuż zatoki. O tej porze było na niej dość dużo ludzi. Biegacze i chodźiarze dosłownie przepychali się obok siebie. Ci, którzy jak Thomas i Wrench, szli wolniej, musieli ustępować bardziej zaciętym sportowcom.

Psy zażywały wieczornego spaceru. Wrench potwierdził znajomość z labradorem koloru czekolady i retrieverem, grzecznie ignorując białą futrzaną kulkę, która bardzo chciała się z nim zaprzyjaźnić.

Wing Cove<sup>\*1</sup> leżało na gęsto zalesionym terenie obok Puget Sound<sup>\*\*</sup>. Thomas pomyślał, że w innych okolicznościach to miejsce podobałoby mu się znacznie bardziej, mimo że miało charakter miasteczka akademickiego. Zatoka, zgodnie ze swą nazwą, przypominała kształtem skrzydła mewy w locie. W najszerszym miejscu znajdowało się ujście do cieśniny. Miasteczko leżało na najdalszym skraju skrzydła. Garstka domów i chat była rozrzucona po zalesionych wzgórzach, które wznosiły się nad brzegiem.

Wrench pociągnął go do wąskiego mostku, który przecinał zatokę w środku skrzydła. Drewniany mostek był skrótom na drugą stronę. Mniej entuzjastycznie nastawieni sportowcy nie musieli dzięki niemu biec przez miasto ani do wejścia do zatoki, gdzie był wiadukt nad autostradą.

Kiedy zeszli z mostku na drugą stronę, Thomas zobaczył białego sedana z niebiesko - złotym logo policji z Wing Cove, zaparkowanego obok ścieżki.

Za kółkiem siedział Ed Stovall, szef miejscowej policji. Thomas uniósł rękę na powitanie. Ed otworzył okno i skinął głową.

- Dobry wieczór - powiedział głośno.

Był to niski, krępy mężczyzna z przerzedzonymi włosami i całkowitym brakiem poczucia humoru. Thomasowi zawsze wydawał się trochę sztywny. Uważał go za niedoszłego, sfrustrowanego oficera albo za byłego żołnierza marines.

Z drugiej strony Deke i Thomas byli uprzedzeni do Stovalla. Po śmierci

---

<sup>1\*</sup> *Wing fang.*) - skrzydło, *cove* (ang.) - zatoka (przyp. tłum.).

<sup>\*\*</sup>*Sound* (ang.) - cieśnina (przyp. tłum.).

Bethany nieraz się ścierali.

Ed prowadził śledztwo. Kiedy przyjął, że Bethany popełniła samobójstwo, wszyscy, łącznie z lekarzem sądowym, poszli za jego przykładem. Deke protestował. Głośno. Stovall nie był szczególnie zadowolony, gdy Deke upierał się, że w Wing Cove grasuje niezidentyfikowany morderca.

Władze uczelniane także nie były zachwycone spiskową teorią Deke'a. Eubanks College był największym pracodawcą w Wing Cove i dyktował zasady. Członkowie zarządu i studenci stanowili konserwatywne środowisko. Zdaniem Thomasa administracja uczelni miała obsesję na punkcie reputacji. Musiał jednak przyznać, że rozumiał ich punkt widzenia, gdy chodziło o bezpieczeństwo na terenie kampusu. Rodzice nie lubili miejsc, które mogły być uważane za niebezpieczne. Po prostu posyłałi swoje dzieci gdzie indziej. A w małej uczelni, takiej jak Eubanks College, liczyło się każde czesne.

Thomas, mimo że rozumiał stanowisko Stovalla i władz uczelni, nie miał wyboru i popierał żądania brata, aby przeprowadzić bardziej szczegółowe śledztwo w sprawie śmierci Bethany. Bracia występowali solidarnie, choć jeden z nich był pewien, że drugi zwariował.

- Witaj, Ed. - Thomas przystanął przy otwartym oknie samochodu. Wrench obwąchał przednie koło. - Pilnuje pan, żeby biegacze nie przekraczali szybkości?

Ed nie uśmiechnął się. Thomas jeszcze nigdy nie widział jego uśmiechu.

- Miałem parę wolnych minut - mruknął Ed poważnie. - Kupiłem sobie kawę. Przyjechałem tutaj, aby ją wypić. Ładnie tu o tej porze.

Thomas zauważył, że Ed nie patrzy na niego, lecz na tłum na ścieżce. Podążył za jego wzrokiem i zobaczył, że Ed obserwuje kobietę w jasnym dresie, która maszeruje zdecydowanym krokiem skrajem ścieżki. Zbliżała się do czterdziestki i była na swój sposób atrakcyjna. Koncentrowała się na marszu. Thomas miał wrażenie, że usiłuje pozbyć się jakiegoś poważnego stresu.

Rzucił okiem na Eda i rozpoznał wyraz jego twarzy. Każdy mężczyzna by rozpoznał. Ed był zdecydowanie zainteresowany panią w jasnym dresie. Thomas przez chwilę poczuł współczucie, lecz zaraz przypomniał sobie, że to przecież Ed, który uważa jego brata za wariata.

- Znajoma? - spytał.

- Rozmawialiśmy kilka razy - mruknął Ed od niechcienia. - Oboje często chodzimy do Hidden Cove.

Hidden Cove była jedną z dwóch księgarni w mieście. Thomas trochę się zdziwił, że Ed czyta książki. Na pewno techniczno - wojskowe, thrillery i kryminały.

Thomas przyglądał się kobiecie.

- Kto to jest?

- Elissa Kern. Córka profesora Kerna.

- Nie wiedziałem, że ma córkę.

- Elissa mówiła mi, że jej rodzice rozwiedli się, gdy miała pięć lat. Ona wyjechała z matką. Przez długi czas nie widziała tatusia. Elissa też się rozwiodła w zeszłym roku. Wróciła tu, żeby poznać bliżej ojca. - Ed przełknął łyk kawy. - Chyba jej się nie udało. Kem ma problem z alkoholem. Nie wyrzucili go z pracy, bo ma stały etat.

- Słyszałem.

Wszyscy wiedzieli, że doktor Osmond J. Kern, wybitny profesor matematyki, powoli zapija się na śmierć. Bethany była admiratorką Kerna i zawsze mówiła o nim z szacunkiem i podziwem. Profesor zasłynął trzydzieści lat temu pracą na temat algorytmu, która wygrała prestiżowe nagrody i okazała się niesłychanie ważna dla przemysłu komputerowego. Thomas nie słyszał, żeby od tamtej pory zrobił coś znaczącego. Nie musiał zresztą nic robić, jedynie pokazać się od czasu do czasu na seminarium czy ćwiczeniach ze studentami. Jak stwierdził Ed, praca Kerna na temat algorytmu zapewniła mu akademicki raj: stały etat.

Elissa Kern znajdowała się teraz tuż przy samochodzie policyjnym. Ed obserwował ją ze stoickim wyrazem twarzy. Zauważyła samochód zaparkowany w cieniu i Thomas spostrzegł, że jej twarz na moment się odprężyła. Nie zatrzymała się, ale uniosła dłoń w geście pozdrowienia.

Ed odpowiedział, unosząc rękę aż o piętnaście centymetrów.

Oto namiętność w stylu Eda Stovalla.

Thomas pomyślał, że nie powinien się jednak z niego wyśmiewać. Sam nie miał ostatnio żadnych widoków na namiętne uczucie.

- Hej, Ed, słyszał pan plotki, że Meredith Spooner brała narkotyki? Ed podązał wzrokiem za Elisą.

- Słyszałem.

- Wczoraj poznałem kogoś, kto ją dobrze znał. Ta kobieta mówi, że Meredith miała uraz na tle narkotyków. Nigdy niczego nie brała. Z czymś się to panu kojarzy?

Ed westchnął i odwrócił wzrok od znikającej sylwetki Elissy.

- Rozmawialiśmy już o tym, Walker.

- Chciałem tylko napomknąć o podobnej sytuacji.

- Wygląda na to, że pański brat pracuje nad kolejną teorią spiskową. Proszę mu powiedzieć, żeby nie tracił czasu. Śledztwo w sprawie śmierci Bethany Walker zostało zamknięte i nic się nie zmienia, chyba że dostanę jakieś konkretne dowody.

- Jasne. Dobrze wiedzieć, że ma pan otwarty umysł.

- Powinien pan załatwić bratu dobrego psychoanalityka. - Ed przekręcił kluczyk w stacyjce. - Panu też by nie zaszkodziła porada. Mam wrażenie, że zaczyna pan wierzyć w fantazje brata.

Wrench właśnie postanowił podlać przednie koło policyjnego samochodu.

Na szczęście Ed nie zauważył tej zniewagi. Obserwował przez ramię ruch z tyłu, a potem powoli odjechał wąską drogą.

Wrench w milczeniu zajął miejsce przy nodze swego pana.

- To było zachowanie agresywno - pasywne - skarcił go Thomas. Wrench pokazał zęby w psim uśmiechu.

- Może zaczynam już wariować tak, jak Deke - powiedział Thomas - ale przynajmniej nie parkuję pod drzewami, żeby gapić się na kobietę, która uprawia jogging. Facet musi być naprawdę zdesperowany.

Wrench spojrzał na niego.

- No, dobrze, kręciliśmy się koło tego mieszkania w Los Angeles, czekając na Leonorę Hutton, lecz to zupełnie co innego. Interesy.

Ruszyli wolno do domu, ignorując biegnącą czeredę. W chwilę później skręcili ze ścieżki w wąską dróżkę, która prowadziła na wzgórze, do domu pośród drzew.

Thomas zatrzymał się na ganku, żeby wyjąć klucz i otworzyć drzwi. W małym korytarzyku zdjął psu smycz i odwiesił marynarkę do szafy. Wrench poszedł do kuchni w poszukiwaniu miski z wodą.

W domu było chłodno. Thomas rozpałił w kominku w dużym pokoju. Kiedy ogień już płonął, wstał i przeszedł między dwoma dużymi, wygodnymi fotelami przed kominkiem do lady, która oddzielała kuchnię od pokoju.

Wszystko tu lśniło. Podobnie jak w łazience i w przedpokoju. Wyłożenie wszystkich powierzchni kafelkami zabrało Thomasowi kilka miesięcy. Czasami zastanawiał się, czy przypadkiem nie przesadził.

Na automatycznej sekretarce nie było żadnych wiadomości. Leonora Hutton nie dzwoniła.



Otworzył szafkę, wyjął z dużej torby psi przysmak i rzucił Wrenchowi. Pies z zadowoleniem zajął się sztuczną kością.

- Podobno to dobre na zęby - powiedział Thomas. Wrench nie sprawiał wrażenia, jakby troszczył się o zęby.

Trudno było wytłumaczyć zasady dbania o uzębienie psu o doskonałych zębach. Thomas otworzył drzwi obok lodówki i wszedł do swojego ulubionego pomieszczenia, czyli do warsztatu.

Zapalił światło. Na ścianach wisały rzędy błyszczących narzędzi. Szczypce, śrubokręty i klucze francuskie były uporządkowane według wielkości i rodzajów. W szufladach z przezroczystym przodem leżały posortowane gwoździe i śruby. W rogu stał worek z fugą - pozostałością po maratonie kafelkowania.

Thomas podszedł do dużego drewnianego stołu pośrodku pokoju i oparł się o blat, obok wiertarki. Tu mu się najlepiej myślało, a teraz chciał przemyśleć problem Leonory Hutton.

Noc i dzień. Lustrzane odbicia.

Myślał, że wie, czego oczekiwać po kobiecie, którą brał za partnerkę Meredith. Leonora jednak go zaskoczyła. Nawet nie próbowała go uwodzić. Wiedział, że nie powinien o tym nawet myśleć, ale wydawało mu się, że to mogłoby być interesujące doświadczenie. Znacznie bardziej interesujące niż z Meredith.

Dla Meredith seks był precyzyjnym narzędziem. Używała go z zawodową wprawą. Choć, o ile mógł stwierdzić, nie sprawiał jej żadnej przyjemności. Zależało jej jedynie na efekcie końcowym, co - jak się sam boleśnie przekonał - nie miało nic wspólnego z orgazmem. Ale jak każdy dobry rzemieślnik, dbała o swój warsztat pracy.

To mu, na krótką metę, wystarczało. Meredith ze swej strony nie prosiła go, aby udawał uczucia, których między nimi nie było i oboje dobrze o tym wiedzieli. Teraz, patrząc wstecz, wiedział, że z zadowoleniem zakończyła tę znajomość, gdy tylko zdała sobie sprawę, że nie przyniesie jej korzyści w planowanym oszustwie.

Meredith była oszustką, zawodową kłamczucha i złodziejką jednak w gruncie rzeczy nie otaczała jej aura tajemniczości. Był pewien, że wiedział, co ją kręci.

Leonora natomiast była zagadką. I była tajemnicza.

Zastanawiał się, czy użył odpowiednich narzędzi.

- Groził ci? - zapytała Gloria Webster.

Leonora spojrzała na babkę, która siedziała naprzeciwko niej, przy restauracyjnym stoliku.

Dziadkowie wychowywali ją od trzeciego roku życia, kiedy rodzice zginęli w wypadku lotniczym. Dziadek Calvin zmarł przed sześciu laty.

Gloria miała osiemdziesiąt parę lat, włosy ufarbowane na jaskrawy blond, trwała ondulację i jaskrawoczerwoną szminkę na ustach. Nosiła spodniemy ze sztucznego włókna, zawsze z małą stójką, która zakrywała zmarszczki na szyi. Dzisiejszy zestaw był w odcieniu zielonym, pasującym do jej oczu. Jej ręce zdobiły złote bransoletki i kilka złotych pierścionków. Biżuteria nie była specjalnie cenna, lecz Gloria lubiła błyszczeć.

Leonora uważała Glorię za wzór. Postanowiła, że w wieku osiemdziesięciu paru lat będzie ubierać się tak jak babcia, wiedziała też, że nie popełni zbyt wielu błędów w życiu, jeśli będzie ją naśladowała. A przynajmniej nigdy się nie będzie nudzić.

- Tak to odebrałam - odparła Leonora. - Dawał mi do zrozumienia, że jeśli nie pomogę mu odnaleźć pieniędzy, postara się, abym została oskarżona o współudział w defraudacji.

- Mówił poważnie?

Leonora zastanawiała się nad odpowiedzią, pogryzając krewetki.

- Tak, myślę, że tak. Thomas Walker nie robił wrażenia człowieka, który blefuje.

- Musi być bardzo zdesperowany. Taki komentarz zaskoczył Leonorę.

- Zdesperowany? To chyba nie jest właściwe określenie. Bardziej pasowałoby słowo „zdeteminowany”. Wyobraź sobie transatlantyk. Trudno zawrócić go z kursu.

Oczy Glorii zabłysły.

- Oho. Czy ten twój pan Walker jest postawnym mężczyzną?

- Raczej takim, któremu trudno się sprzeciwić.

- Głupi jak but?

- Niestety nie.

- Hm. - Gloria upiła łyk różowego zinfandela i odstawiła kieliszek. - Nie wygląda na mężczyznę w typie Meredith.

- Odniosłam to samo wrażenie. Wątpię, aby ich romans trwał zbyt długo. Meredith niewątpliwie usiłowała go wykorzystać do oszustwa i bardzo szybko porzuciła, kiedy przekonała się, że nie może nim manipulować.

- Uważasz, że nie potrafiła kontrolować Thomasa Walkera?

- Uważam, że nikt nie jest w stanie kontrolować Thomasa Walkera oprócz niego samego.

Zapadło milczenie, Leonora zajęła się pieczonym ziemniakiem.

- Proszę, proszę - mruknęła Gloria. Leonora uniosła oczy.

- Co to ma znaczyć?

- Nic - odparła Gloria podejrzanie lekkim tonem.

- Przestań. - Leonora wycelowała w nią widelec - Natychmiast przestań. Znam te twoje miny, ale w tym wypadku nie masz racji. Niczego sobie nie wyobrażaj, babciu.

- Dobrze, kochanie.

Leonory nie zadowoliła ta uspokajająca odpowiedź. Za dobrze знаła babkę. Gloria chciała wydać ją za mąż. Odkąd zerwała z Kyle'em, babka obsesyjnie interesowała się życiem uczuciowym wnuczki, wyznając zasadę „teraz albo nigdy”, co przerażało Leonorę.

- Myślisz, że Meredith naprawdę ukradła te pieniądze? - spytała Gloria.

- Przypuszczalnie. Była prawdziwą królową kanciarzy.

- To smutne.

- Jednak - ciągnęła Leonora - nie jestem całkiem pewna, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Thomas Walker.

- Sama mówiłaś, że chce odzyskać skradzione pieniądze.

- Tak, ale może wcale nie chce wpłacić ich z powrotem na konto fundacji.

- Aha. - Gloria uniosła starannie wyskubane brwi. - Uważasz, że chce odzyskać pieniądze i położyć na nich łapę?

- Jak to sam zwięźle określił, półtora miliona dolarów to bardzo motywujący kawał grosza.

- Bardzo skomplikowana sytuacja, prawda?

- To jeszcze nie wszystko. - Leonora urwała. - Posłuchaj. Thomas Walker zasugerował, że być może Meredith została zamordowana.

Gloria upiła właśnie łyk wina i teraz zakrztusiła się, po czym upiła kolejny łyk, żeby opanować kaszel.

- Zamordowana? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Zamordowana?

- Walker stwierdził, że być może jej wspólnik sfingował wypadek. Podejrzewa, że nie działała sama.

- A z kim?

- Ze mną.

- Z tobą? Bzdura. Ty i Meredith nie miałyście ze sobą nic wspólnego.

- Thomas Walker nie zna mnie tak dobrze, jak ty, babciu.

- To prawda. - Gloria zacisnęła usta. - Może pan Walker wymyślił sobie tę teorię o morderstwie, żeby zmusić cię do współpracy?

- Kto wie? W tym cały problem. Nie wiem, o co chodzi i w co wierzyć.

- To takie typowe dla Meredith, prawda? - stwierdziła Gloria. - Narobić bałaganu, a potem czekać, aż ktoś inny posprząta.

Po kolacji Leonora odwiozła Glorię do Melba Creek Gardens. Zaparkowała na parkingu dla gości, wysiadła i wyjęła z bagażnika zgrabny balkonik na kółkach.

Nim Leonora rozłożyła balkonik, Gloria otworzyła drzwi samochodu. Razem przeszły do eleganckiego holu domu dla emerytów. Recepcjonistka skinęła im głową na powitanie.

Wsiadły do przeszklonej windy z widokiem na piękne tereny wokół domu i wjechały na drugie piętro. Leonora wysiadła pierwsza i zaczęła, aż Gloria odpowiednio ustawi balkonik.

Szły korytarzem wyłożonym dywanem, mijając drzwi do szeregu apartamentów. Przy każdych drzwiach znajdowała się drewniana półeczka, na tyle duża, aby pomieścić wazon z kwiatami, jakąś ozdobę czy pamiątkę z wakacji. Zakładano, że każdy lokator stworzy na swojej półce coś pomysłowego i dekoracyjnego. Leonorę niezmiennie bawił fakt, że wszystkie półeczki były czymś ozdobione. Presja grupy rówieśniczej działała w każdym wieku.

W połowie korytarza otworzyły się drzwi. Jakiś mężczyzna z resztką siwych włosów wyjrzał z apartamentu i spojrzął na nie przez okulary.

- Witaj, Herb - rzuciła Leonora.

- Dobry wieczór, Leonoro. Tak mi się wydawało, że widziałem twój samochód na parkingu. Dobrze się bawiłyście?

- Zjadłyśmy wspaniałą kolację - powiedziała Gloria. - Z pewnością zapłacę za to, ale co tam. W apteczce mam pełno leków na nadkwasotę.

- Ładnie wyglądasz, Glorio - stwierdził Herb. - Podoba mi się ten zielony kolor. Pasuje do twoich oczu.

- Daj spokój z komplementami, Herb. Nic ci nie pomogą. Skończyłeś swoją stronę?

- Jasne. Ja, w przeciwieństwie do niektórych osób, zawsze dotrzymuję terminów.

- Dobrze wiesz, że Irma miała swoje powody w zeszłym tygodniu. Przyjechał z

wizytą jej siostrzeniec z Denver.

- I co z tego? Dwa tygodnie temu odwiedziła mnie bratanica, ale napisałem wszystko na czas.

- Tym razem Inna przygotowała fantastyczny artykuł o podróżach - uspokoiła go Gloria. - Ze szczegółową listą hoteli w Las Vegas, które mają uchwyty w łazienkach i stoły do gry z dostępem dla wózków inwalidzkich. Ja napisałam demaskatorski tekst pełen trudnych pytań.

- Jakich trudnych pytań? - zainteresowała się Leonora.

- Dlaczego te wszystkie pseudoeleganckie hotele mają pokoje z dostępem dla wózków bardzo daleko od windy? I dlaczego jest z nich zawsze najgorszy widok?

- Dobre pytania - pochwaliła Leonora.

„Gloria's Gazette”, magazyn internetowy założony przez Głorię kilka miesięcy temu, gdy ukończyła kurs komputerowy dla seniorów, okazał się sukcesem. Lista subskrybentów rosła z każdym dniem, gdy coraz więcej emerytów wchodziło w sieć.

- Jaki jest w tym tygodniu główny problem w rubryce *Spytaj Henriette*? - zapytała Leonora.

- Millicent z Portland przysłała mi e - mail, że rodzina żąda oddania kluczyków od samochodu. Pisze, że sama nie wie, czy chce zrezygnować z prowadzenia samochodu, ale argumenty rodziny powoli do niej przemawiają. Poza tym ostatnio jedna z jej przyjaciółek miała wypadek, i to też ją przestraszyło.

- Trudny problem - stwierdziła Leonora.

- Nie - zaprzeczył Herb. - Wcale nie. Przypomniałem jej, ile zaoszczędzi, rezygnując z samochodu. Benzyna, ubezpieczenie, koszty garażu i tak dalej. Wystarczy na taksówki i jeszcze jej zostanie.

- Dobry jesteś. - Leonora nie kryła podziwu. - Naprawdę dobry.

- Wiem - odparł Herb i spojrzał znacząco na Głorię.

- Tylko niczego sobie nie wyobrażaj - ostrzegła Gloria.

- Wiesz, czego chcę.

- Jeszcze nie, Herb. Wciąż się nad tym zastanawiam.

- Cholera, chyba zasłużyłem, żeby mieć własne imię na stronie z poradami. Mam dość tego, że ludzie piszą do *Spytaj Henriette*. Powinni pisać do *Spytaj Herba*.

- To nie brzmi tak samo - stwierdziła Gloria.

- A co to ma za znaczenie? Chodzi o zasady dziennikarskie.

- Już mówiłam, że się zastanawiam. - Gloria wyprostowała balkonik i ruszyła

korytarzem. - Chodźmy, moja droga. Już późno, Herb musi iść spać.

- Bzdura! - zawołał za nią Herb. - Od dwudziestu lat mam kłopoty ze snem. Spanie nie ma z tym nic wspólnego. Chcę pisać pod własnym imieniem.

- Dobranoc, Herb. - Gloria nawet się nie obejrzała.

Skreśliły i stanęły przed następnymi drzwiami. Leonora czekała, aż Gloria wyjmie z torebki klucz.

- Wydaje mi się, że podobasz się Herbowi, babciu.

- Wszyscy dziennikarze są tacy sami. Dla nazwiska zrobią wszystko.

Był ciepły kalifornijski wieczór. Leonora wracała do domu. Melba Creek była miłym miasteczkiem na krańcach przedmieść San Diego. Przeprowadziła się tu, gdy zaproponowano jej pracę w dziale księgozbioru podręcznego w pobliskim Piercy College, niewielkim uniwersytecie nauk humanistycznych. Po śmierci Calvina babka też się tu przeniósła.

Przez jakiś czas mieszkały w sąsiednich mieszkaniach, w tym samym domu, jednak po dwóch przerażających wypadkach, gdy Gloria godzinami leżała bezsilnie na podłodze, zdecydowały, że zamieszka w domu dla emerytów w Melba Creek Gardens, z alarmem w każdym pokoju, uchwyty w łazience i całodobową opieką. Nie mówiąc o ożywionym życiu towarzyskim, poczynając od brydża, a kończąc na aerobiku w basenie i kursach komputerowych.

Gloria twierdziła, że przeprowadziła się, bo tak jej się podobało, ale Leonora wiedziała, że zrobiła to dla niej. Musiała przyznać, że teraz z ulgą wychodziła do pracy czy wyjeżdżała na kilka dni, nie musząc się martwić, że Glorii coś się stanie i nie będzie miał jej kto pomóc.

Leonora zauważyła migającą lampkę automatycznej sekretarki, gdy tylko weszła do domu. Od razu pomyślała, że dzwonił Thomas Walker, aby przekonać się, czy podziałała jego metoda kija i marchewki. Poczła przyływ adrenaliny i dziwny dreszcz.

Z prawdziwą przyjemnością powie mu, że jego metody w ogóle na nią nie działają. Miała rację. Zadzwoił pierwszy. Ogarnęło ją poczucie triumfu. Dreszcz i triumf znikły bardzo szybko, gdy usłyszała znajomy głos byłego narzeczonego.

...Leo? Mówi Ky1e. Skarbie, mam wrażenie, że unikasz moich telefonów...

- Co za przenikliwość.

Musimy porozmawiać, Leo. To dla mnie bardzo ważne. Mam szansę, żeby w tym roku dostać stały etat tutaj, na wydziale anglistyki. Jest tylko jeden mały szkopuł.

W komitecie zasiada twoja przyjaciółka, Helena Talbot. Wiesz, co ona o mnie myśli w związku z tym, co zaszło w zeszłym roku. Moglibyśmy wyjaśnić tę sprawę, gdybyś do niej zadzwoniła i wytłumaczyła, że to nie była moja wina i że nie masz do mnie pretensji... Leonora skasowała tę wiadomość. Nikt inny się nie nagrał. Thomas Walker nie dzwonił, aby wywierać na nią presję. Nie wiadomo dlaczego poczuła się jak przekłuty balonik. Na litość boską, tu chodzi o to, kto kogo przetrzyma, a nie uwiedzie.

Cholera, teraz zaczęła myśleć o seksie. Ale dlaczego? To powinna być ostatnia rzecz, o jakiej powinna myśleć.

Thomas nie zadzwonił także następnego dnia. Leonora nie czuła ulgi, lecz rosnące zaniepokojenie. Coś jej mówiło, że Thomas nie jest typem, który łatwo rezygnuje. A zatem nadal grał na zwłokę i czekał, aż puszcza jej nerwy.

Ona pierwsza się nie odezwie.

Dwa dni później wstała po nieprzespanej nocy zmęczona i nieswoja. Włączyła komputer i sprawdziła pocztę dopiero po zrobieniu sobie dużego dzbanka zielonej herbaty Dragon Weil. Dostała tylko jeden e - mail.

Od Meredith.

Z tematem: „Zza grobu...”

Niemal słyszała śmiech Meredith piszącej te słowa.

Leo,

jeśli to czytasz, to znaczy, że nie żyję. Koszmar! Nastawiłam tę wiadomość tak, żeby poszła do Ciebie, o ile jej nie skasuję. Niezłe, co? Najbardziej denerwuje mnie to, że Twoja babka miała rację, mówiąc, iż źle skończę. Mam nadzieję, że zginęłam w blasku chwały.

Ale przejdźmy do rzeczy. Niniejszym zostawiam Ci wszystkie moje doczesne dobra. Jest tego około półtora miliona. Niezłe, jak na taką drobną płótkę, co? To moje największe osiągnięcie.

Znajdziesz swój spadek na koncie na Karaibach. Biorąc pod uwagę fakt, że poczta e - mailowa nie jest najbardziej bezpieczną formą komunikacji, nie napiszę Ci tutaj magicznego numeru, który będzie Ci potrzebny, aby się dostać do konta. W drodze jest klucz do skrytki bankowej . W skrytce, oprócz numeru konta, jest jeszcze parę rzeczy.

Coś Ci poradzę. Są ludzie, którzy trochę się zdenerwują, kiedy się dowiedzą, co ostatnio zrobiłam. (Nic nowego) . Jeśli ktoś pytałby o mnie, mów, że mnie nie widziałas, odkąd przeze mnie zerwałaś zaręczyny. Nawiasem mówiąc, nadal uważam, że wyświadczyłam Ci wielką przysługę. Kyie i tak zdradziły cię z kimś innym. Wierz mi, znam mężczyzn.

Jeszcze jedno, gdyby, z jakiegoś powodu, działo się coś nieprzewidzianego, skontaktuj się z Thomasem Walkerem. Niżej podaję jego numer telefonu. Przez jakiś czas byliśmy ze sobą i jeśli się dowie, co zrobiłam, będzie wściekły. Niektórzy faceci w ogóle nie mają poczucia humoru. Niemniej należy do tego rzadkiego rodzaju mężczyzn, którym można zaufać.

Mam nadzieję, że czasem za mną zatęsknisz. Wiem, że ściągałam kłopoty, ale też nieźle się bawiłyśmy, prawda? Przykro mi, że nie miałam okazji, aby się pożegnać.

Całuję,

Meredith

Leonora przez długi czas wpatrywała się w ekran komputera. Ocknęła się, gdy usłyszała dzwonek do drzwi.

Posłaniec wręczył jej kopertę. Pokwitowała odbiór, wróciła do pokoju i otworzyła kopertę. W środku był klucz do skrytki i adres banku w San Diego.

Weszła do banku, gdy tylko go otwarto. Godzinę później dzwoniła do Thomasa Walkera. Podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

- Walker, słucham.

- Musimy porozmawiać.



### ROZDZIAŁ 3

Zadzwoiła. Nareszcie. Czuł ulgę i radość. Nie spał przez całą noc, zastanawiając się, czy przypadkiem nie przesadził. Nie był pewien, jak długo będzie w stanie czekać.

Ale to Leonora Hutton załamała się i zadzwoniła pierwsza. Thomas triumfował.

Rozparł się wygodnie na obrotowym krześle ze słuchawką przy uchu i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w szczegóły transakcji na koncie, które miał na ekranie komputera. Zasiadł właśnie do pracy, aby zarobić na kawałek chleba, gdy zadzwonił telefon.

Jego pasją było przebudowywanie domów, ale w ten sposób nie dawało się zarobić na przyzwoite życie, zwłaszcza jeśli człowiek wkładał dużo czasu i pieniędzy, żeby osiągnąć pożądany efekt. Miał dobre oko i gdy kupował obiekt do przeróbki, trzymał się trzech podstawowych zasad handlowych - po pierwsze lokalizacja, po drugie lokalizacja, po trzecie lokalizacja. Niemniej jednak rzadko zarabiał na tym duże pieniądze. Jeśli miał szczęście, odzyskiwał włożony kapitał i dodatkowo kilka tysięcy dolarów.

Prawdziwe pieniądze zarabiał łatwo, a przynajmniej tak, jak jemu było najłatwiej: inwestował.

Pierwszą poważną operacją było sfinansowanie z zysków ze sprzedaży jednego z domów firmy zajmującej się oprogramowaniem komputerowym, którą założył Deke. Dwa lata później firmę wykupił jeden z głównych graczy na rynku, aby uzyskać rewelacyjny program zabezpieczający Deke'a.

Po sprzedaży firmy Thomas i Deke zyskali zupełnie nową perspektywę życiową - mogli przejść na zasłużony odpoczynek przed ukończeniem trzydziestki.

Aby nie stracić zyskanego kapitału, Thomas zajął się badaniami rynku. Deke wrócił na uniwersytet, otrzymał jakieś wyszukane tytuły i objął posadę profesora na wydziale informatycznym w Eubanks College.

Deke twierdził, że Thomas ma niezwykley talent do zarabiania pieniędzy na akcjach i udziałach. Thomas wiedział tylko, że potrafi przewidywać finansowe trendy, zanim jeszcze wystąpią. Za pomocą oprogramowania, które wymyślił dla niego Deke, osiągał coraz lepsze wyniki. Ostatnio, aby zapewnić sobie stały przyływ gotówki, nie musiał spędzać przed komputerem więcej niż parę godzin dziennie.

Przez resztę czasu bawił się w majsterkowanie.

- Cieszę się, że postanowiła pani z nami współpracować - powiedział, uważając, aby w jego głosie nie zabrzmiała nuta satysfakcji. - Czy mogę spytać, co takiego sprawiło, że pani zadzwoniła?

Wrench, wyciągnięty na podłodze koło biurka, gwałtownie podniósł łeb i spojrzał na niego przenikliwie. Może jednak nie udało mu się zachować całkowitej obojętności.

- To długa historia - odparła Leonora. - Krótko mówiąc, Meredith twierdzi, że można panu ufać.

Thomasa przeszedł zimny dreszcz.

- Meredith nie żyje.

Wrench wstał i położył łeb na kolanach pana, a ten odruchowo podrapał go za uszami.

- Dziś rano dostałam e - mailem jej zaprogramowany czasowo testament - wyjaśniła Leonora. - Meredith napisała go przed śmiercią i zaaranżowała tak, by został wysłany na wypadek, gdyby coś jej się stało.

Milczał przez chwilę, a potem zapytał:

- Czy dawała do zrozumienia, że coś jej grozi?

- Nie. Chyba po prostu była ostrożna. Pamiętała o szczegółach. Zawsze pamiętała o szczegółach. - Urwała na kilka sekund. - Ale może miała wyrzuty sumienia.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Napisała, że jeśli będzie działo się coś nieprzewidzianego, mam się zgłosić do pana.

- Ciekawe dlaczego tak uważała?

- Meredith miała intuicję.

- Tak? - Pogłaskał Wrench po łbie. - Wierzę pani. Słabo ją znałem.

- Sypiał pan z nią.

- Powiedziałem, że słabo ją znałem.

- Często sypia pan z kobietami, które słabo pan zna?

- Nie.

Najwyraźniej nie miał takiej intuicji jak Meredith, ale nawet on się zorientował, że ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Zapadła chwila pełnej napięcia ciszy.

- Wydaje mi się, że wiem, gdzie jest pańskie półtora miliona - powiedziała w końcu Leonora.

Zerwał się na nogi, nie zdając sobie sprawy, że wstaje. Wrench przekrzywił z zainteresowaniem łeb.

- Gdzie?

- W banku na Karaibach.

- To by się zgadzało. Meredith była wyrefinowaną oszustką, prawda?

- Chyba tak. - Leonora wahała się przez moment. - Przepraszam. Meredith przez wiele lat podkradała ludziom pieniądze.

- Kiedy chodzi o półtora miliona, słowo „podkradanie” nie wydaje się zbyt adekwatne.

- To prawda.

- Czy ma pani dojdzie do tego konta?

- Tak mi się wydaje. Podała mi numer.

Thomas podszedł do okna, które wychodziło na zatokę.

- Jeśli ma pani numer konta, będę mógł przetransferować całą sumę z powrotem na konto fundacji i nikt się o niczym nie dowie.

- Mam wrażenie, że powinniśmy omówić ten temat bardziej szczegółowo.

Cholera. Wiedział, że nie będzie łatwo. Musi pamiętać, że Meredith była złodziejką. Złodzieje na ogół zadawali się z innymi złodziejami, a przynajmniej z osobami, których etyka i morale pozostawały wiele do życzenia.

- O znaleźne nie musi się pani martwić. Na pewno je pani dostanie. Leonora odchrząknęła. Miał wrażenie, że chce powiedzieć coś ważnego.

- Nie o to mi chodziło - rzekła cicho.

Oparł dłoń na drewnianej ramie okna, przygotowany na negocjacje.

- Co pani powie na pięćdziesiąt tysięcy? - rzucił od niechcenia. - Oraz gwarancję, że nie wymienię pani nazwiska w rozmowie z policją czy adwokatem, gdyby ktoś się jednak dowiedział o tej defraudacji.

- Nie.

Za szybko odmówiła. W jej głosie nie było nawet cienia wahania. To go zmartwiło. Pracowała jako bibliotekarka na uniwersytecie i nie pochodziła z bogatej rodziny. Sprawdził to w Internecie. Miała tylko babkę, która żyła z emerytury, niewielką pensję i wpływy z małych inwestycji. Dla kogoś w jej sytuacji pięćdziesiąt tysięcy musiało być atrakcyjną sumą. Oczywiście nie było to półtora miliona. Widać chciała się targować.

- To korzystna oferta - ciągnął. - Lepszej pani nie dostanie. Meredith napisała,

że może mi pani zaufać. Dobrze pani radzę. Nie chce pani chyba zatrzymać dla siebie tych pieniędzy z konta na Karaibach.

- Nie? - zapytała rozbawionym głosem.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo będę panią ścigał po całym świecie. I obiecuję, że naprawdę utrudnię pani życie.

- Wierzę - stwierdziła sucho.

- To dobrze.

- Mnie nie chodzi o pieniądze.

- Jak to nie? Zawsze chodzi o pieniądze.

- Jeżeli faktycznie pan w to wierzy, to znaczy, że prowadzi pan ograniczone i bardzo puste życie.

Zirytował go ten pouczający ton.

- No, dobrze, to o co chodzi, jeśli nie o pieniądze?

- Mówił pan, że zdaniem pańskiego brata jego żona, Bethany, została zamordowana i że widzi on powiązania ze śmiercią Meredith.

- Zostawmy mojego brata. Jego teorie na temat śmierci Bethany nie mają nic wspólnego z naszymi negocjacjami.

- Nie byłabym tego taka pewna.

- Słucham?

- W skrytce Meredith, oprócz numeru i lokalizacji konta zagranicznego, znalazłam jeszcze dwie rzeczy.

- O czym pani mówi?

- Jedna to książka zatytułowana *Katalog antycznych zwierciadeł w kolekcji Domy Luster*. Ma ponad czterdzieści lat. Jest w niej dużo czarno - białych zdjęć luster we wnętrzach.

Zastanowił się przez chwilę.

- Meredith przypuszczalnie zabrała ją z biblioteki w Domu Luster. Ciekawe dlaczego?

- Nie mam pojęcia. O ile mi wiadomo, stare lustra nigdy jej nie interesowały. W skrytce było coś jeszcze. Koperta z wycinkami prasowymi na temat jakiegoś morderstwa sprzed lat.

Przeszył go zimny dreszcz.

- Z jakiego okresu?

- Sprzed trzydziestu lat. W Wing Cove.

- Sprzed trzydziestu lat? Chwileczkę, czy pani mówi o morderstwie Sebastiana Eubanksa?

- Tak. Zna pan tę sprawę?

- Jasne. W tym mieście to żaden sekret. Raczej rodzaj miejscowej legendy. Sebastian Eubanks był synem Nathaniała Eubanksa, który stworzył pierwszą fundację dla Eubanks College. Podobno Nathaniel był geniuszem i dziwakiem. Popełnił samobójstwo. Jego syn, Sebastian, także był bardzo mądry. Matematyk i wyjątkowy ekscentryk. Mniej więcej trzydzieści lat temu zastrzelono go pewnego wieczoru w Domu Luster. Nigdy nie znaleziono mordercy.

- I to wszystko, co pan wie?

- Nic więcej nie ma. Zabójstwa dokonano trzydzieści lat temu i nie znaleziono mordercy. Dziś nikomu na tym nie zależy. Sebastian był ostatni z rodziny Eubanksów. Mówi pani, że Meredith miała jakieś wycinki na ten temat?

- Tak.

- Dlaczego obchodziło ją to morderstwo?

- Nie mam pojęcia. Ale Bethany Walker chyba też interesowała się tą sprawą. Thomas znieruchomiał.

- Co to znaczy?

- Wycinki są w kopercie z wydrukowanym nazwiskiem Bethany i adresem sekretariatu wydziału matematyki w Eubanks College.

Przez chwilę wpatrywał się w zasnutą mgłą zatokę, usiłując zrozumieć sens tej informacji.

- Meredith przypuszczalnie znalazła oficjalny papier listowy Bethany. Nie wiem, w jaki sposób, bo po jej śmierci zabraliśmy z biura jej rzeczy. Deke spalił wszystkie papiery z nazwiskiem i adresem Bethany.

- W skrytce znalazłam krótki list od Meredith, w którym pisze, że znalazła wycinki razem z książką w Domu Luster. Daje wyraźnie do zrozumienia, że zamierzała wysłać je panu i pańskiemu bratu po wyjeździe na Karaiby.

- Znalazła je?

- Tak napisała.

- Gdzie?

- Nie wiem. O tym nie pisze. Tylko że w Domu Luster.

- Hm. - Postukał palcem o ramę okienną. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. - Dobrze, proszę mi to przysłać. Pokażę papiery bratu. A teraz wróćmy do naszej sprawy.

- Mojego znaleźnego? Niech pan da sobie spokój. Nie interesują mnie pańskie pieniądze.

- A co panią interesuje?

- Wykrycie mordercy Meredith.

Przez krótki moment myślał, że się przesłyszał.

- Mordercy? O czym pani mówi? Meredith zginęła w wypadku samochodowym w Los Angeles.

- Nie wierzę - stwierdziła Leonora zdecydowanym tonem. - Teraz, kiedy dowiedziałam się o plotkach na temat narkotyków i znalazłam te wycinki w kopercie z nazwiskiem Bethany Walker, już nie wierzę w wypadek. Zwłaszcza w powiązaniu ze śmiercią Bethany i plotkami o tym, że zażywała narkotyki.

- Do cholery...

- W Wing Cove coś się dzieje. Zamierzam się dowiedzieć co.

- Świetnie. Chce się pani zabawić w prywatnego detektywa? Proszę bardzo. Żyjemy w wolnym kraju. Ja chcę tylko dostać numer tego konta na Karaibach. Proszę mi powiedzieć, czego pani oczekuje w zamian za tę informację i rozstaniemy się w zgodzie.

- Tak, cóż, to nie jest takie proste. Obawiam się, że za numer konta chcę pańskiej pomocy.

- Mojej pomocy? W czym?

- Oczekuję pańskiej współpracy. Pan zna Wing Cove, a ja nie.

- Niech mnie pani uważnie posłucha. Moja odpowiedź to nie jest zwykłe „nie”.

Do diabła, nie! Rozumie pani?

- Myślałam, że zależy panu na tym numerze konta.

- Czy pani naprawdę mnie szantażuje? Leonora odchrząknęła.

- Tak, chyba można to tak określić. Czy omówimy szczegóły?

- Jakie szczegóły?

- Potrzebuję jakiegoś pretekstu.

- Pretekstu. Rozumiem. Ma pani coś na myśli, Mato Hari?

- Wspominał pan o bibliotece w Domu Luster... - zaczęła wolno Leonora.

- Niech pani o tym zapomni. Dom Luster nie potrzebuje bibliotekarki. Nikt nie

korzysta ze starej biblioteki. Są w niej wyłącznie książki, które zebrał kiedyś Nathaniel Eubanks. Wszystkie dotyczą starych luster.

- Czy są skatalogowane?

Przywołał w wyobraźni zakurzoną bibliotekę na pierwszym piętrze. Widział ją tylko raz, gdy Deke mu ją pokazywał. Z jednej strony było małe biuro ze staroświeckim katalogiem z licznymi szufladkami.

- Chyba tak.

- Karty czy komputer?

- Karty. Mówiłem, że nikt tam nie zaglądał od wielu lat.

- Najwyższy czas, aby ktoś zmodernizował katalog i wprowadził go do sieci, nie sądzi pan?

Mimo irytacji dostrzegł pewne możliwości. Dom Luster był jedną z niewielu rzeczy łączących Bethany i Meredith. Meredith znalazła książkę i kopertę gdzieś w Domu Luster i z jakiegoś powodu była przekonana, że on i Deke zechcą je zobaczyć. Musiały być ważne, choć nie bardzo mógł sobie wyobrazić dlaczego.

Niechętnie przyznał w duchu, że Deke i Leonora, być może, mają jakiś punkt zaczepienia. Jednego mógł być pewien - ta sprawa raczej nie rozejdzie się po kościach. Nie teraz.

- Może uda mi się coś wymyślić - mruknął.

- Doskonale.

Źle skrywany triumf w jej głosie zirytował go. Myśli, że wygrała.

- Zanim przejdziemy dalej - zaczął - jest coś, co powinna...

- Muszę się gdzieś zatrzymać - przerwała mu. To stwarzało nowe możliwości.

- - Niedawno kupiłem dom do remontu z widokiem na zatokę - powiedział. -

Myślę, że się nada.

- Bardzo dobrze.

- Zanim zakończymy pertraktacje, mam jeden warunek.

- Jaki? - spytała od niechcienia, przekonana o swoim zwycięstwie.

- Jeśli się pani zdecyduje, aby tu przyjechać i bawić się w detektywa, będzie pani musiała się mnie słuchać.

- Mój Boże, dlaczego miałabym się zgodzić, żeby to pan rządził?

- Bo jeżeli się pani nie zgodzi, przyjadę do Melba Creek i wydostanę od pani numer tego konta w znacznie bardziej nieprzyjemny sposób.

- Zrezygnowałaś z pracy? - Gloria odłożyła żółty notatnik, w którym zapisywała

pomysły do artykułu o hotelach, i spojrzała na Leonorę znad okularów. - Czy to rozsądne?

- Nie, ale nie miałam wielkiego wyboru.

Leonora wzięła dwie filiżanki zielonej herbaty Hojicha, którą właśnie zaparzyła w niewielkiej, choć dobrze urządzonej kuchence mieszkania Glorii. Postawiła filiżanki na małym stoliku przy oknie i usiadła naprzeciwko babki. Pośrodku stolika stał talerz z czterema ciasteczkami upieczonymi przez Glorię.

- Bristol nie zgodziłby się na dłuższy urlop bezpłatny bez dobrego powodu - powiedziała Leonora.

- Jakiego na przykład?

- Urodzenia dziecka.

- Rozumiem. To byłoby dość trudne do zrobienia w tak krótkim czasie.

- Nie sądzę, aby przemówiło mu do przekonania to, że chcę się zabawić w Sherlocka Holmesa. - Leonora wzięła maślane ciastko. - Ale mam też dobrą wiadomość. Powiedział, że zawsze mogę wrócić do pracy, kiedy załatwię swoje sprawy.

- To miło z jego strony. - Gloria powoli piła herbatę. - Mówisz, że Thomas Walker zgodził się ci pomóc?

- Nie wykazywał przesadnego entuzjazmu, ale tak.

- Hm.

Leonora znieruchomiała z ręką uniesioną do ust.

- Hm, co?

- Z tego, co mi mówiłaś o tym twoim panu Walkerze, mam wrażenie, że nie dałby sobą manipulować, gdyby mu to z jakiegoś powodu nie odpowiadało.

- Nie jest żadnym „moim panem Walkerem”. - Ugryzła ciastko i żuła ponuro. - Był panem Walkerem Meredith.

- Podobno bardzo krótko.

- Meredith z żadnym mężczyzną nie zadawała się długo.

- To prawda. Niemniej jednak fakt, że chce ci pomóc w przyjeździe do Wing Cove, skłania do zastanowienia nad jego własnymi motywami.

Leonora wzruszyła ramionami.

- Mówiłam ci, że jego brat, Deke, miał w zeszłym roku poważne wątpliwości w związku ze śmiercią swojej żony. I uważa, że jej śmierć wiąże się z wypadkiem Meredith. Mam przeczucie, że Thomas chce wykorzystać mój plan, aby uzyskać



odpowiedzi na wątpliwości brata.

- Inaczej mówiąc, skoro postanowiłaś się w to wtrącić, Thomas Walker chce cię wykorzystać.

- Mniej więcej tak to wygląda. Gloria uśmiechnęła się chytrze.

- Tylko nie to, babciu.

- Czy wiesz, moja droga, że gdy mówisz o twoim panu Walkerze, błyszcą ci oczy?

- Po raz ostatni ci powtarzam, że nie jest „moim panem Walkerem”, a błysk w moich oczach jest wyrazem ostrożności, a nie pożądania.

- Obawiam się, moja droga, że u ciebie te dwie rzeczy idą w parze. Pewnego dnia jednak będziesz musiała zaryzykować. Tak to, niestety, działa.

- Już raz zaryzykowałam.

- Z profesorem Dellingiem? Nonsens. Niczym nie ryzykowałam. Załedwie zamoczyłam w wodzie duży palec. Nigdy się naprawdę nie zanurzyłam.

Leonora zmarszczyła nos.

- Nawet gdybym uważała, że Thomas Walker jest interesującym mężczyzną, nie bym nie wskórała, bo on nie ma o mnie zbyt wysokiego mniemania.

- Ludzie zmieniają zdanie.

- Coś mi mówi, że Thomas Walker niezbyt często.

Wyjrzała przez okno na ogród. Właśnie zaczynała się poranna gimnastyka. Trzy rzędy starszych ludzi, w luźnych dresach, stało przed energiczną młodą kobietą w obcisłym kostiumie. Instruktorka była blondynką. Tak jak Meredith.

- Miała takie trudne życie, które w dodatku tak szybko się skończyło - westchnęła Leonora. - Urodziła się pod nieszczęśliwą gwiazdą.

- Była złodziejką i oszustką, moja droga. Sama była sobie winna.

- To jedna z rzeczy, które tak u ciebie lubię, babciu. Potrafisz spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy.

- Niestety, ta umiejętność przychodzi z wiekiem.

## ROZDZIAŁ 4

Leonora siedziała obok Thomasa w ciemnym pokoju jego brata i usiłowała ukryć przerażenie.

Thomas wprawdzie uprzedził ją, że Deke cierpi na rodzaj depresji, ale nie była przygotowana na to, co zobaczyła. Deke, z długą, krzaczastą brodą, długimi, potarganymi włosami i w wymiętym ubraniu wyglądał jak troll, oświetlony trochę niesamowitym światłem monitora.

W pełnym cieni domu panował posępny nastrój, wszystkie żaluzje były zamknięte.

Łatwo było zrozumieć, dlaczego uważano Deke'a za stukniętego.

Najlepiej zachowywał się Wrench, który akceptował wszystko bez mrugnięcia okiem. Leżał wyciągnięty na podłodze, z nosem między wielkimi łapami, i wykazywał całkowitą obojętność na to, co się wokół niego dzieje.

Leonora zerknęła na Thomasa, który siedział obok niej, i pomyślała, że chyba jest przyzwyczajony do tej ponurej atmosfery. Jednak, w przeciwieństwie do psa, wyraźnie się denerwował. Może miał jakieś powody. Deke nie robił wrażenia człowieka zdrowego psychicznie.

- Mam dobre przeczucia związane z pani tutaj obecnością - zaczął z przejęciem Deke. - Jakby była pani czynnikiem katalizującym. Mam nadzieję, że pomoże nam pani narobić tu trochę zamieszania. Spojrzeć na problem pod innym kątem.

- Proszę pokazać bratu książkę i wycinki - poprosił Thomas. Leonora zanurzyła rękę w torbie, znalazła książkę i kopertę z wycinkami i położyła je na biurku Deke'a.

- Meredith wyraźnie napisała, żeby te rzeczy pokazać wam obu. Deke poprawił okulary i przysunął bliżej książkę i wycinki. Przez dłuższą chwilę studiował kopertę z nazwiskiem i adresem Bethany.

- Bethany sama zrobiła kopie tych wycinków i włożyła je do koperty - powiedział. - Chyba nikt nie miał dostępu do jej papierów.

- Ale dlaczego? - Thomas wyciągnął długie nogi i wygodniej rozparł się w fotelu. - Nie miała powodu przejmować się morderstwem sprzed trzydziestu lat.

- Może wzbudziło jej zawodowe zainteresowanie - podsunęła Leonora. - W końcu ofiara też była matematykiem.

- Ale nieznanym w swojej dziedzinie. - Deke pokręcił rozczochraną głową. - Pełnił tylko funkcję młodszego asystenta, a dostał tę pracę prawdopodobnie dlatego,

że był synem i spadkobiercą Eubanksa.

Leonora zmarszczyła brwi.

- Spadkobiercą? Nie myślałam o aspekcie finansowym. Czy dużo odziedziczył? Czy ktoś skorzystał finansowo na śmierci Sebastiana Eubanksa?

- Eubanks nie zostawił spadkobierców - powiedział Thomas. - Pieniądze przeszły do fundacji. Tutaj to znana sprawa. Można by sobie wyobrazić, że zamordował go jakiś znamienity członek zarządu fundacji, aby przyspieszyć przekazanie pieniędzy, ale byłoby to chyba zbyt daleko idące przypuszczenie.

- A nawet gdyby tak się stało, dlaczego miałyby to interesować Bethany? - spytał cicho Deke. - Ona myślała wyłącznie o swojej pracy. Na pewno nie zajmowałaby się szczegółami tego morderstwa, nawet gdyby powzięła jakieś podejrzenia.

- Wyobraźmy sobie, że odkryła jakieś nowe informacje na temat starej sprawy - podsunął Thomas, stykając ze sobą palce dłoni. - Jestem pewien, że wspomniałaby coś tobie, Deke.

- Oczywiście. Nie ma logicznego powodu, dla którego nie miałyby mi o tym powiedzieć.

Leonora spojrzała na Dekea.

- Przejrzałam ten katalog antycznych zwierciadeł w kolekcji Domu Luster, ale nie znalazłam żadnych notatek. Jediną dziwną rzeczą jest to, że ktoś zakreślił na niebiesko jedną z ilustracji. Ten, kto to zrobił, musiał być bardzo stary, bardzo młody albo pijany, bo kółko jest krzywe.

Deke otworzył katalog.

- Na której stronie?

- Osiemdziesiątej pierwszej.

Przerzucił kartki prawie do samego końca, aż dotarł do osiemdziesiątej pierwszej strony. Przez długi czas wpatrywał się w zdjęcie, jakby usiłował odczytać jakieś tajemne znaki.

- Atrament nie wyblakł - stwierdził wreszcie. - Katalog powstał jakieś czterdzieści lat temu, ale to zdjęcie zakreślono całkiem niedawno.

- Rozpoznaje pan lustro? - spytała Leonora.

Wiedziała dokładnie, jak wyglądało, bo wiele razy je studiowała, starając się dojść, co mogło w nim być takiego ważnego.

Lustro było ośmiokątne, miało wklęsłą tafelę i reprezentowało styl typowy dla

początku dziewiętnastego wieku. Rama wykonana była ze srebra, z wizerunkami mitycznych stworów. Gryfy, smoki i sfinksy hasały po brzegach ciemnej lśniącej powierzchni. Na szczycie przysiadł feniks z rozpostartymi skrzydłami.

Deke pokręcił głową.

- Nie. Lecz nigdy nie zwracałem większej uwagi na te stare lustra. Antyki mnie nie interesują.

- Bethany też nie interesowały - przypomniał Thomas. - To na pewno nie ona zakreśliła to lustro.

- Być może to jednak Meredith narysowała kółko wokół lustra - stwierdziła z wahaniem Leonora. - Ale po co?

- Wiele z tych lusterek ma wielką wartość - odparł sztywno Thomas. - Może chciała wziąć sobie jedno czy dwa na pamiątkę?

Leonora rzuciła mu spojrzenie pełne niesmaku.

- To śmieszne. Meredith nie zajmowała się antykami. - Urwała, a potem odetchnęła głęboko. - Poza tym koncentrowała się na pieniądzach z fundacji. Nie miała zwyczaju zajmować się kilkoma sprawami naraz.

- Nie słyszałem, aby jakieś lustro zginęło - powiedział obojętnie Deke.

- W jaki sposób moglibyśmy się dowiedzieć, że Meredith, czy ktokolwiek inny, ukradł parę lusterek? - spytał Thomas. - - Wszystkie ściany w pokojach i na korytarzach tego domu zawieszono antycznym i zwierciadłami. Wątpię, czy ktoś zauważyłby, gdyby część z nich znikła. Zwłaszcza gdyby zabrano je z któregoś z nieużywanych pomieszczeń na drugim piętrze albo na strychu.

- To prawda. - Deke poprawił okulary i powoli przeglądał katalog. - Musielibyśmy przeprowadzić inwentarz, żeby przekonać się, czy coś nie zginęło. To nie byłoby łatwe.

- Oraz byłoby stratą czasu - dodał Thomas. - Zorganizowanie i przeprowadzenie kontroli trwałoby wiele dni, czy nawet tygodni, zakładając, że Rada Absolwentów by się na to zgodziła. A gdyby się okazało, że zginęło parę starych lusterek, to czego by to dowiodło? Katalog powstał czterdzieści lat temu. Nikt nie doszedłby do tego, kiedy lustra zginęły.

- Motyw. - Deke zdjął okulary i postukał palcem w książkę. - Sam powiedziałeś, że niektóre z tych lusterek są bardzo cenne.

- Spoko - powiedział Thomas. - Zajmujemy się morderstwem. Nikt nie zabija dla paru starych lusterek.

- Ludzie giną z głupszych powodów - mruknął Deke. Leonora odczekała kilka sekund.

- Na przykład z powodu narkotyków - zasugerowała. Obaj mężczyźni spojrzeli na nią uważnie.

Położyła dłonie na biurku.

- To jedno z powiązań między Bethany i Meredith, prawda? Plotki o zażywaniu narkotyków.

- Bzdura - powiedział Deke. - Bethany nigdy niczego nie brała.

- Meredith też nie. Mogę przysiąc. - Spojrzała najpierw na jednego, a potem na drugiego. - Czy znacie źródło plotek, jakie krążyły na temat Bethany i o Meredith po ich śmierci?

Thomas zagłębił się w fotelu.

- Wspominał o tym Ed Stoyall. Kiedy przycisnąłem go na temat Bethany, domagając się szczegółów, powiedział, że słyszał tę plotkę od chłopaka, którego zamknął za posiadanie trawki. Stovall powiedział, że nie było to nic konkretnego. Chłopak mówił o pogłoskach o jakimś specjalnym narkotyku, nowym halucynogenie, który pojawiał się od czasu do czasu w ostatnich latach.

- Halucynogen? - powtórzyła Leonora.

- Narkomani nazywają go DiL - powiedział Thomas.

Zmarszczyła brwi.

- Co to znaczy?

- Skrót od Dymów i Luster. Ed mówił, że tak to nazywał ten chłopak. Nikt tego nie potwierdził.

- Ponieważ Bethany nigdy nie brała narkotyków - powtórzył z naciskiem Deke.

- Nie denerwuj się, Deke - uspokoił go Thomas. - Nikt się z tobą nie sprzecza. Nawet Stovall.

- Ed Stovall! to idiota.

- Nie sędzę - powiedział Thomas. - Jest nudny i pedantyczny, ale to chyba dobre cechy u gliniarza.

- W jaki sposób Bethany się zabiła? - spytała Leonora.

- Skoczyła z urwiska na Cliff Drive - odparł cicho Thomas. Leonora przyglądała się swoim rękom.

- Pod wpływem halucynogenów ludziom czasem wydaje się, że potrafią latać. Skaczą ze skał albo rozbijają samochód.

- Ale my jesteśmy pewni, że ani Bethany, ani Meredith nie zażywały twardych narkotyków, prawda? - przypomniał Thomas. - I mamy poparcie policji. Nikt nie twierdzi, że te śmierci miary jakiś związek z narkotykami.

Deke uniósł głowę znad katalogu.

- Co nie znaczy, że jakiś łobuz nie mógł im czegoś dosypać do jedzenia albo do soku. Rutynowe testy wykonane po śmierci nie wykryłyby czegoś tak nowego i egzotycznego, jak ten DiL. Takie badania są bardzo drogie i czasochłonne.

- Ale dlaczego? - spytał cierpliwie Thomas. - Gdzie jest motyw? Wszyscy troje znów spojrzeli na katalog.

- Nie mamy wielu punktów zaczepienia, prawda? - zapytała w końcu Leonora.

- Jedno wiemy na pewno - odparł Deke - że coś w tym wszystkim nie pasuje. I mamy wycinki, i tę książkę. To więcej niż mieliśmy przed pani przyjazdem.

Thomas rozłączył splecione dłonie. Leonora i Deke spojrzeli na niego.

- Ale co dalej? Co takiego? Ma pan jakiś pomysł? - zapytała Leonora.

- Jeśli chcesz mieć punkt wyjścia, Deke - powiedział powoli Thomas - zacznij od morderstwa Sebastiana Eubanksa.

Leonora zmarszczyła brwi.

- Dlaczego?

- Co nam to da? - spytał Deke. - Eubanksa zabito trzydzieści lat temu.

- Nie twierdę, że coś nam to da - powiedział Thomas. - Ale, jak właśnie podkreśliła Leonora, nie mamy zbyt dużo poszlak. Jedną z niewielu, jaką mamy, jest fakt, że, z jakiegoś powodu, Bethany była na tyle zainteresowana morderstwem Eubanksa, aby zrobić kopie wycinków prasowych sprzed trzydziestu lat, które później Meredith przechowała dla nas w skrytce bankowej. To już coś. Niewiele, to prawda, ale jednak konkret.

- Masz rację. - Deke gestem posiadacza położył rękę na kopercie z wycinkami. - Od razu się tym zajmę. Wątpię, czy znajdę coś na ten temat w sieci, bo to stare dzieje, ale w bibliotece jest mikrofilm z „Wing Cove Star” od pierwszego numeru.

Leonora doszła do wniosku, że w bracie Thomasa zaszła w ciągu ostatniej godziny istotna zmiana. Energicznie włożył okulary do kieszeni. Znikł gdzieś ponury nastrój, a na jego miejscu pojawiła się determinacja. Deke przerodził się w człowieka czynu.

Rzuciła okiem na Thomasa. Coś w jego twarzy mówiło jej, że zmiana nastroju brata budziła w nim mieszane uczucia. Rozumiała go. Z psychologicznego punktu

widzenia stan Deke'a mógł się pogorszyć, gdyby ich działania spełzyły na niczym. Fałszywa nadzieja była gorsza niż brak nadziei, gdyż karmiła się fantazjami i podsyciała złudzenia.

Niech będzie, pomyślała. Była po stronie Deke'a. Przyjechała do Wing Cove, żeby znaleźć odpowiedzi, a jedynym sposobem, żeby do nich dotrzeć, było podążanie każdym możliwym śladem, nawet jeśli prowadził w ślepy zaułek.

- Mówiłem ci, że musimy znaleźć nowy punkt odniesienia, jeśli mielibyśmy mieć szansę, żeby znaleźć coś, czego nie znalazł prywatny detektyw w zeszłym roku - powiedział Deke. - Być może taką szansą jest ta książka i wycinki.

- Wynajął pan prywatnego detektywa, żeby zbadał okoliczności śmierci Bethany? - spytała z ożywieniem Leonora.

- Jasne, ale niczego nie znalazł. Oprócz tych samych plotek o narkotykach, o których mówił Stovall. Zwolniłem go po miesiącu.

Oklapnięte ucho Wrencha poruszyło się. Uniósł nos i skierował go w stronę drzwi. Niemal w tej samej chwili ktoś głośno zastukał.

- To Cassie. - Deke zamknął katalog i wstał z nieoczekiwaną energią. - Moja instruktorka jogi. Otworzę jej. Odsuń zasłony, Thomas, dobrze? Ona zawsze narzeka, że tu jest za ciemno.

- Nie ma sprawy. - Thomas wstał z fotela i energicznie odsunął zasłony. - Nie mogę powiedzieć, że bym był zachwycony wystrojem tego wnętrza - dodał cicho, tak żeby tylko Leonora go słyszała.

Deke przeczesał palcami włosy i potarganą brodę i poszedł otworzyć drzwi.

Leonora odwróciła się i zobaczyła kobietę z krótkimi, rudymi, kręconymi włosami i figurą, która mogłaby być modelem dla Statuy Wolności. Statua Wolności nie nosiła jednak dresu.

- Cassie, to jest Leonora Hutton - przedstawił ją Deke. - Znajoma Thomasa. Leonoro, pani pozwoli, to jest Cassie Murray.

- Bardzo mi miło - powiedziała Leonora.

- Mnie także.

Cassie przemaszerowała przez pokój wielkimi krokami, z wyciągniętą dłonią. Leonora wstała i przygotowała się na najgorsze.

Wrench podniósł się i zamachał ogonem. Cassie poklepała go po głowie, ujęła dłoń Leonory i entuzjastycznie potrząsnęła nią kilka razy.

- Milo zobaczyć tu kogoś nowego. - Uśmiechnęła się szeroko do Leonory. - Od

wielu miesięcy tłumaczę mojemu uczniowi, że powinien poszerzyć krąg znajomych i przyjaciół. Całymi dniami siedzi w tej jaskini, gapiąc się w sztuczne światło ekranu komputerowego, a potem się dziwi, że coś blokuje jego linie energetyczne.

Leonora pomyślała, że Cassie ma co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu. W butach na płaskim obcasie górowała z pięć centymetrów nad Dekiem. Jej linie energetyczne były najwyraźniej w porządku. Emanowała energią.

- Witaj, Cassie. - Thomas odsunął kolejne zasłony. - Co słyhać?

- Wszystko dobrze. Pomogę ci. - Cassie podeszła do najbliższego okna i jednym szarpnięciem odsunęła story. - Nie można ćwiczyć jogi bez naturalnego światła. Co pani sądzi o brodzie Deke'a, Leonoro? Usiłuję go namówić, żeby ją zgolił.

Leonora rzuciła szybkie spojrzenie na brata Thomasa. Mogłaby przysiąc, że się zaczerwienił. Ale chodziło jeszcze o coś innego. Przyglądał się Cassie, jakby była prezentem, który boi się otworzyć.

- Co kto lubi - powiedziała ostrożnie Leonora. Nie uważała, aby z brodą było bratu Thomasa szczególnie do twarzy, nie chciała jednak wprawiać go w jeszcze większe zakłopotanie.

Gdy wszystkie zasłony zostały rozsunięte, Cassie rozejrzała się po pokoju.

- Tak jest o wiele lepiej - oznajmiła. - W jodze szuka się słońca, a nie ciemności.

- Na dworze jest mgła, Cassie - powiedział Deke. - Nie widać słońca.

- Nie szkodzi. Najważniejsze jest naturalne światło. Mgła jest naturalna.

- Niech ci będzie. - Deke wzruszył ramionami. - Jesteś ekspertem. Thomas dotknął ramienia Leonory, w milczeniu zachęcając ją do wyjścia.

- Właśnie mieliśmy wychodzić - powiedział, podając jej płaszcz. - Prawda, Leonoro?

- Tak. - Leonora pospiesznie chwyciła torbę. - Zostawiamy państwa sam na sam z jogą.

Wrench już czekał przy drzwiach. Thomas zapiął mu smycz i we troje wyszli na zamglony poranny świat.

Thomas postawił kołnierz marynarki. Kiedy szli ulicą do ścieżki, nie odezwał się słowem.

Było zimno. Leonora włożyła rękawiczki i naciągnęła na głowę kaptur płaszcza.

- Czy pani myśli, że on sypia z Cassie? - spytał nagle Thomas. Pytanie oderwało ją od myśli o morderstwie i antycznych lustrach.

- Mówi pan o bracie?



- Tak. Czy pani zdaniem coś ich łączy? Leonora poczuła, że się czerwieni.

- Dlaczego mnie pan pyta? To pana brat, nie mój. Zna go pan lepiej niż ja.

- Martwię się. Deke bardzo się zmienił w ciągu ostatniego roku. Od śmierci Bethany jest innym człowiekiem. Przygnębionym. Ponurym. Spędza zbyt wiele czasu w Internecie.

- Uważa pan, że romans z instruktorką jogi poprawiłby mu humor?

- Na pewno by nie pogorszył. Widziała pani Cassie - kontynuował z entuzjazmem. - Sądzę, że byłaby dobrą odtrutką na jego obsesję na temat śmierci Bethany i wszystkie te spiskowe teorie, które snuje od paru miesięcy.

Leonora przystanęła i odwróciła w jego stronę.

- Dlaczego mężczyznom zawsze się wydaje, że pójście z kimś do łóżka wszystko załatwia?

Thomas też się zatrzymał.

- Wcale nie mówiłem, że pójście do łóżka wszystko załatwia - mruknął. - Pomyślałem tylko, że może poprawiłoby mu nastrój. Odwróciło uwagę od ponurych spraw. Cassie chyba mu się podoba. Tak mi się przynajmniej wydaje. Te lekcje jogi to jedyna rzecz, na jaką co tydzień czeka. Zdziwiłem się, gdy zapłacił za cały rok z góry.

- A zatem pańskim światłym zdaniem Deke powinien wskoczyć do łóżka Cassie? Uważa pan seks za formę terapii?

Thomas wzruszył ramionami.

- Warto spróbować.

- Nie wiem, co Cassie myśli o pańskiej teorii, aleja mogę powiedzieć, że z całą pewnością nie wskoczyłabym do łóżka facetowi, który chciałby mnie wykorzystać do rozwiązania problemów psychicznych - oświadczyła Leonora z oburzeniem.

Thomas zamrugał gwałtownie, wyraźnie zdumiony tym wybuchem.

- Hej, niech się pani nie denerwuje. Powiedziałem tylko, że Cassie byłaby dobra dla mojego brata.

- Czy gdyby był pan na miejscu brata, chciałby pan iść do łóżka z instruktorką jogi tylko to po to, aby się przekonać, czy poprawi to panu humor?

Thomas zastanawiał się przez chwilę.

- To zależy od instruktorki.

- Wielki Boże!

- Tylko to przyszło mi do głowy.

. - Naprawdę? Jak długo rozmyślał pan nad tym genialnym pomysłem? A o

Cassie też pan myślał? Wziął pan pod uwagę jej uczucia? Może ona, tak samo jak ja, wcale nie chciałaby być wykorzystywana jako forma terapii?

- Dajmy już spokój. - Odwrócił się i ruszył przed siebie. - Chciałem się tylko dowiedzieć, czy pani zdaniem mają romans. Ale najwyraźniej zamierza pani przekreślać wszystko, co mówię, więc nie ma sensu o tym rozmawiać.

Leonora odetchnęła głęboko i powiedziała sobie, że należy zachować spokój. Thomas ma rację. Przesadziła. Nie było powodu brać tego tak osobiście. Rozmawiali o Deke'u i Cassie. O dwojgu ludziach, których prawie nie zna.

W końcu Thomas nie proponował, żeby to ona poszła z nim do łóżka w celach terapeutycznych.

Ruszyła szybciej, aby go dogonić.

- Wiem, że martwi się pan o brata. Nie jestem ekspertem, ale uważam, że seks nie jest lekarstwem na jego problemy.

- Boję się o niego.

- T dlatego zgadza się pan na śledztwo w sprawie śmierci Bethany, prawda? Traktuje to pan jak odtrutkę.

- Nie jestem pewien, czy działam w jego interesie. A jeśli niczego nie wyjaśnimy? Może pograży go to jeszcze bardziej.

Rozmyślała przez dłuższą chwilę, wpatrując się w mgłę.

- Zamknięcie - stwierdziła w końcu.

- Co?

- Uważam, że to jest najważniejsze dla pańskiego brata. Nie tylko rozwiązanie zagadki, lecz także pewnego rodzaju zamknięcie.

Thomas znów przystanął i spojrzał na Leonorę.

- O czym pani mówi?

- Nie jestem psychoanalitykiem, ale nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że częściową przyczyną obsesji Deke'a, związanej ze śmiercią Bethany, jest fakt, że jego żalobę komplikuje jakieś inne uczucie.

- Czuje się winny, ponieważ nie zdołał uchronić jej przed śmiercią? - Thomas włożył rękę do kieszeni. - Myślałem o tym. Każdy mężczyzna miałby problemy, gdyby nie zdołał ustrzec swojej kobiety przed nieszczęściem. Usiłowałem z nim o tym rozmawiać. Nie mogłem przecież niczemu zapobiec. Nikt nie mógł niczemu zapobiec.

- Może jest coś więcej. Żadne małżeństwo nie jest doskonałe, a nagła śmierć nie pozwala się pożegnać ani rozwiązać istniejących problemów. Kto wie, co się działo w

małżeństwie Deke'a i Bethany w tygodniach i miesiącach poprzedzających jej śmierć? Może mieli kłopoty? Może pokłócili się tego ostatniego dnia i Deke czuje się winny, bo nie miał okazji, żeby ją przeprosić.

- Uważa pani, że prześladowają go jakieś nierozwiązane problemy?

- Może. Nie wiem. Powiedziałam, że potrzebuje zakończenia i że wmówił sobie, iż załatwi to odnalezienie zabójcy Bethany. - Zawahała się. - Kto wie? Może jestem tu z tego samego powodu. Zamknięcia. Zakończenia. Ja też nie pożegnałam się z Meredith.

- To wszystko jest cholernie skomplikowane, prawda?

- Życie jest skomplikowane, a seks niczego nie upraszcza. Najwyżej jeszcze bardziej komplikuje.

Thomas milczał.

Spojrzała na niego spod oka.

- Nie wierzy mi pan, prawda?

- Muszę pani powiedzieć, że seks nigdy nie był dla mnie czymś specjalnie skomplikowanym.

- To jest najlepszy dowód. Zmarszczył brwi.

- Na co?

- Na to, że mężczyźni i kobiety traktują seks w zupełnie inny sposób.

- Cholera! Dlaczego nagle rozmawiamy o seksie?

- To pan zaczął. Spytał mnie pan o zdanie, a ja powiedziałam, co myślę. Uważam, że Deke nie będzie szczęśliwy, dopóki nie rozprawi się z przeszłością. A odpowiadając na pana pytanie, nie uważam, że Deke sypia z Cassie Murray, a gdyby nawet tak było, wątpię, czy rozwiąże to jego problemy lub przyniesie mu spokój.

- To znaczy, że musimy szukać odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ 5

- Witam w Domu Luster, mam nadzieję, że będzie się tu pani dobrze czuła, Leonoro - powiedziała Roberta Brinks, nalewając kawę. - Ja i moi pracownicy będziemy w ciągu kilku następnych tygodni bardzo zajęci przygotowaniem dorocznego zjazdu absolwentów. Obawiam się, że będzie tu dużo zamieszania.

- Uważam, że spotkania absolwentów są bardzo ważne. - Leonora starała się, aby zabrzmiało to szczerze i serdecznie.

- Straszne zawracanie głowy. - Roberta roześmiała się. - Ale gdzie byśmy byli bez naszych szczodrych absolwentów, co? W każdym razie sądzę, że na pierwszym piętrze nikt nie będzie pani przeszkadzał. Nikt specjalnie nie korzysta z tej części domu. A drugie piętro jest całkowicie wyłączone z użytku. Używamy tych pomieszczeń jako magazynów.

- Dziękuję za oprowadzenie mnie po domu - powiedziała Leonora. - Jest naprawdę zdumiewający.

Rzuciła ciężką torbę na podłogę, usiadła na jednym z dwóch krzeseł ustawionych przed biurkiem i przyglądała się Robercie nalewającej kawę.

Wcześniej Roberta przedstawiła się jako dyrektor administracyjny Domu Luster. Była atrakcyjną, dobrze zbudowaną kobietą, mniej więcej sześćdziesięcioletnią, która roztaczała wokół siebie atmosferę władzy. Jej krótko przycięte włosy musiały być kiedyś bardzo ciemne. Teraz miały zaskakująco srebrny kolor. Nosiała białą, jedwabną bluzkę, szal w tureckie wzory, granatową spódnicę i granatowe pantofle.

- Bardzo mnie interesuje architektoniczny styl Domu Luster - powiedziała Leonora. - Nie potrafię go dokładnie określić.

Roberta skrzywiła się.

- Formalnie rzecz biorąc, jest to mieszanka stylu wiktoriańskiego i gotyckiego. Wielu znanych architektów uznało go za bardzo brzydki. Jednak Nathaniel Eubanks był szalenie bogatym ekscentrykiem. Bogatym ekscentrykiem, którzy zakładają prywatne uniwersytety i zapewniają pokoleniom uszczęśliwionych profesorów stałe etaty, wolno budować dziwaczne rezydencje.

- Ach, tak. Problem stałego etatu.

- Właśnie. - Roberta mrugnęła. - Poza tym musi pani przyznać, że to miejsce ma charakter.

Leonora pomyślała, że słowo „charakter” jest w tym wypadku grzecznym eufemizmem. Przed przyjazdem do Wing Cove miała pewne wyobrażenia na temat tego miejsca, ale pierwsze spojrzenie na Dom Luster sprawiło, że po plecach przeszedł jej dreszcz autentycznego przerażenia. Widziała w życiu dość horrorów, żeby rozpoznać, na czym wzorowano Dom Luster: na miejscu, w którym szaleni naukowcy produkowali w piwnicach potwory.

Na szczęście jestem normalną, zdrową psychicznie bibliotekarką, na której takie rzeczy nie robią wrażenia, pomyślała.

Niemniej jednak Dom Luster był tym, czym był: wielkim gmaszyskiem z szarego kamienia, z trzema wysokimi kondygnacjami o złych proporcjach, stojącym na gęsto zalesionym terenie, na południowym krańcu Wing Cove. W ponury dzień, z wężowymi smugami mgły unoszącymi się nad zimnymi wodami cieśniny, dom wprost tonął w mgłach. Jego wizerunek mógłby z powodzeniem zdobić okładkę powieści gotyckiej.

W środku, jej zdaniem, było jeszcze gorzej niż na zewnątrz. Wysokie jodły i cedry otaczające budynek, wąskie okna skutecznie broniły dostępu dziennemu światłu.

Biuro Roberty na parterze było najprzyjemniejszym pomieszczeniem w Domu Luster. Wydawało się nawet, że jest tu cieplej. Na ścianach wisiały dziesiątki zdjęć i oprawionych w ramki listów od znanych absolwentów. W kolorowym pojemniku przy oknie rosła duża palma, która przydawała całości wesołego, choć trochę surrealistycznego tropikalnego koloru. Po obu stronach komputera Roberty poprzyklejane były niezliczone karteczki. Na biurku leżały kolorowe segregatory i imponująca kolekcja piór.

Przez otwarte drzwi widać było kawałek korytarza. Ze swojego miejsca Leonora widziała kilka starych luster, które wisiały na ścianach.

Korytarzem przeszła młoda kobieta w dzinsach i w swetrze, z długimi włosami koloru miodu związanymi w koński ogon.

- Przepraszam, to moja studentka asystentka. - Roberta odstawiła dzbanek z kawą. - Chcę, aby ją pani poznała. Jest tu codziennie przez kilka godzin.

Roberta podeszła pospiesznie do drzwi.

- Julie? - zawołała.

Julie zawróciła. W ręku z długimi paznokciami trzymała puszkę coli.

- Słucham?

- Chcę cię przedstawić pani Leonorze Hutton. Będzie pracowała na górze w bibliotece przez kilka miesięcy. Leonoro, to jest Julie Bromley.

Julie grzecznie skinęła głową.

- Dzień dobry pani.

- Miło mi panią poznać, Julie. Roberta odwróciła się do Julie.

- Nie zapomnij skontaktować się dziś po południu z dozorcą, Jeszcze nie zajął się dywanami.

- Nie zapomnę, proszę pani.

- Dobrze. To na razie wszystko, moja droga. Julie znikła. Roberta wróciła do nalewania kawy.

- Cukier czy mleko? - spytała.

- Ani. ani, dziękuję.

Leonora nie lubiła kawy, ale nic nie powiedziała, kiedy zauważyła, że Roberta nie ma herbaty w torebkach. Z pewnością potrafi z grzeczności przełknąć kilka łyków.

- Od jak dawna jest pani dyrektorem administracyjnym? - zapytała, gdy Roberta podała jej kubek.

- Och, bardzo długo. - Roberta obeszła biurko i usiadła. - W przyszłym miesiącu przechodzę na emeryturę. Od dziś za sześć tygodni będę na statku płynącym dookoła świata.

- To fantastycznie.

- Tak, bardzo się cieszę. Kupiłam sobie całą nową garderobę na tę wycieczkę. - Roberta rozejrzała się po pokoju. - Muszę jednak przyznać, że będę się dziwnie czuła, zostawiając to miejsce. Kiedy myślę, że to ma być moje ostatnie spotkanie absolwentów, chce mi się płakać.

- Rozumiem. - Leonora ostrożnie upiła mały łyżeczek kawy. Nie była zła, jeśli lubiło się kawę. - Dziękuję za oprowadzenie po budynku. Na pewno jest pani bardzo zajęta.

- Nie ma za co. Cieszę się, że biblioteka zostanie włączona do sieci. Od dawna uważam, że te książki powinny być dostępne dla naukowców. Są wśród nich rzadkie, interesujące i cenne okazy. Nathaniel Eubanks zbierał wszystko, co wiązało się z antycznymi zwierciadłami.

- Dlaczego tak się nimi fascynował? Z tego, co tu widzę, miał prawdziwą obsesję. Wiszą dosłownie wszędzie.

- To bardzo smutna historia. W ich rodzinie choroba psychiczna była

dziedziczna. Niektórzy ludzie twierdzili, że Eubanks wierzył w to, iż nie zwariuje, jak inni krewni, pod warunkiem że będzie oglądał się codziennie w lustrze. Zdaniem innych był przekonany, że w niektórych lustrach widzi swoje przeszłe życia. Faktycznie wiemy tylko, że choroba go w końcu dopadła. Popęłił samobójstwo.

- Rozumiem.

Załatwienie posady bibliotekarki w Domu Luster okazało się zdumiewająco łatwe.

Deke, jako przewodniczący Fundacji imienia Bethany Walker, po prostu poinformował administrację Eubanks College, że fundacja zapłaci zawodowej bibliotekarce za wprowadzenie biblioteki Domu Luster do sieci internetowej. Dla upamiętnienia Bethany Walker.

Dyrekcja uczelni nigdy nie odmawiała żadnych pieniędzy, nawet jeśli uważała, że to wyrzucanie ich w błoto.

Leonora wypila pół kubka kawy, nim wreszcie mogła pójść do siebie.

- Czy mogę skończyć na górze? - spytała, unosząc w górę kubek. - Powinnam zabrać się do pracy. Chcę przejrzeć kolekcję. Zorientować się w sytuacji. Później oddam kubek, dobrze?

- Oczywiście. Niech pani idzie i nie martwi się kubkiem. - Roberta machnęła ręką. - I proszę się do mnie zwracać, jeżeli będzie pani czegoś potrzebowała. Moje drzwi są zawsze otwarte.

- Dziękuję.

Leonora przeszła długim korytarzem do schodów. Na parterze było kilka biur. Dwa pokoje zajmowały Roberta i Julie, w trzecim było ciemno. Na drzwiach wisiała tabliczka: FUNDACJA ROZWOJU ABSOLWENTÓW NA RZECZ EUBANKS COLLEGE. Tutaj pracowała Meredith w czasie tego krótkiego czasu, który spędziła jako organizatorka funduszy. Podczas pokazywania jej domu Roberta wspomniała o niej w przelocie.

Panna Spooner odeszła dość nagle. Podobno dostała jakąś propozycję z Kalifornii. Organizatorzy funduszy są dziś bardzo poszukiwani. Do dziś nie znaleźliśmy nikogo na jej miejsce.

Na parterze panował ruch i zamieszanie, gdyż szykowano duże sale konferencyjne na główne wydarzenie zjazdu absolwentów - uroczyste przyjęcie. Leonora minęła po drodze pracowników firmy sprzątającej i mężczyznę na wysokiej drabinie, który wymieniał żarówki w wielkim żyrandolu.

Dom Luster to była właściwa nazwa dla tego budynku. Prawie każdą ścianę pokrywały lustra i stare zwierciadła. Jednak ta ogromna ilość odbijających wszystko powierzchni nie przyczyniła się do rozjaśnienia wnętrza. Wnętrze starego domu urządzone w ciężkim, wiktoriańskim stylu, z użyciem czerwonego aksamitu i ciemnego drewna, wydawało się pogrążone w nieustannym półmroku.

Na górze było jeszcze gorzej. Leonora zatrzymała się i spojrzała przed siebie, na długi ciemny korytarz pierwszego piętra. Biblioteka znajdowała się w czwartym pomieszczeniu od lewej. Lustra w ozdobnych, rzeźbionych i złożonych ramach, błyszcząły złowróźnie. Zapraszały ją do swego ponurego wnętrza? Czy ostrzegały, by nie wchodziła w ciemność?

Ogarnęła ją niewytłumaczalna i trudna do opanowania chęć, aby się odwrócić i uciec. Zaciśnęła dłoń na rzeźbionej balustradzie i odczekała chwilę.

Po kilku sekundach zmusiła się, żeby przejść korytarzem do biblioteki. Wróciła myślą do badań, jakie przeprowadziła przed przyjazdem do Wing Cove. Wiedziała, że istnieje logiczny powód, dla którego lustra na ścianach były ciemne i zamglone. To były prawdziwe antyki, pochodzące w dużej mierze z końca osiemnastego i początku dziewiętnastego wieku.

Starym zwierciadłom brakowało jasnych optycznych proporcji współczesnych lusterek. Ich powierzchnia od początku nie była zbyt jasna z racji niedostatecznej technologii z czasów, w których powstały. Stare lustra ciemniały z wiekiem z powodu wad szkła i ciemnienia metali, które się pod nim znajdowały.

Dobrze, lustra były stare i ciemne, ale dlaczego miała niepokojące wrażenie, że te antyczne zwierciadła dosłownie wsysały światło, zamiast je odbijać?

Wrench spojrzął znad miski z wodą, gdy Thomas wyszedł z warsztatu.

- Szósta godzina. - Thomas podszedł do okna i spojrzał na drzewa po drugiej stronie ciemnej zatoki. - U niej się świeci. Wróciła do domu.

Ta obserwacja nie zrobiła szczególnego wrażenia na psie. Niemniej jednak spojrzął z wyczekiwaniem na drzwi.

- Masz rację. - Thomas odwrócił się od okna, przeszedł przez pokój, wziął kurtkę, małą latarkę i smycz. - Musimy się trochę przewietrzyć. Co ty na to, żebyśmy sprawdzili, co słychać u nowej lokatorki? Może trzeba jej coś naprawić.

Wrenchowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Zadowolony wyszedł na dwór i stał cierpliwie na ganku, czekając, aż Thomas pozamyka drzwi i przypnie mu smycz.



Zeszli po schodach na ciemną ścieżkę, która prowadziła do oświetlonej alejki.

To tylko spotkanie w interesach, pomyślał Thomas, stawiając kołnierz kurtki, bo nocne powietrze było zimne i wilgotne. Tylko po to tam szedł. Chciał się dowiedzieć, jak minął jej pierwszy dzień w Domu Luster. Spytać, czy znalazła jakiś ślad. Porównać notatki. Sprawdzić, czy nie ma problemów z instalacją wodno - kanalizacyjną. Nie miał zbyt dużo czasu, aby porządnie przygotować dom na jej przyjazd. Zamierzał zacząć główne prace remontowe dopiero po wakacjach.

Tego wieczoru w alejce nie było tłumów. Thomas pozwolił psu torować im obu przejście między biegaczami. Ludzie na ogół schodzili Wrenchowi z drogi. Nie wiadomo dlaczego, nikt nie rozpoznawał w nim małego pudelka z poprzedniego wcielenia.

Doszli do mostu i, jak zwykle, mieli go wyłącznie dla siebie. Poważni sportowcy rzadko korzystali z tego skrótu.

Thomas nie mógł oderwać wzroku od ciepłego światła w oknie Leonory. Przez głowę przemknęło mu porównanie do robaczków z bardzo małymi rozumkami, przyciąganych do płomienia świec, od którego ciepła padały trupem. Po chwili jednak odpędził te myśli.

Chodzi przecież o interesy.

Droga od niego do Leonory zabierała około piętnastu minut. Krótki spacer. Wrench rzucił mu zdziwione spojrzenie, kiedy skręcili z alejki na ścieżkę prowadzącą do domu Leonory, ale nie protestował.

Zatrzymali się przy drzwiach wejściowych. Wrench usiadł i wywalił język. Thomas zastukał. Obiecał sobie, że niezależnie od wszystkiego on nie będzie pokazywał języka.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i stanęła w nich Leonora. Miała na sobie ciemnoczerwoną koszulę ze sztruksu, która podkreślała jej kształty, i czarne spodnie. Ciemne włosy związała luźno na karku czarną tasiemką.

- Cześć - powiedziała grzecznie, choć ostrożnie.

- Dobry wieczór. - Cholera. Ta kobieta świetnie wygląda, pomyślał.

Wrench szturchnął nosem dłoń Leonory. Spojrzała na niego i delikatnie poklepała go po głowie. Pies pokazał zęby w uśmiechu.

Podniosła wzrok na Thomasa. Ciekaw był, czyjego też poklepie po głowie.

- Pomyślałem, że sprawdzę, czy u pani wszystko w porządku - wyjaśnił, kiedy stało się oczywiste, że nie podrapie go za uszami.

- Jak najbardziej.

Rozejrzał się, starając się zajrzeć do dużego pokoju.

- Meble się nadają?

- Tak. Niektóre są może trochę za duże do tej małej przestrzeni, ale mnie to nie przeszkadza.

Przypomniał sobie, jak wybierał w sklepie meble z trzech podstawowych zestawów, jakie mieli w ofercie. W końcu zdecydował się na Tradycyjny Wiejski Komfort, ponieważ łóżko było duże, a on lubił duże łóżka. Co on sobie właściwie myślał? Przecież ona i tak nie zaprosi go do łóżka.

Zastanawianie się nad rozmiarami łóżka w małej sypialni Leonory nie miało większego sensu. Postanowił zmienić temat.

- Jadła już pani kolację?

- Nie, właśnie zamierzałam coś sobie przyrządzić.

- Dotrzyma mi pani towarzystwa? W mieście jest knajpka, w której podają bardzo dobrą rybę. Możemy się też czegoś napić. I porozmawiać o naszym... śledztwie.

Zastanawiała się przez krótką chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

- Czemu nie?

- Dzięki. Doceniam pani entuzjazm. Byłem przygotowany na odmowę.

- Naprawdę? - Uniosła w górę jedną brew. - Często spotykają pana odmowy?

- Tu chodzi przede wszystkim o mojego psa. Wrench nie każdemu się podoba.

Spojrzała na psa. • - Zrzuca pan winę na psa, gdy spotyka się pan z odmową?

- Jemu to nie przeszkadza, a mnie zaoszczędza urażonej dumy.

- Czyli zawsze pan wygrywa.

- Tak, tak właśnie na to patrzę. Proszę włożyć płaszcz i wychodzimy.

- A Wrench?

- Przejdziemy przez most i zostawimy go w domu.

Skinęła głową, odwróciła się, otworzyła szafę i wyjęła długi czarny, puchowy płaszcz.

Pomógł jej go włożyć. Dzięki temu miał okazję zobaczyć z bliska wygięcie jej szyi i poczuć jej zapach. To, co zobaczył, bardzo mu się podobało. To, co poczuł także. Pachniała cytrynowym mydłem i kobiecym ciepłem. Nie lubił mocnych perfum.

Przeszli przez most do domu Thomasa. Wrench, gdy zorientował się, co go czeka, rzucił mu żalosne spojrzenie.

- Wiesz, że nie wpuszczacie do knajpy - przypomniał mu Thomas. - Już kiedyś próbowałeś się tam wślizgnąć i ci się nie udało.

- Właściciel zapewne nie przepada za wilkami - stwierdziła ironicznie Leonora.

- Mówiłem już, że nie powinna pani sądzić go po wyglądzie. Thomas odpiął smycz.

- Dobrze, dobrze, wiem. Pudel w poprzednim wcieleniu.

- Miniaturka. Różowa.

Wrench zaprzestał żalonych spojrzeń i poszedł w kierunku kuchni i miski zjedzeniem.

Leonora przyglądała się, jak Thomas zamyka drzwi na klucz.

- Jest pan pewien, że on nie gryzie?

- Mówiłem już, że w głębi ducha jest pacyfistą. Zupełnie niegroźnym.

- A jakiej właściwie jest rasy?

- Nie mam pojęcia. Wziąłem go ze schroniska dla psów, jak był szczeniakiem.

Zeszli po schodach i poszli alejką do Wing Cove. Małe centrum handlowe składało się z dwóch księgarni, sklepu komputerowego, poczty, kilku innych sklepów, które obsługiwały głównie studentów, pubu i paru małych restauracji.

Thomas przepuścił przed sobą Leonorę przez podwójne drzwi do ciepłego przytulnego wnętrza jego ulubionej kafejki. W kamiennym palenisku buzował ogień. Drewniane podłogi błyszczały w przyćmionym świetle. Dwaj młodzi kelnerzy w białych fartuchach i czarnych spodniach kręcili się pośród zgromadzonych gości.

Thomas rozpoznał wielu klientów, którzy witali go skinieniem głowy? gdy szedł z Leonora do stolika w rogu. Uprzejmym, nieco ostrożnym skinieniem. W końcu był bratem tego zwariowanego Deke'a Walkera.

Kiedy odsuwał krzesło dla Leonory, zauważył przy sąsiednim stoliku Osmonda Kerna, spoglądającego na wszystkich z lekką wyższością, typową dla pracowników naukowych. Z kobietą, którą Ed Stovall zidentyfikował jako córkę Kerna, Elisę.

Nawet z pewnej odległości widać było, że przesadnie ostrożne ruchy Osmonda miały rekompensować nadmierne spożycie alkoholu. Na stoliku stała szklanka z napoczętym martini, z pewnością nie pierwsza tego wieczoru.

Elissa siedziała spięta, jak wszyscy, którzy muszą pokazywać się publicznie w towarzystwie kogoś, kto za dużo pije, a w dodatku może się nieodpowiednio zachowywać, a nawet wywołać skandal.

Thomas usiadł naprzeciwko Leonory i otworzył kartę.

- Co sływać w Domu Luster?

- Jak na razie wszystko w porządku, nie mam żadnych ekscytujących informacji. Pracuję w bibliotece. Muszę powiedzieć, że zaskoczył mnie ten zbiór książek.

- Dlaczego?

- Jest naprawdę niesamowity. Na razie przejrzałam go bardzo pobieżnie, ale zauważyłam sporo rzadkich i cennych pozycji. Od artykułów naukowych na temat ręcznych lusterek z brązu u starożytnych Greków po techniczne rozprawy o wytwarzaniu luster w siedemnastowiecznej Francji i Anglii. Jest bardzo dużo materiałów o symbolice luster w sztuce i mitologii. Ludzi od wieków fascynowały odbicia.

- „Lustreczko, powiedz przecie” i tak dalej - uśmiechnął się Thomas.

- Właśnie. - Rozłożyła serwetkę i położyła ją na kolanach. - W wielu kulturach istnieje mnóstwo mitów związanych ze zwierciadłami i odbiciami. Pamięta pan historię Narcyza?

- Zakochał się we własnym odbiciu, prawda?

- Tak. Oprócz mitów i bajek o lustrach są jeszcze wszystkie te obrazy starych mistrzów, takich jak Jan van Dyck, Rubens czy Goya, którzy wykorzystywali lustra w celach symbolicznych. Leonardo da Vinci szczegółowo studiował lustra.

- Widziałem reprodukcje jego notatek - powiedział Thomas. - Pisał je, jakby były lustrzanym odbiciem. Lewą ręką od lewa do prawa.

- Owszem. Lustra miały też duże znaczenie w wierzeniach Azteków i starożytnych Egipcjan.

Thomasa rozbawił entuzjazm Leonory.

- Ależ wierzę pani. Skrzywiła się.

- Nie miałam zamiaru pana nudzić. Chciałam tylko podkreślić, że zbiór w Domu Luster jest unikatowy. Naprawdę powinno się go wprowadzić do Internetu i udostępnić badaczom.

Wzruszył ramionami.

- Mówiono mi też, że wiele z tych starych luster, które wiszą na ścianach, ma dużą wartość. Ale zgodnie z ostatnią wolą Nathaniała Eubanksa, ani lustra, ani książki nie mogą być sprzedane czy przekazane jakiegóż innej instytucji, chyba że sam budynek uległby zniszczeniu.

- Roberta Brinks, dyrektor administracyjny Domu Luster, powiedziała mi, że

Nathaniel Eubanks miał fioła na punkcie luster. Korytarz na pierwszym piętrze jest naprawdę niesamowity.

- Niektórzy ludzie twierdzą, że doprowadził się do szaleństwa tymi zwierciadłami. - Thomas uważnie studiował kartę dań, choć znał ją na pamięć. - Bethany też była nimi zafascynowana. Całymi godzinami przesiadywała w bibliotece, pracując nad swoją Teorią Luster.

- Co to takiego?

- Coś na temat tłumaczenia matematycznych relacji między pozytywnymi a negatywnymi liczbami. Miała nadzieję, że w końcu jej teoria pomoże fizykom zrozumieć, co się dokładnie wydarzyło we wszechświecie w ciągu kilku pierwszych sekund po Wielkim Wybuchu.

- O!

- Właśnie. O! - Kiedy otworzyła usta, aby coś dodać, uniósł do góry rękę. - Proszę mnie nie pytać o bliższe szczegóły, bo nie jestem matematykiem. - Zniżył głos. - Ten mężczyzna, który tam siedzi, z córką, mógłby to wytłumaczyć lepiej niż ktokolwiek inny w tym towarzystwie. Oczywiście, gdyby nie był pijany.

Obejrzała się szybko i znów spojrzała na Thomasa.

- Kto to jest?

- Doktor Osmond Kern. Każdy, kto wie cokolwiek o matematyce, zna to nazwisko. Kilkanaście lat temu odkrył algorytm, który okazał się bardzo ważny w informatyce i wpisał swoje nazwisko do podręczników. Zarobił też masę forsy. Jest pracownikiem naukowym Eubanks College.

Leonora uśmiechnęła się.

- Z pewnością ma stały etat.

- O, tak.

W końcu podszedł do nich jeden z młodych kelnerów. Leonora zamówiła kieliszek wina, Thomas piwo. Oboje zamówili smażonego halibuta.

Thomasowi sprawiło to dziwną przyjemność. W końcu coś ich połączyło. Ryba.

- To, co mi najbardziej przeszkadza w naszej teorii spiskowej - powiedziała Leonora w trakcie posiłku - to fakt, że Bethany i Meredith były takie różne. Dwie różne kobiety z dwóch różnych światów.

- I dlatego to wszystko jest takie frustrujące. - Thomas nadział na widelec kawałek halibuta. - Jeśli Deke ma rację, powinny być między nimi jakieś oczywiste powiązania. A one nawet nie zajmowały się tym samym w Domu Luster. Bethany

pracowała wyłącznie nad swoją teorią matematyczną. Meredith skupiła się na oszustwie.

- Obie używały komputerów - podsunęła Leonora.

- Do zupełnie innych celów. Niech mi pani wierzy, Deke to sprawdzał. Po śmierci Bethany sprawdził każdy plik na jej twardym dysku. Potem zrobił to samo z zawartością komputera Meredith. I nic. Może teraz, kiedy pani tu jest, uda mu się zrozumieć, o co chodzi z tą książką i wycinkami, które Meredith zostawiła w skrytce...

Z sąsiedniego stolika dobiegł męski głos, zły i rozdrażniony:

- Chcę iść do domu. Już teraz.

Thomas nie musiał się oglądać, aby wiedzieć, kto to mówi. Wszyscy klienci starannie omijali wzrokiem stolik przy kominku.

- Osmond Kem - szepnął Thomas.

- Żal mi jego córki. Jest potwornie zażenowana. I przerażona. Nie wie, jak sobie poradzić z tą sytuacją.

- Podobno Osmond pije coraz więcej.

- Idź do diabła - rzucił Osmond jeszcze głośniej. - Jesteś taka sama, jak twoja matka. Daj mi święty spokój, do cholery.

Odsunął krzesło i z trudem wstał.

- Usiądź, tato - poprosiła Elissa cichym zawstydzonym głosem.

- Ty możesz sobie zostać - burknął Kern, niewyraźnie wymawiając słowa. - Ja wychodzę.

Odwrócił się i omal nie przewrócił.

- Tato, poczekaj. - Elissa zerwała się na równe nogi. - Pomogę ci.

- Zamknij się i daj mi spokój.

W restauracji dawało się odczuć wyraźne napięcie, choć wszyscy starannie ignorowali to, co się działo.

- Zaraz wrócę - rzucił Thomas.

Spojrzała na niego z niepokojem, ale nic nie powiedziała.

Wstał i podszedł do zataczającego się Kerna, przypominającego rannego byka, który chciałby ugodzić matadora. Wziął profesora za ramię i skierował w stronę drzwi.

- Pomogę panu, panie doktorze.

- Co? - Kern wbił w niego rozzłoszczony i skonfundowany wzrok. - Ty jesteś bratem Deke'a Walkera, co? To wariat. Puść mnie.

- Jasne. Tylko wyjdźmy na dwór.

Jedna z kelnerek podbiegła i otworzyła im drzwi, spoglądając na Thomasa z prawdziwą wdzięcznością.

Elissa wzięła torebkę i pospieszyła za nimi.

Kem był zbyt pijany, żeby się wyrywać.

Zimne powietrze trochę go otrzeźwiło. Kern milczał. Elissa rzuciła Thomasowi zdenerwowany uśmiech.

- Dziękuję - wyszeptła. - I przepraszam. Zabiorę go do domu.

- Da pani sobie radę?

- Tak. Kiedy znajdzie się w domu, pójdzie spać. Rano oboje będziemy udawać, że nic się nie stało.

Wzięła ojca pod ramię i poprowadziła do ciemnego bmw, zaparkowanego przy krawężniku. Kern mruczał coś pod nosem, ale pozwolił się posadzić na przednim siedzeniu.

Thomas zaczął, aż Elissa usiadzie za kierownicą i odjedzie, nim wrócił do restauracji.

Leonora czekała na niego z enigmatycznym wyrazem twarzy.

- To miło, że jej pan pomógł - zauważyła, gdy znów usiadł przy stoliku.

- Taki już jestem.

- Nie musi pan mówić o tym tak lekceważąco. Naprawdę zachował się pan bardzo przyzwoicie.

Spojrzał na drzwi restauracji.

- Kern był kolegą Bethany. Podziwiała jego osiągnięcia w dziedzinie matematyki. Wręcz go idealizowała, zdaniem Deke'a. Nie podobałoby jej się to, że Kern pokazuje się publicznie w takim stanie i jeszcze upokarza córkę.

- Jest coraz gorzej. - Elissa wprowadziła Osmonda do sypialni. Cała się trzęsła. Serce waliło jej jak oszałałe, z trudem oddychała. Starła się powstrzymać wściekłość i frustrację, bo wiedziała z doświadczenia, że awantura nic nie pomoże. - Musisz przestać pić, tato. Zabijasz się.

- To moja sprawa. - Osmond padł na łóżko i odwrócił się twarzą do ściany. - Będę robił, co mi się podoba.

- - Proszę, nie mów tak.

- Wyjdź stąd.

- Powinieneś porozmawiać z lekarzem. Albo pójść do terapeuty.

- Co ty w ogóle wiesz? Wyjdź stąd i zostaw mnie w spokoju. Ogarnęło ją

poczucie beznadziei i rozpacz. Dalsza rozmowa nie miała sensu.

Wyszła z pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Popełniła błąd, przyjeżdżając tutaj. Teraz to zrozumiała. Myślała, że uda jej się nawiązać kontakt z tym dalekim mężczyzną który był jej ojcem, ale Osmonda Kerna nie interesowały więzy rodzinne. Dla niego czas się zatrzymał. Jedyne konkretny moment jego życia zdarzył się wiele lat wcześniej, kiedy opublikował artykuł o algorytmie i stał się sławny.

Nic więcej się dla niego nie liczyło, nawet córka.

Gdyby miała trochę oleju w głowie, wyjechałaby z Wing Cove i wróciła do Phoenix, gdzie pracowała jako analityk finansowy.

Za każdym razem jednak, gdy zaczynała się pakować, przypominał jej się Ed. Silny Ed, na którym zawsze można było polegać. Nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek stanie się dla niego kimś więcej niż znajomą ale nie mogła wyjechać, nie znając odpowiedzi na to pytanie.

Powoli przeszła korytarzem do gabinetu Osmonda. Ten pokój odzwierciedlał osobowość ojca.

Plakietka, którą otrzymał za swoją pracę, wisiała na ścianie. Na biurku stał komputer, na regałach książki i notesy.

Prawie nie było tu żadnych rzeczy osobistych. Ani jednego zdjęcia jej matki. Nie zachował listów ani kartek, które Elissa wysyłała do niego przez wszystkie te lata.

Usiadła na jego krześle i spojrzała na komputer. Ciekawa była, jak zainwestował pieniądze, które dostał za wynalezienie algorytmu. Nigdy nie prosił jej o pomoc w sprawach finansowych, choć była w tym bardzo dobra.

Co zrobił z pieniędzmi?

Z ciekawości włączyła komputer.



## ROZDZIAŁ 6

Wrench czekał na nich przy drzwiach. W pysku trzymał pogryziony kawałek sznurka, który położył u stóp Leonory i dumnie usiadł.

- Bardzo ładny sznurek. - Leonora delikatnie podniosła go za jeden koniec, unikając dotykania w miejscu, które było najbardziej obślinione. - Dziękuję.

Wrench, zadowolony, że jego prezent został przyjęty, pomaszerował do dużego pokoju.

Leonora ruszyła za nim. I stanęła jak wryta, kiedy zobaczyła, że całą przestrzeń wypełnia ciepło, światło i wibrujący kolor. Zaskoczona, przystanęła na środku pokoju i powoli rozejrzała się dookoła.

- To niesamowite. - Stała tyłem do Thomasa, ale czuła, że ją obserwuje. - Kto położył te wszystkie kafelki?

- Ja. Chyba trochę przesadziłem, ale to niewielka przestrzeń. Nie zajęło mi to wiele czasu.

Podeszła do najbliższej ściany i lekko przesunęła palcami po grubej warstwie żółto - złotego tynku. Wrench powłókł się za nią i ciężko oparł się o jej nogę. Poklepała go po łbie. Oparł się jeszcze mocniej. Podniosła wzrok i zobaczyła ozdobny gzyms w miejscu, w którym ściany zbiegały się z sufitem.

Wszystkie wykończenia miały nadzwyczajną strukturę. Paleta kolorów nie przyniosłaby wstydu renesansowemu architektowi. Mały domek był pięknie oszlifowanym i wypolerowanym klejnotem.

- Sam pan to wszystko zrobił? - zapytała. Thomas wzruszył ramionami.

- To moje hobby. Dodatkowy zarobek. Kupuję domy do remontu i je odnawiam.

- To więcej niż hobby czy dodatkowy zarobek. To prawdziwa sztuka.

Uśmiechnął się.

- Jak pan może potem pozbywać się takich domów? Znów wzruszył ramionami.

- Ja się ich nie pozbywam.

- Nie sprzedaje ich pan?

- Sprzedają się same. W swoim czasie. Ale rzadko muszę szukać nabywców.

Domy same znajdują swoich właścicieli. Takich jak należy.

- Tak pan zarabia na życie?

Podeszła do barowej lady i usiadła na stołku.

- Tylko w niewielkiej części. W prawdziwym życiu zajmuję się inwestowaniem pieniędzy.

- Czyich pieniędzy?

- Tych, które zarobiliśmy z bratem, kiedy parę lat temu sprzedał swoją firmę komputerową. Miałem w niej duży udział, ponieważ zapewniłem kapitał początkowy.

- Rozumiem. - Gestem pokazała na wewnątrz. - Gdzie się pan tego nauczył?

- Mój ojciec był przedsiębiorcą budowlanym, a matka artystką. Chyba odziedziczyłem po nich dziwną mieszankę talentu.

Z roztargnieniem przesunęła palcami po kafelkach blatu.

- Co się stało z pańskimi rodzicami?

- Nic. Rozstali się, gdy Deke i ja byliśmy dziećmi. To był jeden z tych nieprzyjemnych rozwodów, wie pani, kiedy obie strony kłócą się o alimenty i spotkania z dziećmi, a jedno usiłuje jak najbardziej dopiec drugiemu. Ale teraz wszystko jest w porządku. Tata ożenił się ze swoją przyjaciółką, która jest o dwadzieścia lat od niego młodsza. Mama dołączyła do komuny artystów. Oboje są dość zadowoleni z życia.

- Ale pan i Deke zostaliście w to wciągnięci.

- Czasem tak się zdarza. Deke i ja trzymamy się razem. Nieźle nam się wiedzie.

A pani?

- Rodzice zmarli, gdy miałam trzy lata. W ogóle ich nie pamiętam. Mam tylko kilka zdjęć. Wychowali mnie dziadkowie. Teraz jesteśmy tylko we dwie z Glorią. Gloria to moja babcia.

Thomas położył na blacie dwie serwetki, a na nich postawił dwa kieliszki brandy. Nie przeszedł na jej stronę lady, by usiąść na stołku, lecz nadal stał naprzeciwko.

- Za zdrowie babci - powiedział, unosząc kieliszek.

- Za babcię - odparła z uśmiechem.

Upiła mały łyk mocnej brandy, myśląc o tym, że wcale nie zamierzała przyjść tu z nim po kolacji. Kiedy zaproponował, aby poszli gdzie indziej, gdzie nikt ich nie usłyszy, zgodziła się, przekonana, że odprowadzi ją do domu. Zastanawiała się, czy nie powinna zaprosić go na herbatę, co wymagałoby pewnej odwagi, kiedy zorientowała się, że idą do niego, a nie do niej.

Nie lubiła ryzyka, więc natychmiast stała się czujna, ale przypomniawszy sobie, że w ich stosunkach nie ma przecież żadnego seksualnego podtekstu. W najlepszym

razie łączyło ich ostrożne partnerstwo, które wymusiła na nim szantażem.

Była pewna, iż nie darzy jej przesadną sympatią, a już na pewno nie uważa jej za osobę seksowną i powabną. Numer konta na Karaibach dał jej nad nim przewagę, natomiast fakt, że ją bezlitośnie wykorzystała, przypuszczalnie nastawił go do niej niechętnie.

Z drugiej strony zdała sobie sprawę, że powoli zmienia o nim zdanie. Nadal przypominał jej psa przybłądę, ale ten pies jest po jej stronie. Przynajmniej na razie.

Thomas napił się brandy.

- Czy mogę pani zadać osobiste pytanie?

- Słucham?

- Jak doszło do tego, że zaprzyjaźniła się pani z Meredith? Jesteście tak różne.

- Poznałam ją na studiach. Wykorzystała wiedzę komputerową, aby zmienić plan sypialni w akademiku. Wylądowała na moim piętrze.

- Dlaczego jej na tym zależało?

- To długa historia. - Leonora przesunęła palcem po brzegu kieliszka. - Meredith miała niesamowite życie. Nie знаła ojca. Matka była inteligentna, choć bardzo znerwicowana, nie chciała się jednak leczyć. W pewnym momencie zgłosiła się do banku spermy i wybrała anonimowego dawcę, kierując się jego poziomem inteligencji, dobrym zdrowiem i urodą.

- Bank spermy?

- Tak.

- Cholera. - Thomas oparł łokcie na blacie i, trzymając kieliszek w obu rękach, potrząsnął speszony głową. - Bank spermy...

- Hm.

Przez jakiś czas w milczeniu popijali brandy.

- Nienawidziła ojca, choć go w ogóle nie znała.

- Przypuszczalnie właśnie dlatego. Leonora szybko podniosła głowę.

- Tak, pewnie tak.

- Niech panią to tak nie dziwi. Mężczyźni też czasem są przenikliwi.

- Zapamiętam to sobie. - Urwała na moment. - Meredith robiła wrażenie osoby bardzo pewnej siebie, ale, moim zdaniem, miała poważne problemy z poczuciem własnej wartości. Zawsze ponuro żartowała, że była dzieckiem faceta, któremu tak mało zależało na własnym potomstwie, że w ogóle nie poznał jej matki, nie mówiąc o tym, aby się z nią przespać. Nawet się nie zainteresował, czy został ojcem. Nie chciał

znać jej imienia.

Thomas milczał.

- Matka zapewniała Meredith, że jest kombinacją porządných dobrych genów, lecz Meredith widziała to inaczej. Jej zdaniem była mieszanką genów poważnie uszkodzonych. Zawsze twierdziła, że człowiek, któremu nie zależało na dziecku, musiał być skrzywiony. Brakowało mu genu zaangażowania.

- Zdecydowanie - przyznał Thomas.

- Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby matka Meredith była bardziej zrównowazona. Albo gdyby byli jacyś inni krewni, którzy mogliby zająć się wychowaniem dziecka.

- Miała niełatwe życie.

- Wprost okropne. Matka Meredith nie chciała się leczyć, ale za to zażywała różne rzeczy, legalne i nielegalne. W końcu udało jej się przedawkować. Meredith miała siedemnaście lat, kiedy weszła do sypialni matki i znalazła ją martwą.

- O, Boże. - Thomas milczał przez chwilę. - Taki nałóg dużo kosztuje.

- Oraz nie pozwalała na stałe zatrudnienie, płacenie za mieszkanie i przygotowywanie regularnych posiłków. Wydaje mi się, że Meredith z matką często się przeprowadzały. A przez życie matki nieustannie przewijali się jacyś mężczyźni.

- Typowe.

- Wydaje mi się, że ciągły brak poczucia bezpieczeństwa zostawił trwałe ślad na psychice Meredith. Miała obsesję na punkcie pieniędzy. Stale mówiła o wielkiej wygranej. We wszystkim, co robiła, kierowała się chęcią zapewnienia sobie finansowej stabilizacji.

- Skąd się wzięła w pani życiu?

- Po śmierci matki postanowiła odszukać ojca. Nikogo więcej nie miała.

- Jasne. - Thomas skinął głową. - Przypuszczalnie na jej miejscu zrobiłbym to samo.

- Ja też. - Umilkła, czując bezbrzeżny smutek.

- I co się stało? - spytał Thomas.

- Włamała się do danych banku spermy, z którego skorzystała matka, i w rzekomo anonimowych aktach znalazła nazwisko ojca. - Leonora zawahała się. - Dowiedziała się, że zginął wiele lat temu. W wypadku samolotowym. I postanowiła odszukać jakichś krewnych z jego strony.

Thomas odstawił kieliszek i spojrzał na Leonorę.

- To niemożliwe...

Wrench usiadł przy stołku Leonory. Położyła rękę na jego łbie.

- Meredith odnalazła przyrodnią siostrę. Thomas nie spuszczał z niej wzroku.

- To była pani? - zapytał cicho.

- Tak.

- Cholera!

Znów zapadła cisza. W kominku trzaskał ogień.

- No, tak, czegoś takiego właściwie można by się spodziewać - powiedział po chwili Thomas. - Geny nie są przeznaczeniem. Pani i Meredith to jak dzień i noc.

- Wie pan, to jej przeszkadzało. Kiedyś spytała mnie, dlaczego jesteśmy takie inne.

- I co jej pani odpowiedziała?

- A co mogłam powiedzieć? - Wzruszyła ramionami. - Straciłam rodziców, kiedy byłam mała, ale miałam dziadków, którzy mnie wychowali. Meredith nie miał się kto zająć. Uczyła się życia na własnych doświadczeniach i błędach.

Thomas upił łyk brandy.

- Ta informacja wyjaśnia pewną zagadkę - odezwał się po chwili.

- Jaka zagadkę?

- Pani zagadkę. Od samego początku usiłowałem panią rozgryźć. Podobał jej się pomysł, że myślał o niej od samego początku. Nigdy nie uważała się za osobę tajemniczą.

Zdjęła okulary. Ten gest miał dać jej trochę czasu do namysłu nad odpowiedzią na jego komentarz.

- Zawsze sądziłam, że to Meredith była tajemnicza.

- Nie, w porównaniu z panią łatwo ją było rozszyfrować. Pani natomiast jest prawdziwą zagadką. Początkowo zakładałem, że była pani współniczką Meredith i że chodzi pani o pieniądze.

- Wiem.

- Ta teoria upadła, gdy w zamian za pomoc w odkryciu tajemnicy śmierci Meredith ofiarowała pani numer konta.

- Stworzył więc pan sobie kolejną teorię?

- Byłem pewien, że Meredith nie miała bliskich przyjaciół. Nie wyobrażałem sobie, aby któraś z jej znajomych chciała przyjeżdżać tu, do Wing Cove, żeby się dowiedzieć, dlaczego Meredith zginęła. Sądziłem, że musi być jakaś inna przyczyna,

dlaczego... - Urwał nagle.

- Co takiego?

Marszcząc brwi, spojrział na okulary, które trzymała w ręku.

- Ten zausznik jest obluźniony.

- Tak, wiem. Od dawna zamierzam pójść z tym do optyka, ale nie mam czasu.

- Zgubi pani tę śrubkę. Pani pozwoli, że rzucę okiem.

Sięgnął nad barem i wyjął jej z ręki okulary. Nim zdążyła zapytać, co chce zrobić, otworzył drzwi koło lodówki i znikł jej z oczu. W małym pokoiku zabłysło światło.

Zeskoczyła z wysokiego stołka i ruszyła za Thomasem. Znalazła się w pomieszczeniu pełnym najrozmaitszych narzędzi i maszyn.

Thomas stał przy warsztacie, grzebiąc w pudełku pełnym bardzo małych śrubokrętów.

- Thomas?

- Chyba mam taki, który będzie pasował.

Wyjął z pudełka mały śrubokrętek i przykręcił śrubkę.

- I jak?

Sprawdziła zauszki. Oba trzymały się doskonale. Dziwnie zadowolona, założyła okulary.

- Fantastycznie - mruknęła. - Muszę sobie kupić taki mały śrubokrętek. Nie będę musiała za każdym razem szukać optyka. Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Jestem tutaj, w Wing Cove, z tego samego powodu, co pan.

- Wiem. Sprawa rodzinna. Sam się domyśliłem.

- Tak.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- A myślałem, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. Leonora też tak myślała. Aż do tej chwili.

Niedługo później Thomas i Wrench odprowadzili ją do domu. Mgła całkowicie przesłoniła zatokę. Niskie latarnie ustawione wzdłuż ścieżki i mostku świeciły bladym światłem. Światła miasteczka, na końcu skrzydła, były niewyraźnym zamazaniem blaskiem.

Pożegnała się przy drzwiach, zamknęła od środka i odsunęła zasłonę. Patrzyła za Thomasem i psem, dopóki nie znikli we mgle.

Poruszali się bardzo podobnie. Lekkimi płynnymi ruchami, z pozoru nonszalancko i niespiesznie, jak urodzeni myśliwi.

Para psów z przytułku. Ani przez moment nie wierzyła w to, że Wrench w poprzednim życiu był pudlem miniaturką.

## ROZDZIAŁ 7

Stare obrotowe krzesło zaskrzypiało, gdy Leonom oparła się mocniej. Odczekała parę sekund, żeby sprawdzić, czy się pod nianie załamała. Kiedy się upewniła, że nic jej nie grozi, położyła nogi na blacie starego drewnianego biurka i sięgnęła po telefon. Wystukała znajomy numer.

Gloria odebrała po drugim dzwonku. Jej głos był lekko nieobecny.

- Halo?

- To ja, babciu. Jak wczorajszy brydż?

- Wygrałam.

- To mnie nie dziwi. W końcu będziesz musiała zdecydować, jak zainwestować te wszystkie ćwierćdolarówki, które wygrałaś w ostatnich latach. Przypuszczalnie mogłabyś otworzyć własne niewielkie kasyno.

- Dostałam dobre karty - wyznała z fałszywą skromnością Gloria. - Dobrze, że dzwonicz. Martwiłam się o ciebie. Nic ci nie jest? Co tam się dzieje w Waszyngtonie?

- U mnie wszystko w porządku. - Leonora wyjrzała z małego biura i sprawdziła, czy między regałami bibliotecznymi nikogo nie ma. - Na razie żadnych rewelacji, ale, jak to mówią prywatni detektywi, sprawa posuwa się naprzód.

- Bardziej interesuje mnie twoja sytuacja osobista. Jak się rozwijają stosunki między tobą a twoim panem Walkerem?

- Mówię ci, że nie jest „moim panem Walkerem”. Doszliśmy do wspólnego wniosku, że nie łączy nas nic oprócz chęci wykrycia, co się stało z Meredith i żoną jego brata, Bethany.

- Hm.

- Ale na pocieszenie dodam, że lubi mnie jego pies.

- To już coś. Czy pan Walker zaprosił cię na kolację?

- No, tak. Wczoraj wieczorem. Ale wyłącznie w celu omówienia naszego wspólnego problemu.

- Poszłicie potem do niego czy do ciebie?

Leonora odsunęła słuchawkę od ucha, przyjrzała jej się przez moment i z powrotem przyłożyła do ucha.

- Do niego. Ale tylko na parę minut. Było po drodze. Mniej więcej.

- Podrywał cię?

- Nie. - Leonora zdjęła nogi z biurka i usiadła prosto. - Dokreślił mi śrubkę w



okularach.

- Aha.

- To było niesamowite. Miał taki maleńki śrubokrętek. Wiesz, taki, jakich używają optycy.

- Coś takiego. Lubię mężczyzn, którzy radzą sobie z majsterkowaniem. To pożyteczna cecha.

Optyzmizm babci był niepoprawny. Leonora poddała się, powiedziała Glorii, aby pozdrowiła Herba, i zakończyła rozmowę.

Przez chwilę siedziała ze splecionymi dłońmi pogrążona w zadumie. Czuła się dziwnie, bo jej myśli wciąż wracały do Thomasa i jego pięknego domu.

Z zamyślenia wyrwał ją niski jęk. Dźwięk dochodził zza ściany za katalogiem.

Zaskoczona, odwróciła się na krześle i wbiła wzrok w stary drewniany katalog z szufladkami. Usłyszała drugi jęk i coś skrzypnęło. Mogłaby przysiąc, że usłyszała też stłumiony chichot.

Najłatwiej byłoby założyć, że w pomieszczeniu obok biblioteki ktoś jest, ale Leonora wiedziała, że pokój jest pusty i zamknięty na klucz.

Wyszła z biura i pospiesznie podeszła do drzwi biblioteki. Miała właśnie wyjść na korytarz, żeby sprawdzić, czy nikt się tam nie kręci, gdy dostrzegła błysk w starym wypukłym lustrze, wiszącym dokładnie naprzeciwko niej.

Wypukłość szkła w ozdobnej ramie odbijała długie odcinki korytarza po obu stronach. Błysk światła w ciemnej powierzchni pochodził z prawej strony. Na oczach Leonory część ściany korytarza otworzyła się.

Na korytarz wymknęły się dwie osoby. Jedna z nich przystanęła, aby upewnić się, że ukryte drzwi znów się zamknęły. Potem oboje odwrócili się i odeszli w stronę głównych schodów. Słysząc było tłumione śmiechy i cichą rozmowę.

Julie Bromley i jej chłopak, Travis Todd. Tego ranka Julie przedstawiła go Leonorze.

Poczekwała, aż para studentów zejdzie po schodach, i podeszła do miejsca, w którym wyszli ze ściany. Jedyнным dowodem na istnienie drzwi była wąska listwa w drewnianej boazerii.

Pchnęła lekko. Nic. Pchnęła trochę mocniej. Niewidoczne drzwi otworzyły się do środka z piskiem zardzewiałych zawiasów.

Z korytarza za jej plecami wpadało dość światła, aby oświetlić wąskie kręcone schody, które prowadziły na zamknięte górne piętro.

Stare schody dla służby, pomyślała Leonora. Julie i Travis niewątpliwie wykorzystywali pokój na górze, by się spotykać.

Nie rozumiała, jak można przeżywać romantyczne uniesienia w tym ponurym domu, ale była to zapewne kwestia wieku.

Zaczekała, aż ukryte drzwi się zamknęły i ruszyła ciemnym korytarzem w kierunku głównych schodów. Ciemne lustra nieprzyjemnie połyskiwały na ścianach. Spojrzała na jedno z nich. Rama była wykonana z drewna, rzeźbiona w zwoje manuskryptów i herby, typowe dla lusterek z końca siedemnastego wieku. Tak przynajmniej wyczytała w książkach.

W starym zwierciadle dostrzegła swoje niewyraźne odbicie. Było w nim coś niepokojącego. Przystanęła, aby lepiej się przyjrzeć.

Zobaczyła dwa odbicia. Drugie było jakby powieleniem pierwszego, z lekka przesuniętym. W rezultacie powstał dziwny efekt sobowtóra, który sprawił, że zadrżała.

Nie możesz jeszcze zasnąć...

Skąd ta nagła myśl? Przeleciała jej przez głowę niczym szept ducha. Rozbolała ją głowa, miała zimne ręce, z trudem oddychała.

Przestań. Weź się w garść...

Szybko odwróciła wzrok i pospiesznie ruszyła przed siebie, mówiąc sobie, że nie ma powodu denerwować się podwójnym odbiciem. To wina nierównej tafli lustra. W tamtych czasach technika produkcji lusterek była ściśle strzeżoną tajemnicą a technologia nie była tak doskonała jak obecnie.

W głębi duszy wiedziała jednak, co ją tak przeraziło. Przez sekundę to drugie odbicie, nałożone na jej własne, bardzo przypominało Meredith.

Szybko zbiegła po schodach, zadowolona z tego, że na parterze są ludzie.

Minęła sterty kabli i stosy składanych stolików. Na zewnątrz z radością spostrzegła, że chłodny blask słońca przepędził, przynajmniej na jakiś czas, mgłę. Dziwna panika, która załęgła jej się w piersi, kiedy patrzyła na podwójne odbicie w lustrze, także odleciała.

## ROZDZIAŁ 8

- Jest pani tu nowa, prawda? Witam w Wing Cove. Na dźwięk nieznanego męskiego głosu tuż za plecami, Leonora podskoczyła nerwowo. Upuściła na półkę paczkę mrożonej soi, wyprostowała się i odwróciła od wielkiej, wykładanej lustrami sklepowej zamrażarki.

W przejściu stał wyjątkowo przystojny mężczyzna o pociągłych rysach twarzy i zwracających uwagę bursztynowych oczach. Czarne włosy miał zaczesane do tyłu i związane w kitkę.

Ubrany był w czarny skórzany płaszcz do ziemi, czarne spodnie, czarny golf i czarne buty. Mogła się założyć, że wszystkie ciuchy miały markowe metki.

- Przepraszam - powiedział jednocześnie z rozbawieniem i przepraszająco. - Nie chciałem pani przestraszyć. Nazywani się Alex Rhodes.

- Leonora Hutton - odparła odruchowo.

Wiedziała, że nie powinna wpatrywać się w jego niezwykle oczy. Z drugiej strony, jak można nie patrzeć w oczy komuś, z kim się rozmawia? Mogła gapić się na jego tors, co nie świadczyłoby o dobrym wychowaniu.

- Pani jest tą bibliotekarką, która ma skatalogować kolekcję starych książek w Domu Luster, prawda? - spytał Alex.

- Skąd pan wie?

Uśmiechnął się, pokazując bardzo białe równe zęby.

- To jest bardzo małe miasto. Wiadomości szybko się rozchodzą. Słyszałem też, że jadła pani kolację z Thomasem Walkerem.

Poczuła na plecach powiew zimnego powietrza i pospiesznie zamknęła drzwi zamrażarki.

- Wygląda na to, że poznał pan historię mojego życia w pigułce.

- Nie całego. Tylko tej części z Wing Cove. Chciałaby pani usłyszeć moją historię?

Zrezygnowała z unikania jego dziwnych tygrysiożółtych oczu. Dlaczego miałyby zachowywać się uprzejmie? Chciał, aby na niego patrzyła. Przypuszczalnie załamałby się, gdyby nie uznała go za fascynującego mężczyznę.

Jego ciemny i zmysłowy styl miał pewną dozę pikanterii. Wiedział, że dobrze wygląda, i był przyzwyczajony do tego, że ludzie, a zwłaszcza kobiety, zwracają na niego uwagę. Zachowywał się nonszalancko, co wskazywało na to, że umie

wykorzystywać swój seksowny wygląd. Pod tym względem jest męską wersją Meredith, pomyślała Leonora.

- Zanim się zdecyduję, czy chcę poznać historię pańskiego życia, może wyjaśni mi pan, dlaczego znalazł się pan właśnie w tym sklepie i zechciał zaszczyścić mnie rozmową?

Uniósł czarne brwi.

- A niech to, kobieta ostrożna. Tego się obawiałem.

- To stare przyzwyczajenie, którego staram się pozbyć, ale od czasu do czasu bierze górę, mimo moich dobrych intencji.

- Ach, tak. - Pokiwał głową ze śmiertelną powagą. - Znam się na starych przyzwyczajeniach. Można powiedzieć, że jestem w tej dziedzinie ekspertem.

- Naprawdę? Jakim cudem?

- Zajmuję się pokonywaniem starych przyzwyczajzeń. - Wyjął z kieszeni srebrno czarne pudełeczko, otworzył i podał jej wizytówkę. - Jestem konsultantem od redukcji stresu. Specjalizuję się w pomaganiu ludziom, którzy mają problemy z nowoczesnym życiem. To na ogół oznacza konieczność wyzbycia się starych przyzwyczajzeń. Udzielam rad i sprzedaję specjalny preparat, który eliminuje metaboliczne działanie stresu.

Rzuciła okiem na wizytówkę. Widniało na niej jedynie nazwisko Aleksa i numer jego telefonu.

- Dużo bierze pan za poradę? - spytała.

- Bardzo dużo. Ale prawdziwe pieniądze zarabiam na preparacie wzmacniającym. Nie ma pani pojęcia, jak chętnie ludzie łykają lekarstwo, zamiast dokonać istotnych zmian w swoim życiu.

- Intratne zajęcie.

- Jeszcze jak. - Uśmiechnął się uśmiechem Kota z Cheshire. - Nie chce pani pójść do mnie i obejrzeć na wideo filmów na temat redukcji stresu?

- Może innym razem. Westchnął teatralnie.

- No, dobrze, rozumiem. Nie chce pani, abym ją porwał i zaniósł na kozetkę terapeuty.

- Naprawdę ma pan kozetkę?

- Jasne. Pacjenci tego oczekują. I mogę się zdrzemnąć między sesjami.

- Logiczne. Od jak dawna mieszka pan w Wing Cove?

- Otworzyłem praktykę jakiś rok temu. Mogę pani podać referencje, ale i tak

pewnie nie stać pani na moje usługi.

- Chyba nie.

- Jednak od czasu do czasu pracuję społecznie.

- Dziękuję, nie skorzystam. W mojej rodzinie mamy zasadę, aby nie brać jałmużny.

Alex Rhodes mieszkał w Wing Cove, kiedy przebywała tu Meredith, pomyślała Leonora. Musieli się spotkać. Alex tego dopilnował. A Meredith na pewno się spodobał. W dodatku uznała go, prawdopodobnie, za dobre źródło informacji. Specjalista od redukcji stresu, który zajmował się bogatymi ludźmi, na pewno znał wiele interesujących szczegółów z prywatnego życia swoich klientów. Meredith kolekcjonowała interesujące szczegóły, które mogły jej się przydać, tak jak inni kolekcjonowali antyki.

- Nie potrzebuję pańskich referencji - odrzekła. - A jedyne preparaty wzmacniające, jakie przyjmuję, są oblane czekoladą.

- Mogę wobec tego zaprosić panią na kawę? Tu niedaleko jest kawiarnia.

- Nada! nie wiem po co.

- Zobaczyłem panią z drugiego końca sklepu i oczarował mnie widok pani sięgającej do zamrażarki.

- Musi pan wymyślić coś lepszego. Roześmiał się.

- Dobrze, powiem więc pani prawdę. Jak już wspomniałem wcześniej, to bardzo małe miasteczko. Większość kobiet ma mężów, są moimi klientkami albo studentkami. Nigdy nie umawiam się z mężatkami, klientkami i studentkami i dlatego mam poważnie ograniczone pole manewru.

- Rozumiem.

- Jestem dorosłym, inteligentnym i wrażliwym mężczyzną. Mam swoje potrzeby.

- Nie wątpię.

- Potrzebuję rozmowy z wykształconą interesującą kobietą, która nie dotyczyłaby osobistych urazów czy problemów, które wpływają na stres lub osiągnięcie orgazmu. Bardzo potrzeba mi takiej rozmowy. Duszę bym sprzedał za taką rozmowę.

- W takim razie chodźmy na tę kawę.

Oczywiście zamówiła herbatę. Alex wziął espresso. Oczywiście. Mała filiżanka bardzo mocnej, bardzo ciemnej kawy pasowała do wizerunku.

Usiedli przy małym okrągłym stoliku koło okna. Klientela składała się ze

studentów, nauczycieli akademickich i mieszkańców Wing Cove. Ściany kawiarni pomalowane były na ciepły brązowo - beżowy kolor, a drewnianą podłogę wykończono tak, aby wyglądała na starą, i zniszczoną. Na kominku, pośrodku sali, płonął ogień.

Mgła wróciła i wisiała za oknem, tak gęsta, że ledwo widać było sklepy i galerie po drugiej stronie ulicy.

- Czy mogę panią o coś zapytać?

- Zależy o co.

- Nie cierpię takich sytuacji, ale nim oczaruję panią głębią mego intelektu i wyrafinowania, muszę zapytać, jaki jest pani związek z Thomasem Walkerem.

Zastygła z torebką herbaty, którą wyjmowała właśnie z filiżanki.

- Moje co?

- Słyszałem, że wczoraj była z nim pani na kolacji. W tym mieście to oznacza pewien związek.

- Rozumiem. - Ostrożnie odłożyła torebkę na spodeczek. - Jesteśmy przyjaciółmi.

- To wszystko? Tylko przyjaciółmi?

- Tak.

Alex milczał przez chwilę, a potem pokręcił głową.

- No, nie wiem. Nie sądzi pani, że określenie „przyjaciel” jest dość ogólnikowe?

- Tak?

Alex rozparł się na krześle, wyciągając przed siebie długie nogi, i spojrzał na nią błyszczącymi oczami.

- Na przykład, parę miesięcy temu, Walker „przyjaźnił się” z inną kobietą, która pracowała w Domu Luster. Blisko się przyjaźnił. Nawet bardzo blisko.

Meredith.

Leonora skoncentrowała się na picciu herbaty. Herbata nie była ani szczególnie zła, ani dobra. Miała charakterystyczny posmak herbaty z torebki. Nie tak okropna, jak herbata instant, ale daleka od ideału herbaty parzonej z listków, w odpowiednim czajniczku.

Nie ma się co czaić, pomyślała. Przecież odgrywała rolę prywatnego detektywa.

- Coś panu powiem - zaczęła. - Moje stosunki z Thomasem Walkerem na pewno nie mogą być określone jako bardzo bliskie.

Alex skinął głową.

- Chciałem się tylko upewnić. Ja też umawiałem się przez jakiś czas z tamtą przyjaciółką Walkera, kiedy przestali się spotkać. Nie jestem pewien, co on o tym myślał. W takim małym mieście niektóre sprawy stają się własnością ogółu.

- Miło mi usłyszeć, że stosuje pan w życiu towarzyskim pewne zasady.

- Raczej jestem ostrożny. Nie zamierzam sypiać z żonami i przyjaciółkami tutejszych mieszkańców.

- Kiepska reklama dla interesów?

- Bardzo.

- Rozumiem. - Doszła do wniosku, że nie ma nic do stracenia. - Teraz moja kolej na zawodowe pytanie. Jak się skończył pański związek z tamtą przyjaciółką Thomasa Walkera?

- Spotykaliśmy się dość krótko. Między nami mówiąc, wydaje mi się, że miała problem z narkotykami. Wyjechała stąd parę tygodni temu. Słyszałem, że zginęła w wypadku samochodowym.

Znów sięgnęła po filizankę, ale szybko zmieniła zamiar, kiedy zorientowała się, że drżą jej dłonie.

- Mówi pan, że ta kobieta brała narkotyki?

- Oczywiście nie mogę przysiąc. Nigdy nie brała przy mnie. Jednak po jej śmierci wiele mówiono na ten temat.

- Gdzie miałyby je kupować w takim małym mieście?

- Nie czyta pani gazet? W dzisiejszych czasach narkotyki można kupić wszędzie. Poza tym tu jest uniwersytet.

- Rozumiem. - Myślała, że usłyszy nazwisko lokalnego króla dilerów. Praca detektywa nie jest łatwa.

- Gdzie pani poznała Walkera?

- Wynajmuję od niego dom - odparła od niechcenia. - Poznałam go, gdy szukałam mieszkania.

Alex zdziwił się trochę, jakby tak prozaiczne wytłumaczenie w ogóle nie przyszło mu do głowy. W milczeniu pokiwał głową. Robił wrażenie mniej spiętego.

- Zgadza się. Meredith mówiła mi, że remontuje i odnawia domy na dużą skalę. Powiedziała, że kupił parę starych letnich domków z widokiem na zatokę i zamierza je wyremontować.

- Wynajmuję dom, którego jeszcze nie przerobił. Ale jest ciepły, suchy i wygodny.

- Jak dużo czasu zajmie pani praca nad projektem w Domu Luster?

- Zakładam, że wprowadzenie katalogu do sieci potrwa nie dłużej niż kilka miesięcy. Oryginalny katalog stworzył ktoś, kto doskonale się na tym znał i zastosował specjalny system klasyfikacji książek. Do pewnego stopnia przypomina system Biblioteki Kongresu, ale został znacznie rozszerzony, żeby objąć wszelkie niuanse i różnice tematów...

- Skąd pani przyjechała? - przerwał jej Alex.

Najwyraźniej nie był zainteresowany szczegółami jej pracy zawodowej w Domu Luster. Nim zdecydowała się, czy powiedzieć prawdę, czy coś zmyślić, drzwi kawiarni otworzyły się. Nie musiała się odwracać, aby wiedzieć, kto właśnie wszedł. W przypadku Thomasa Walkera jej szósty zmysł działał bez zarzutu.

Alex odwrócił głowę i przyglądał się Thomasowi, który szedł w ich stronę. Jego dziwne oczy stały się na moment bardzo surowe.

- Walker na pewno jest dla pani tylko właścicielem wynajmowanego domu? - upewnił się.

- Tak.

Thomas podszedł do ich stolika.

- Uważaj, Rhodes. Stosunek między właścicielem a lokatorem jest oparty na szczególnym zaufaniu. ! ma wielowiekową tradycję oraz prawa. W gruncie rzeczy przypomina małżeństwo.

Leonora rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, jednak Thomas nie zwrócił na to uwagi. Odsunął krzesło, odwrócił je i usiadł twarzą do oparcia, uśmiechając się do Leonory.

- Byłem w sklepie po drugiej stronie ulicy i zauważyłem panią przez okno. W domu wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję.

- Jeśli trzeba będzie coś naprawić, koniecznie proszę dać mi znać.

- Dobrze.

Wzięła filiżankę i upiła łyk herbaty, starając się wykoncytować, o co tu właściwie chodzi. Niewątpliwie znacząco wzrósł poziom testosteronu. Czyżby przypadkiem nastąpiła chwila, o jakiej marzy każda kobieta: dwaj mężczyźni gotowi są bić się o jej względy?

Nie. Jej się nigdy nic takiego nie przydarzało.

Alex spojrział na swój duży złoty zegarek i odsunął krzesło.



- Żałuję, ale mam spotkanie z klientem. Nie mogę się spóźnić. Miło mi było poznać panią, Leonoro. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli będzie pani potrzebowała rady, jak walczyć ze stresem.

- Dobrze.

- Chciałbym się też kiedyś dowiedzieć, co pani chciała zrobić z tą mrożoną soją - dodał, puszczając do niej oko. - Do zobaczenia, Walker.

- Jasne - powiedział Thomas.

Alex podszedł do drzwi, zdjął z wieszaka swój długi czarny płaszcz, włożył go i wyszedł z kawiarni.

Thomas przyglądał się przez okno, jak Alex znika we mgle.

- Mrożona soja? - zapytał, nadal patrząc w okno.

- Doskonały surowiec na pyszną niskokaloryczną zakąskę.

- Muszę to sobie zapamiętać. Myśli pani, że Wrenchowi by smakowała?

- Wątpię. Wrench nie robi wrażenia psa, który byłby zainteresowany potrawami z soi.

- Zapewne ma pani rację. - Thomas odwrócił się w jej stronę. Chłód jego szarych oczu zupełnie zbił ją z tropu.

- Coś się stało?

- Czego chciał Rhodes?

Zawahała się, a potem wzruszyła ramionami.

- Powiedział, że marzy o inspirującej rozmowie z niezamężną kobietą która nie jest jego klientką, studentką lub dziewczyną potencjalnego klienta.

- Inspirująca rozmowa, co? Mógłbym przysiąc, że panią podrywał. Napila się herbaty.

- To też.

- Podobała się pani ta inspirująca rozmowa?

- Chciałabym pana poinformować, że bawiłam się w detektywa - odpowiedziała sztywno.

- Naprawdę? Czy mogę spytać, dlaczego postanowiła pani ćwiczyć swe umiejętności akurat na Rhodesie?

- Z kilku ważnych powodów. Po pierwsze, zaintrygowało mnie to, że tak zniecka mnie zaczepił. Zmaterializował się w dziale mrozonek.

Thomas postukał palcem w drewniane oparcie krzesła.

- Rzeczywiście to dość interesujące. Ma pani pojęcie, dlaczego zainicjował

rozmowę?

- Podobno mój tyłeczek wyglądał niesłychanie ponętnie i kusząco, kiedy pochylałam się po omawianą tu wcześniej torbę mrożonej soi. - Upiła łyk herbaty. - Nigdy jeszcze mnie to nie spotkało. Chyba zacznę częściej kupować soję.

- Wątpię, czy chodziło o soję. Mężczyźni zwracają uwagę na takie rzeczy. A drugi powód, dla którego dała się pani tu zaciągnąć na herbatę i inspirującą rozmowę?

- Na początku rozmowy wspomniał o Meredith. Thomas milczał przez chwilę.

- Naprawdę? - spytał cicho.

- Sam zaczął o niej mówić, bez żadnego podpuszczania z mojej strony.

- Brak mu subtelności, co?

- Odniosłam wrażenie, że nie miał czasu na subtelności. Szukał odpowiedzi i chciał je szybko uzyskać. Poinformował mnie także, z własnej woli, że spotykał się z Meredith po tym, jak rozstała się z panem.

- Mogłem sam pani o tym powiedzieć. Spojrzała na niego nad brzegiem filiżanki.

- Ale mi pan nie powiedział, prawda? Wzruszył ramionami.

- Nie sądziłem, że to takie ważne.

- Mógł się pan mylić.

Zastanowił się przez moment nad jej słowami.

- To bardzo możliwe. Cholera! Co tu się dzieje? I skąd w tym wszystkim Alex Rhodes?

- Jeszcze nie wiem. Ale mogę panu na razie powiedzieć, że był szalenie zainteresowany, czy coś nas łączy.

- Łączy? - powtórzył Thomas, marszcząc brwi. - Panią i mnie?

- Tak. Pana i mnie. Gdy się pan przysiadł, usiłowałam go właśnie przekonać, że jest pan tylko właścicielem domu, który wynajmuję.

- Coś takiego...

- Można by, oczywiście, dojść do fałszywego wniosku, że pan Rhodes jest doskonałym przykładem szlachetnego mężczyzny, który nie chce podrywać kobiet innym facetom.

- Inaczej mówiąc, porwał go i oczarował pani wygląd w dziale mrożonek, ale nim położył ręce na pani tyłeczku, postanowił się upewnić, że nie jest pani z nikim związana.

- Zakładając, naturalnie, że pozwoliłabym mu położyć łapy na moim uroczym tyłeczku, nawet gdybym nie była z nikim związana.

- Zakładając.

- Wszystko jest możliwe na tym zwariowanym świecie. - Leonora westchnęła. - Jednak wydaje mi się, że zaprosił mnie na herbatę i zaczął wypytywać z innych względów.

Thomas spojrział na nią z aprobatą.

- Jest pani utalentowanym detektywem. To bardzo mądrze, że nie dała się pani zwieść jego podstępnej taktyce.

- Prawda? Muszę jednak przyznać, że jestem szalenie ciekawa, dlaczego w ogóle zastosował tę taktykę.

- Ja też. Myśli pani, że wie o pieniądzach, które Meredith wyciągnęła z konta fundacji? Wydedukował, że gdzieś je ukryła i ma nadzieję je odnaleźć?

- O tym nie pomyślałam. - Zmarszczyła nos. - Dla półtora miliona dolców opłaca się poderwać kobietę. Ale skąd wiedziałby o jej oszustwie? Meredith nie miała w zwyczaju zwierzać się mężczyznom, nawet tym, z którymi sypiała.

- Ja odkryłem jej defraudację - przypomniał Thomas. - Przy pomocy brata i komputera.

- Ale nabrał pan podejrzeń dopiero po jej nagłym wyjeździe i postanowił sprawdzić konto fundacji. Dlaczego Alex miałby coś podejrzewać?

- Rhodes mógł mieć własne powody, aby podejrzewać Meredith o kanty.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Bo mam wrażenie, że mieli parę wspólnych cech - odparł spokojnie Thomas. - Meredith była mistrzynią w oszukiwaniu. Moim zdaniem ten antystresowy preparat, który sprzedaje Rhodes, stawia go w tej samej kategorii ludzi. Swoją cięgnie do swego.

- Sądzi pan, że Alex jest oszustem?

- Chyba pani żartuje. Ten środek wzmacniający, który wciska ludziom, kosztuje majątek.

- Bardzo dużo ludzi szczerze wierzy w medycynę alternatywną. I ma ku temu powody.

- Rhodes zrobił na pani wrażenie holistycznego uzdrowiciela? Zawahała się przez moment.

- Dobrze, założmy, że Alex domyślił się, że Meredith jest kombinatorką. Skąd jednak mógłby się dowiedzieć o kradzieży pieniędzy z konta?

Thomas wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale nie możemy odrzucić podejrzenia, że szuka tych pieniędzy i że liczy na pani pomoc.

- A więc zakładamy, że Alex zaczepił mnie w dziale mrożonek z tego samego powodu, z którego pan przyciskał mnie do muru w mieszkaniu Meredith - stwierdziła spokojnie. - Wie, że Meredith ukradła półtora miliona dolarów i że mnie znała, więc mogę wiedzieć, gdzie są te pieniądze.

Thomas wyglądał na zirytowanego takim podsumowaniem.

- Poznaliśmy się przez tę forszę, ale nie dlatego zostaliśmy współnikami. Pani zmusiła mnie do tego szantażem.

- To prawda, zupełnie zapomniałam.

- Ma pani wybiórczą pamięć.

- To z powodu mojego wykształcenia. Wie pan co, istnieje niewielka możliwość, że Meredith wspomniała Aleksowi o mnie, choć jest to mało prawdopodobne. Ale założę się o ostatniego centa, że nie powiedziała mu ani o oszustwie, ani o pieniądzach. Pilnie strzegła swoich sekretów. Nigdy nie słyszałam, żeby zwierzała się z nich jakimkolwiek mężczyźnie.

- Rozumiem.

- Nie pytam, aby zmienić temat, ale gdzie jest Wrench?

- Przywiązany na zewnątrz, gdzie może do woli gapić się na czworonożne przedstawicielki żeńskiego gatunku.

Uniosła brwi.

- Chce pan powiedzieć, że nadal interesuje się płcią przeciwną? Myślałam, że psy ze schroniska są wysterylizowane.

- Nigdy nie wyjaśniałem Wrenchowi szczegółów operacji. To by go mogło wpędzić w depresję.

- To miło z pana strony.

- Jest moim kumplem. Dlatego chciałem go oszczędzić. Idziemy? Odprowadzę panią do domu.

- Dobrze - zgodziła się, wstając. Pomógł jej włożyć płaszcz.

- Czy kiedy zabawiała się pani w detektywa, zwróciła pani uwagę na oczy Rhodesa?

- Nie można ich nie zauważyć.

- Dziwne, nie? Nigdy nie widziałem takich oczu.

- Kolorowe szkła kontaktowe - wyjaśniła z uśmiechem Leonora.

- ... i skup się. - Cassie przyjęła pozycję półłotosu. - Znajdź swoje miejsce, oczyść umysł i zatop się w bezruchu.

Deke posłusznie wypełniał instrukcje, przyjmując właściwą pozycję. Usiłował się skoncentrować na oczyszczeniu umysłu, ale proces ten przeczył sam sobie. Jeśli człowiek się na czymś koncentruje, to nie może jednocześnie oczyszczać umysłu z wszelkich myśli.

Było to szczególnie trudne, ponieważ koncentrował się na bujnych okrągłościach ud Cassie.

Ta kobieta miała nadzwyczajne uda, pełne, dojrzałe i elegancko zaokrąglone. Doskonale opakowane w przylegające czarne rajstopy. Ale u niej wszystko było nadzwyczajne. Zdaniem Deke'a była wspaniała.

Gdyby miał trochę rozumu w głowie, przerwałby te sesje. Ćwicząc z nią jogę, zawsze się podniecał. To była tortura.

- ...rozluźnij się i znajdź sieć linii energii...

Żył tylko sesjami jogi. Były najjaśniejszym punktem w całym tygodniu. Nie musiał szukać żadnej sieci linii energii, gdyż cała skupiła się w jego twardej erekcji.

- ...i wypuść...

Nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności. Gdyby tylko... Cassie przyglądała mu się z niepokojem.

- To była jedna z gorszych sesji - podsumowała. - Mam wrażenie, że nie potrafiłeś dziś znaleźć swojego miejsca. Czy coś się stało?

Wiedział, że nie powinien zajmować jej swoimi problemami. Jest instruktorką jogi, a nie przyjaciółką czy terapeutką. Ale musiał z kimś porozmawiać, najlepiej z kobietą. Kobiety często widziały rzeczy, które umykały mężczyznom.

- Myślisz, że Thomas sypia z Leonorą Hutton? - zapytał.

- Słucham?

Popełnił błąd. Teraz to zrozumiał. Ale było już za późno, żeby się wycofać.

- Widziałas ich razem przedwczoraj, kiedy przyszedł na sesję. Ciekaw jestem, czy twoim zdaniem coś ich łączy.

- Widziałam ich przez pięć minut, Deke. Właśnie wychodzili. Skąd mogę wiedzieć, czy coś ich łączy. - Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem i wstała. - Poza tym Thomas jest twoim bratem. Znasz go lepiej niż ja.

- Nawet mnie trudno jest czasem rozszyfrować Thomasa. Wydawało mi się

jednak, że zachowywał się przy niej inaczej niż zwykle. Cały czas na nią patrzył. I sprawiał wrażenie, jakby nie mógł usiedzieć na miejscu. To do niego niepodobne. To najbardziej zrelaksowany facet, jakiego znam, nawet kiedy jest z kobietą z którą...

- Nawet kiedy jest z kobietą, z którą ma romans? - Cassie rozpięła torbę i wyjęła z niej spodnie od dresu. - To chciałeś powiedzieć?

Miał zamiar powiedzieć, że Thomas zawsze był spokojny, opanowany i zrelaksowany, nawet w towarzystwie kobiety, którą pieprzył. Ale przy Cassie nie chciał używać tego słowa. Było trochę nieprzyzwoite. Poza tym, z jakiegoś powodu, była zirytowana.

- Chciałem tylko znać twoje zdanie - mruknął.

Cassie wciągnęła spodnie na rajstopy nietypowym dla siebie, szybkim i niecierpliwym ruchem.

- Z tego, co mówiłeś, wynika, że od swojego rozvodu Thomas raczej nie żył w celibacie. Parę miesięcy temu spotykał się z tą kobietą która pracowała w Domu Luster. Dlaczego byłoby dziwne, gdyby miał kolejny romans?

- To jest inna sytuacja. Thomas zachowuje się inaczej niż zwykle. Cassie schyliła się, żeby zawiązać sznurowadła.

- Jak?

- W obecności Leonory jest bardzo spięty. Jest między nimi jakiś przepływ energii.

- Przyciąganie seksualne wytwarza między dwojgiem ludzi dużo energii, która wydziela się w powietrzu.

- Ale on wcale z nianie flirtował. Zachowywał się tak, jakby był na nią wściekły. Albo na siebie. To też jest dziwne.

Cassie wyprostowała się gwałtownie.

- Energia seksualna jest taka sama, jak każda inna. Jeśli się ją ignoruje lub odrzuca, może powodować rodzaj tarcia, które łatwo przechodzi w irytację, a nawet w gniew. Należy ją przyjąć i wykorzystać w zdrowy naturalny sposób. Polecam koncentrację na świadomym oddychaniu. Bardzo pomaga.

Deke wzdrygnął się. Cassie mówiła ostrym niecierpliwym tonem, który go zawsze rozdrażniał i deprymował. Jakby pouczała tępego ucznia.

- Do tej pory Thomas nigdy nie zachowywał się w ten sposób w obecności kobiety - powiedział.

- Jest spięty, bo pewnie jeszcze ze sobą nie spali. - Cassie sięgnęła po bluzę i

zaczęła wkładać ją przez głowę. - Przypuszczam, że jeśli nawiążą bliższy kontakt, o ile to nastąpi, napięcie zniknie.

- Tak myślisz?

- Seks to doskonały sposób na redukcję stresu i poprawę samopoczucia.

Naprawdę często pomaga.

- Tak sądzisz?

- Tak. - Unikała jego wzroku. - W odpowiednich warunkach seks jest naturalnym zdrowym sposobem ożywiania sieci energii.

- W odpowiednich warunkach?

- Mówię o sytuacji, kiedy obie osoby są wolne, pociągają się i są zdrowe.

Deke skinął głową.

- Thomas jest wolny, zdrowy i chyba zainteresowany Leonorą.

- A ty, Deke? Też jesteś wolny i zdrowy. Straciłeś żonę ponad rok temu. Nie myślisz czasem o bliższym związku z kobietą?

- Ja? - Cholera! Czyżby zauważyła jego erekcję? - O związku? Głęboko odetchnęła.

- Przepraszam. Nie powinnam była tego mówić. To nie moja sprawa. Jestem tylko instruktorką jogi.

Deke milczał.

Założyła torbę na ramię i podeszła do drzwi.

- Do zobaczenia w piątek. I pracuj nad pozycją kobry. Robisz ją z wysiłkiem, a powinieneś się relaksować.

Otworzyła drzwi i wyszła, nim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Do domu wróciła znajoma cisza. Miał wrażenie, że popełnił błąd, ale za skarby świata nie wiedział, czym ją rozzłościł. Przecież spytał tylko o jej wrażenie dotyczące wzajemnego stosunku Thomasa i Leonory. Wszystko przekreśliła i rozmowa zesłała na brak aktywnego życia seksualnego.

Nie musiała mu wytykać, że jego życie seksualne ostatnio praktycznie nie istnieje. Bardzo dobrze zdawał sobie z tego sprawę, zwłaszcza w jej obecności.

Podszedł do najbliższego okna i zasunął zasłony. Przeszedł przez cały pokój, aż znów zapanował półmrok.

Kiedy pomieszczenie wypełnił znajomy i beztroski ponury nastrój, siadł za biurkiem i włączył komputer, wpatrując się w świecący ekran. Zamierzał nadal szukać jakichś informacji na temat morderstwa Eubanksa, ale z jakiegoś powodu

przypomniało mu się popołudnie sprzed wielu lat, kiedy siedzieli z Thomasem na jego łóżku i słuchali, jak rodzice w kuchni obrzucają się oskarżeniami.

Miał wówczas dziewięć lat, Thomas trzynaście. Deke był bliski płaczu, jednak starszy brat nie płakał, więc i on nie mógł sobie pozwolić na łzy.

- Chyba się rozwiodą, Deke. Słyszałem, jak tata mówił coś o adwokacie.

- Tak jak rodzice Jasona?

- Aha. Tata pewnie się wyprowadzi. Mark mówił, że tak zwykle bywa.

- Tata ma dziewczynę, prawda?

- Tak mówi mama.

- Myślisz, że mama znajdzie sobie faceta, jak tata się wyprowadzi? - spytał Deke.

- Może.

- Jason mówi, że teraz widuje swojego tatę tylko raz w tygodniu. Nie lubi tej kobiety, z którą jego tata się ożenił. Mówi, że to lalunia. Ale naprawdę nienawidzi faceta, z którym spotyka się jego mama. On śpi w sypialni mamy, kiedy zostaje na noc, i zawsze trzyma pilota od telewizora.

Przez chwilę słuchali przytłumionych krzyków z kuchni. Deke przycisnął do siebie poduszkę i walczył ze łzami.

- Coś ci powiem, Deke. Ja się nigdy nie ożenię. Ale gdybym się ożenił, to na pewno nie będę miał dzieci. Nigdy bym nie zrobił czegoś takiego dzieciom.

- Ja też nie.

- Niezależnie od tego, co się stanie, zawsze będziemy trzymali się razem.

- Dobrze.



## ROZDZIAŁ 9

Preparat jest dostosowany do potrzeb konkretnej osoby - wyjaśnił Alex. - Każdy klient dostaje swoją indywidualną mieszankę, dlatego że każdy człowiek jest inny.

- Rozumiem - powiedziała Elissa.

Otworzył szafkę i wybrał jedną z niebieskich buteleczek.

- Preparat musi być zażywany pod kontrolą. Konieczna jest dokładna obserwacja. Dlatego wymagam, żeby klienci przychodzili przynajmniej raz w tygodniu po nową porcję.

Spojrzała na niebieską buteleczkę.

- Jaki to ma skład?

- W zasadzie jest to złożona mieszanka składników otrzymanych z wielu różnych wodorostów. - Zamknął szafkę. - Moje badania potwierdzają, że większości ludzi brakuje podstawowych substancji odżywczych, które można znaleźć tylko w morzu. Musi pani wiedzieć, że nasza krew, pod względem składu chemicznego, przypomina wodę morską. Tu, na lądzie, często jesteśmy pozbawieni wielu składników występujących w wodzie morskiej. Dlatego żyjemy w stanie chemicznie wywołanego stresu, co w końcu, po latach, daje o sobie znać.

- Rozumiem.

- Moja terapia opiera się na przywróceniu właściwego poziomu pewnych substancji i enzymów. Kiedy chemia w pani ciele wróci do równowagi, łatwiej da pani sobie radę ze stresem.

- To byłoby cudowne. - Elissa zacisnęła dłonie na torebce. - Na razie kiepsko sobie radzę.

Alex podszedł do niej z niebieską buteleczką w ręku.

- Moim zdaniem najlepiej będzie potraktować problem z dwóch stron. Oprócz preparatu polecam pani terapię.

Elissa zeszywniała.

- Nie chcę rozmawiać o moim życiu osobistym. Nie mogę. Umówiłam się z panem, żeby spróbować kuracji preparatem.

- Proszę się nie martwić - powiedział uspokajająco. - Nie będę się upierał. Ale byłoby nieetyczne, gdybym nie wspomniał o dodatkowych korzyściach. Stosuję bardzo indywidualną formę terapii. Nazywam ją odzwierciedlaniem. To forma terapii

regresywnej, oparta na poprzednim życiu. Mam znakomite efekty.

Podstawowego żargonu nie zmieniał od lat, ale za każdym razem, gdy zaczynał nową praktykę, wymyślał nową nazwę. Był zadowolony z nazwy „odzwierciedlenie”, którą wymyślił niedługo po przyjeździe do Wing Cove. To miasto i jego architektoniczny horror, Dom Luster, pod wieloma względami okazały się niezwykle inspirujące. Zwłaszcza pod względem finansowym.

- Nie wierzę w poprzednie życia - powiedziała zaniepokojona Elissa.

- Podobnie jak wielu ludzi, dopóki nie zaczną badać swojej przeszłości. Wydarzenia i przeżycia z przeszłego życia są często powodem stresu w życiu obecnym. Badając przeszłe życie i rozwiązując jego problemy, możemy zredukować poziom stresu teraz.

- Może kiedyś spróbuję. Czy mogę teraz dostać ten preparat?

- Tak, ale jeśli kiedykolwiek odczuje pani potrzebę zanurzenia się głębiej w meandrach swojej osobowości, proszę się ze mną skontaktować. Jestem profesjonalistą i może być pani pewna, że wszystko zostanie między nami.

Uśmiechnął się uspokajająco, co zawsze wzbudzało zaufanie, i podał jej niebieską buteleczkę. Było mu wszystko jedno, czy się zgłosi na terapię, czy nie. Elissa Kern była zbyt sztywna i spięta; nie chciałby iść z nią do łóżka.

- Wydaje mi się, że zauważy pani korzystne działanie natychmiast po zażyciu pierwszej dawki - powiedział.

- Mam nadzieję.

- To niesamowite uczucie. - Leonora przyłożyła lornetkę do oczu. - Dotąd nigdy nikogo nie szpiegowałam.

Thomas nakierował swoją silnie powiększającą lornetkę na drzwi domu wynajmowanego przez Aleksa Rhodesa. Dom był stary i zniszczony, usytuowany w odludnym zakątku porośniętym drzewami, prawie półtora kilometra od centrum Wing Cove. Rhodes najwyraźniej cenił prywatność.

- Widocznie nie miała pani takiej potrzeby - stwierdził Thomas.

- Widocznie. - Przesunęła lornetkę. - To duże, czarne bmw należy do Aleksa?

- Tak, facet ma obsesję na punkcie czarnego koloru.

- A ten drugi, mały, jasnobrązowy samochód?

- Przypuszczalnie klienta.

- Wie pan czyj?

- Nie. Zaraz się pewnie przekonamy.

- Czy policja mogłaby nas za to aresztować?  
- Za co? Za obserwację domu Rhodesa? Wątpię.  
- W każdym razie to był pana pomysł.  
- O ile dobrze pamiętam, chętnie pani tu ze mną przyjechała.  
- No, dobrze, przyznaję, że sposób, w jaki Alex zaczepił mnie dziś popołudniu, był bardzo podejrzany. I z pewnością nie chciałam, aby przyjeżdżał tu pan beze mnie. Ale nie wiem, czego możemy się dowiedzieć, obserwując jego klientów.

- Nudzi się pani, prawda?  
- Trochę - przyznała. - I zimno mi. Mgła jest coraz gęstsza.  
- Ostrzegalem, że to będzie wymagało cierpliwości.  
- Nie jestem cierpliwa. Thomas poprawił ostrość.  
- Zauważyłem.  
- Zakładam, że pan jest cierpliwy.  
- Uważam, że nie ma się co spieszyć bez powodu, a z mojego doświadczenia wynika, że rzadko zdarzają się istotne powody do pośpiechu.

- Hm.  
Leonora milczała przez chwilę, ale Thomas wiedział, że się niecierpliwi.  
- Niedługo zrobi się ciemno - stwierdziła w końcu. - Może być trudno wrócić do domu w tej mgle. Jak długo zamierza pan tu zostać?  
- Tak długo, jak będzie trzeba. Opuściła lornetkę.  
- Chyba nie chce pan tu siedzieć całą noc?  
- Może pani odjechać w każdej chwili - powiedział spokojnie. - To pani chciała tu ze mną przyjechać.

Jęknęła.  
- A teraz jeszcze marudzę, prawda?  
- Tak, ale to mi nie przeszkadza. Jest pani w tym dobra. - Nadal patrzył przez lornetkę. - Ciekawe, dlaczego Rhodes ma we wszystkich oknach opuszczone żaluzje.  
- Żaluzje? - Znów uniosła lornetkę i nakierowała ją na dom. - Ma pan rację. Wszystkie są opuszczone. Ale pański brat też ma zasłonięte okna.

- Dlatego że jest w depresji i lubi przesiadywać przy komputerze. Rhodes nie wyglądał na człowieka w depresji i wiemy, że nie pracuje na komputerze, bo ma kogoś u siebie. Co zostawia jeszcze jedno, możliwe wyjaśnienie.

- Jakie? Opuścił lornetkę.  
- Nie zdziwiłbym się, gdyby Rhodes był tego rodzaju terapeutą, który sypia z

klientkami.

- Nie ma pan o nim zbyt dobrego zdania, prawda?

- „Nie ufaj człowiekowi, który nosi żółte szkła kontaktowe”, to nasze rodzinne motto.

- Równie dobre, jak każde inne - stwierdziła po namyśle. - Jest!

- Kto?

- Klientka Aleksa. Właśnie wyszła z domu. Idzie do samochodu.

- Kobieta? - Przyłożył lornetkę do oczu. Nad drogą wisiały pasma mgły, ale wciąż było na tyle jasno, że mógł rozpoznać wyprostowaną sztywno postać jasnowłosej kobiety, która wsiadała do małego samochodu na podjeździe. - Elissa Kern. Myśli pani, że z nim sypia?

- Jako wykwalifikowana bibliotekarka akademicka odmawiam wyciągania wniosków bez jakichkolwiek dowodów. Muszę jednak przyznać, że taki scenariusz tłumaczyłby zasłonięte okna.

- Cholera! Biedny Ed Stovall.

- Szef policji? Dlaczego go pan żałuje?

- Ponieważ mam wrażenie, że na swój dziwny sposób zabiega o Elisę.

- Och, to smutne, prawda?

- Tak, ale na szczęście to nie jest nasz problem. Mamy własne. Przyglądał się, jak samochód Elissy znika we mgle, a potem nakierował lornetkę na Aleksa.

Rhodes zaczął na ganku, dopóki Elissa nie odjedzie i wszedł do domu. Thomas miał zamiar zaproponować, żeby skończyć obserwację i pomyśleć o kolacji, kiedy drzwi znowu się otworzyły.

Rhodes wyszedł na ganek w dresie i wiatrówce. Zamknął drzwi na klucz, podszedł do balustrady ganku i wykonał kilka skłonów, po czym zszedł po schodkach i pobiegł przed siebie.

- Nic dziwnego, że ma taką dobrą kondycję - mruknęła Leonora.

- Mężczyzna w jego wieku nie powinien biegać. Może sobie uszkodzić kolana.

- Nie wygląda na to, żeby miał problemy z kolanami.

- Stawy kolanowe są bardzo podstępne. Nigdy nie wiadomo, kiedy się zbuntują.

- Thomas schował lornetkę do kieszeni. - Proszę poczekać, zaraz wracam.

Spojrzała na niego, marszcząc ze zdziwieniem brwi.

- Dokąd pan idzie?

- Jestem w sąsiedztwie, a sąsiada nie ma, więc wykorzystam okazję.

- Po co?

- Żeby sprawdzić jego dom.

- Co? Chce się pan włamać? - zawołała. - Czy pan oszalał? A jeśli Alex niespodziewanie wróci? Mógłby kazać pana aresztować.

- Poszedł biegać. Nie będzie go co najmniej pół godziny. Może nawet dłużej. Wejdę do środka tylko na moment.

- To nie jest dobry pomysł.

- Niech pani nie patrzy, jeśli to pani przeszkadza. Thomas ruszył między drzewa.

- O nie, nie. - Pospiesznie poszła za nim. - Jeżeli się pan upiera, idę z panem.

Usłyszał za sobą jej stłumione kroki i przystanął, odwracając się do niej.

- Nie.

- Nie może mnie pan powstrzymać. Jesteśmy partnerami. Uparty ton głosu mówił mu, że jeśli postanowiła z nim pójść, to to zrobi. Zawsze może wrócić tu później, sam.

- W porządku, nie ma o czym mówić, to był rzeczywiście głupi pomysł. - Wyciągnął rękę, aby wziąć ją za ramię. - Chodźmy stąd.

- Wiem, co pan myśli. - Szybko odsunęła się od niego, okręciła na pięcie i ruszyła w stronę domu Aleksa. - Zamierza pan tu wrócić później i włamać się do środka beze mnie, prawda?

- Niech pani zaczeka. Zgadzam się z panią, że to zbyt ryzykowne.

- Ale to pana nie powstrzyma, prawda?

Miał ochotę przełożyć ją sobie przez ramię, ale nie był pewien, czy byłaby zadowolona.

Co zrobić z taką kobietą? Rozejrzał się. Ciemność i mgła były doskonałą osłoną. Wyglądało na to, że chwilowo nic im nie grozi. Jeśli szybko wejdą i wyjdą, nic się nie stanie.

- Dobrze, skoro już tu jesteśmy, spróbujmy. Leonora spojrzała na okna.

- Jak dostaniemy się do środka?

Thomas wyciągnął spod kurtki małą torebkę z narzędziami, którą nosił przy pasku i wyjął z niej dwa błyszczące wytrychy.

- Tak. Niech pani patrzy, czy Rhodes nie wraca.

- Mój Boże, pan to sobie zaplanował.

- Nigdy nie robię niczego bez planu. Taki mam zwyczaj. Wszedł po trzech

schodkach na werandę i zajął się tylnymi drzwiami. Otwarcie zamka zabrało mu pół minuty.

- Gdzie się pan tego nauczył? - spytała szeptem zdumiona Leonora.

- Zajmuję się odnawianiem domów. Zainstalowałem już i naprawiłem tyle różnych zamków, że i to potrafię.

Włożył rękawiczki i ostrożnie uchylił drzwi prowadzące do małego pomieszczenia. W kącie stał kosz na śmieci, a na podłodze - para brudnych butów. Na półkach z jednej strony leżały zwykle w takich miejscach rzeczy: latarka, baterie, wąż ogrodowy, konserwy.

Na podłodze stała torba z kijami do golfa.

Leonora ruszyła za nim, ale przedtem zerknęła przez ramię, by sprawdzić, czy nikt nie nadchodzi.

- Proszę niczego nie dotykać - przestrzegają Thomas.

- Nie ma problemu, ja też mam rękawiczki. - Uniosła rękę do góry.

- Lepiej niczego nie ruszać, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Zamknął za sobą drzwi i przeszedł do wąskiego korytarza, który łączył łazienkę i sypialnię z dużym pokojem i kuchnią. Przystanął na chwilę, aby wzrok przyzwyczaił się do ciemności.

- Niech pani uważa - szepnął. - Przy zasuniętych żaluzjach jest tu naprawdę ciemno.

- Czego szukamy?

- Skąd mam wiedzieć? - Ruszył korytarzem do sypialni. - Nigdy wcześniej tego nie robiłem.

- Ale to był przecież pański pomysł. Myślałam, że wie pan, o co panu chodzi.

Zignorował jej słowa i otworzył szafę w korytarzu. Na półkach stały rzędy małych fiolek i buteleczek.

- Niech pani spojrzy - powiedział. Stanęła obok.

- To są prawdopodobnie składniki preparatu odżywczego. Wziął do ręki jedną buteleczkę.

- Myśli pani, że zauważy jej brak?

- Mówi pan poważnie? - odparła ostro pytaniem na pytanie.

- Wezmę próbki z kilku buteleczek. Rhodes niczego nie zauważy. To będzie coś w rodzaju próbki losowej. Jakościowy test konsumencki.

- Do czego pan schowa te próbki?

Wrócił do składziku i wziął parę plastikowych torebek.

- To powinno wystarczyć.

Otworzył trzy fiolki, przełożył niewielkie ilości substancji z każdej z nich do torebek i zamknął szafę.

- Ciekawe, co jeszcze tu znajdziemy - powiedział i ruszył do sypialni.

Niewielkie pomieszczenie wyglądało zdumiewająco normalnie. Znajdowały się w nim drewniana komoda, łóżko i krzesło. Gdy otworzył szafę w ścianie, ujrzał masę czarnych ubrań. Na wieszakach wisiały rzędy czarnych koszul i spodni, na podłodze stały równe rzędkie czarnych, wyjściowych i sportowych butów. Oddzielnie wisiało kilkanaście czarnych krawatów.

- Ten facet ma w sobie coś z aktora - stwierdził Thomas. - Sztuczne żółte oczy, czarne ubrania. Jakby odgrywał jakąś rolę. Dziwi mnie tylko, że nie ma luster na suficie nad łóżkiem.

Rzuciła mu enigmatyczne spojrzenie.

- Czy jest pan do niego uprzedzony, ponieważ spotykał się z Meredith, kiedy zerwała z panem?

- To nie ma z tym nic wspólnego.

Była to prawda, która jednak nie wyjaśniała wszystkiego.

Musiał przyznać sam przed sobą, że nie myślał o Aleksie Rhodesie aż do tego popołudnia, gdy stojąc na chodniku przed sklepem z narzędziami Pitneya, zauważył, że ten mężczyzna prowadzi Leonorę do kawiarni. Od tej chwili stał się bardzo podejrzliwy.

Jednak nie sądził, by Leonora potrafiła to zrozumieć. Sam do końca nie rozumiał, choć podejrzewał, że jest stanowczo za stary i zblazowany, by poddać się tak łatwo grze hormonów.

Zamknął szafę i otworzył szufladę nocnego stolika przy łóżku.

- No, proszę.

Spojrzała na niego z drugiej strony szerokiego łóżka.

- Co tam jest?

- Bardzo duże pudełko prezerwatyw. Co by sugerowało, że Rhodes rzeczywiście sypia ze swoimi klientkami.

Sądząc z faktu, że pudełko było na wpół puste, można się było założyć, że życie seksualne Rhodesa przedstawiało się znacznie ciekawiej niż ostatnio jego własne. No, ale detektyw amator nie powinien myśleć o takich rzeczach.

Leonora podeszła bliżej.

- Sporo ich już wykorzystał. Może dlatego, że tyle biega. Zatrzasnął szufladę.

- Mówiłem pani, że bieganie szkodzi na kolana.

- Wiem, ale chyba do tego nie używa kolan.

- Jeśli to prawda, to facetowi brakuje wyobraźni.

Wysunął szufladę komody i zobaczył stertę czarnych podkoszulków i czarnych majtek. Zamknął szufladę i otworzył następną. Czarne skarpetki.

- Dobrze byłoby znaleźć jakieś papiery, wyciągi bankowe czy finansowe, ale obawiam się, że to mało prawdopodobne. - Zasunął ostatnią szufladę i rozejrzał się po pokoju. - Rhodes robi wrażenie człowieka ostrożnego. Wątpię, czy zostawił coś pożytecznego na wierzchu.

- I co teraz?

- Niech pani pójdzie do łazienki. Sprawdzi lekarstwa i tego typu rzeczy. - Wyszedł na korytarz. - Ja zajmę się dużym pokojem.

- Dobrze.

Wszedł do ciemnego pokoju. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie ma tam nic ciekawego. Kanapa miała ciemne obicie. Na podłodze leżał okrągły pleciony dywanik. Na biurku stał laptop.

Z utęsknieniem spojrzął na komputer, ale nie odważyłby się go otworzyć, a poza tym, w przeciwieństwie do brata, nie umiał łamać zabezpieczeń.

Przyjrzał się długiemu niskiemu stolikowi, który stał na dywaniku. Było w nim coś dziwnego.

Podszedł bliżej i zobaczył, że stół nakryty jest czarnym aksamitem. Pod materiałem leżał jakiś przedmiot.

Poczucie niepokoju było równie niewytłumaczalne, jak odczucie seksualnego poczucia własności, którego doświadczył, gdy wszedł do kawiarni i zobaczył, jak Rhodes czaruje Leonorę. Nic z tego nie rozumiał.

- W łazience nie znalazłam nic ciekawego - odezwała się Leonora za jego plecami. - A tu? Jest coś interesującego?

- Może.

- Czarny aksamit? - Podeszła bliżej. - Bez namalowanego portretu Elvisa? To nie wygląda dobrze, prawda?

- Powiedziałbym, że wygląda bardzo dziwnie. Złapał za materiał i unióś go do góry.



W ciemności zaślniło okrągłe lustro, z taflą szkła szerniałą ze starości i ozdobną, spatynowaną, metalową ramą.

Lustro nie było płaską taflą, lecz składało się z wielu koncentrycznych szklanych baniek. Każda bańka rzucała małe, lekko zniekształcone odrębne odbicie. W rezultacie powstawało dużo miniaturowych obrazków, jak z beczki śmiechu, które bardzo męczyły oczy.

- Dziwaczne - szepnęła Leonora.

- Sam bym tego lepiej nie określił. Nigdy w życiu niczego takiego nie widziałem.

- Ja tak, w jednej z ksiązek w bibliotece Domu Luster. Pochyliła się, aby lepiej się przyjrzeć. W pokoju było jeszcze dość światła i w każdej szklanej bańce widziała swoją zniekształconą twarz. Na niektórych odbiciach jej twarz była powiększona, na innych znacznie zmniejszona. Thomas miał wrażenie, jakby w tym lustrze uwięziono setkę małych Leonerek.

Bezwiednie wziął ją za ramię i odsunął od lustra. Zniekształcone odbicia znikły. Zaskoczył ją tym gwałtownym ruchem, ale się nie opierała.

- Co się stało? - spytała.

- Nic - skłamał. - Chcę coś sprawdzić. - Podniósł brzeg lustra. Było zdumiewająco ciężkie.

Spojrzał na wyblakły numer pod spodem.

- To lustro jest z kolekcji Domu Luster. Na odwrocie jest numer inwentarzowy.  
- Położył lustro na stoliku. - Rhodes je ukradł.

Leonora patrzyła, jak zakrywa lustro czarnym aksamitem.

- Każda z tych szklanych baniek jest małym wklęsłym lub wypukłym lusterkiem - powiedziała. - Nie jestem specjalistką ale ostatnio dużo czytałam na ten temat. Przypuszczam, że lustro pochodzi z początków XIX wieku. Z tego, co czytałam, wynika, że sztuka produkowania tego rodzaju dziwnych luster stała się szerzej znana dopiero w końcu XVIII wieku. Podejrzewam, że jest bardzo cenne.

- Prawdopodobnie. - Z namysłem wpatrywał się w czarny aksamit. - Ciekawe, po co Rhodes je wziął i co z tym robi?

Leonora wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz.

- Bawi się ze swoimi klientkami?

Thomas poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny i zimny dreszcz na plecach. Trzeba wynosić się stąd jak najszybciej.

- Idziemy. - Złapał Leonorę za ramię i pociągnął do tylnych drzwi. - Dość już widzieliśmy. Chodźmy stąd.

Nie protestowała. Wręcz przeciwnie, miał wrażenie, że i ona chciała już wyjść.

Otwierając drzwi, usłyszał kroki na frontowych schodkach.

Wrócił Rhodes.

Wyczuł raczej, niż zauważył błysk strachu w oczach Leonory. Wypchnął ją przez otwarte drzwi i głową wskazał otulone mgłą drzewa. Zakręciła się i znikła we mgle.

Nagle pojął, dlaczego Rhodes wrócił tak szybko. Kiedy byli w środku, mgła znacznie zgęstniała. Po zapadnięciu ciemności nie będzie nic widać na wyciągnięcie dłoni.

Usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

Kiedy cicho zamykał za sobą tylne drzwi, Rhodes właśnie otwierał frontowe.

Schylił się i pobiegł w kierunku drzew.

- Tutaj - szepnęła Leonora.

Zauważył ruch w cieniu, po lewej stronie, wyciągnął rękę i po omacku złapał jej dłoń. Razem zagłębili się w wilgotnej mgle. Otoczyła ich ciemność. Było bezpiecznie, lecz zarazem groźnie.

Już po chwili nic przed sobą nie widzieli, nie mieli pojęcia, w którą stronę iść. Thomas nie zamierzał błędzić, wpadać po omacku na nisko wiszące gałęzie, czy narażać się na wychłodzenie organizmu, gdyby się zgubili i przez wiele godzin błakali po nocy.

Przystanął i do tego samego zmusił Leonorę.

- Chwileczkę. Muszę się zorientować, gdzie jesteśmy. Nie chcemy odejść zbyt daleko od domu Rhodesa, bo to jest nasz jedyny punkt odniesienia w tej mgle i w ciemnościach.

W tej samej chwili we mgle za nimi pojawił się niewyraźny blask.

- Dzięki za zapalenie światła na ganku, Rhodes - powiedział cicho Thomas. - Tego nam było trzeba.

Zacisnął dłoń na ręce Leonory i ruszył w prawo, pilnując, aby zamglone światło z ganku Rhodesa było cały czas z prawej strony, gdy szli wśród drzew. W rezultacie łukiem okrążyli dom Rhodesa.

Kilka minut później znaleźli się na zwirowym podjeździe, który prowadził do drogi.

- W porządku - powiedział Thomas. - Żwir tak miło chrzęści pod nogami. Jak płatki śniadaniowe. Jak długo chrzęścimy, tak długo idziemy we właściwym kierunku.

- Nigdy nie widziałam takiej gęstej mgły.

- W mieście mówią, że takich mgieł nie było w Wing Cove od lat. Niedługo potem doszli do chodnika. Na drodze mgła zdawała się być trochę rzadsza. Samochód stał tam, gdzie go zostawili, zaparkowany z dala od ludzkich oczu, za pustym domkiem letniskowym.

Rzucił okiem na zniszczony domek, z rozpadającymi się schodkami i zabitymi deskami oknami.

- Mało brakowało, a kupiłbym ten dom, zamiast tego, który pani wynajmuje - poinformował Leonorę, otwierając drzwi samochodu od strony pasażera. - To była fantastyczna okazja, ale cieszę, że kupiłem ten drugi.

- Ja też. - Wsiadła do samochodu. - Nie jestem pewna, czy chciałabym mieszkać tak blisko faceta, który sprzedaje jakiś dziwny specyfik w nieoznakowanych buteleczkach.

- W handlu nieruchomościami najważniejsza jest lokalizacja. Bardziej niż gotów byłby to sam przed sobą przyznać, niepokoiła go myśl, że mężczyzna z żółtymi oczami mógłby być sąsiadem Leonory, i to nie ze względu na dziwny specyfik w niebieskich buteleczkach.

Usiadł za kierownicą i spojrzał na drogę. Teraz widział białą linię. Mgła przynajmniej na chwilę podniosła się. Mogli spokojnie wrócić do Wing Cove.

W samochodzie było dość chłodno. Włożył kluczyk do stacyjki i włączył ogrzewanie.

- To było trochę ryzykowne - powiedział, ruszając. Leonora skrzyżowała ręce na piersiach.

- A czego się pan spodziewał? - rzuciła, wpatrując się przed siebie. - Jako detektywi wciąż jesteśmy nowicjuszami. Jestem pewna, że z czasem będziemy sobie lepiej radzić.

## ROZDZIAŁ 10

Jakiś czas później Thomas zatrzymał samochód na podjeździe domu Leonory i wyłączył silnik. Jego bliskość ją uspokajała. Wyczuwała w nim coś solidnego i poważnego. Zdała sobie sprawę, że jeszcze nie chce się z nim rozstawać.

- Nie mogę uwierzyć, że zrobiliśmy coś takiego - westchnęła.

- Dla mnie to także była nowość - stwierdził beznamiętnie. - Jeśli chodzi o rozrywki, to wolę pójść do sklepu i pooglądać śrubokręty.

- Mogliśmy zostać aresztowani.

- Wątpię.

Szybko odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Gdyby Alex zastał nas u siebie w domu, miałby wszelkie prawo wezwać policję.

- Jasne, ale wtedy musiałby też opowiedzieć o tym dziwnym lustrze, które najprawdopodobniej ukradł z Domu Luster. Poza tym wydaje mi się, że nie chciałby, aby Ed Stovall przeszukiwał mu szafki, a może nawet pobrał próbki tych substancji, tak jak my to zrobiliśmy.

- Myśli pan, że Alex handluje narkotykami?

- Kto wie, czym ten facet handluje. Nawet jeśli to jest tylko cukier puder, nie będzie chciał, żeby jego oszustwo wyszło na jaw. Nie, nie sądzę, aby wezwał policję.

Wolno wypuściła powietrze.

- Niemniej jednak, nie zachowaliśmy się zbyt rozsądnie.

- W skali jeden do dziesięciu postawiłbym nam dwójkę.

- Zrobił pan w życiu coś głupszego?

- Jasne. - Milczał przez chwilę. - Mojemu małżeństwu dałbym jedynkę. Zachowałem się jak skończony idiota. Ale byłem wtedy młodszy. Młodość jest zawsze dobrym usprawiedliwieniem. Oczywiście do czasu.

Skinęła głową.

- Jediną głupszą rzeczą od włamania do domu Aleksa, jaką zrobiłam w życiu, były zaręczyny z profesorem Kyle'em Dellingiem.

- Co się stało?

- Pewnego dnia wróciłam z pracy do domu i zastałam go we własnym łóżku z Meredith.

- O!

- Oczywiście zaaranżowała to celowo. Tamtego dnia zadzwoniła do mnie do biblioteki. Powiedziała, że coś się stało i że muszę natychmiast wrócić do domu. Tak to zaplanowała, że kiedy weszłam do mieszkania, leżeli w łóżku.

- Dlaczego to zrobiła? Z czystego okrucieństwa?

- Nie, uważała, że wyświadcza mi wielką przysługę, wykazując, iż Kyle jest słaby i nie można mu ufać. - Potarła dłońmi ramiona, - Ale nie jestem pewna, czy to było fair.

- Dlaczego?

- Bo nie znam mężczyzny, który potrafiłby się oprzeć Meredith. - Uśmiechnęła się lekko i otworzyła drzwi. - Wie pan co? Albo zmarzłam, biegając w tej mgle, albo coś jest nie w porządku z moimi nerwami. Tak czy owak chętnie rozgrzeję się winem. Dotrzyma mi pan towarzystwa?

- Jasne.

Szybko wyskoczył z samochodu.

Leonora ciągle była roztrzęsiona i poczuła wielką ulgę, że Thomas nie zostawi jej samej. W końcu byli partnerami.

- Mgła znów zgęstniała. Zapraszam pana na kolację - rzuciła sztucznie zdawkowym tonem. - Nie ma sensu, aby ryzykował pan skręcenie karku na drodze.

- Przyjmuję zaproszenie.

Zrobiło się już całkiem ciemno. Przy świetle żarówki na ganku usiłowała znaleźć właściwy klucz.

- Proszę. - Otworzyła drzwi i zapaliła lampę w korytarzu.

Kiedy wieszala płaszcz, zobaczyła w lustrze swoje odbicie i jęknęła w duchu. Niezbyt piękny widok, pomyślała. Rozczochrane włosy, zmęczone oczy za szklami okularów i ściągnięte rysy twarzy. Ciemny sweter nie dodawał jej urody.

Thomas zdjął kurtkę i stanął za nią. Ich oczy spotkały się w lustrze. W przeciwieństwie do niej wyglądał fantastycznie. Jak prawdziwy twardy mężczyzna, który wszystko ma pod kontrolą. Musiała zwalczyć przemożną chęć, aby się odwrócić i przytulić głowę do jego piersi.

Położył jej dłonie na ramionach.

- Niech się pani rozluźni. Odczuwa pani efekt wcześniejszej adrenaliny. Niedługo minie.

- Wiem.

Dotyk jego dłoni wcale nie podziałał na nią uspokajająco. Wprost przeciwnie,

poczuła rosnące podniecenie i przypływ energii.

Nagle zapragnęła zrobić coś więcej, niż położyć mu głowę na piersi. Spojrzała w lustrze na jego usta. Ciekawe, jakby się je całowało. I jaki byłby dotyk jego warg na innych częściach ciała.

I dotyk jego silnych pewnych dłoni na piersiach.

I na udach.

Ciekawe, czy on też ma podobne myśli.

Adrenalina. To wszystko adrenalina i nerwy. Weź się w garść, kobieto, skarciła się w duchu.

- Należę wina - powiedziała szybko.

Pospiesznie przeszła do staroświeckiej kuchni, otworzyła szafkę, wyjęła butelkę czerwonego wina i zajęła się wyciąganiem korka.

Kiedy wróciła do pokoju, Thomas zdążył rozpalić w kominku. Podała mu kieliszek. Jego palce lekko musnęły jej dłoń. Poczowała kolejny dreszcz. Tak szybko cofnęła rękę, że prawie upuściła kieliszek.

- Dobrze się pani czuje? - spytał z niepokojem Thomas.

- Tak, choć jestem trochę spięta. - Upiła spory łyk wina i rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś zwykłego i normalnego. - Kupił pan ten dom umeblowany?

- Nie. - Zmarszczył brwi. - Meble wynająłem. Dlaczego pani pyta? Nie podobają się pani? Nie było wielkiego wyboru. W magazynie mieli tylko trzy podstawowe zestawy.

- Nie, nie, meble są w porządku. - Znów napiła się wina. - Już mówiłam, że niektóre są dość duże. Łóżko z trudem mieści się w sypialni. - Cholera, dlaczego wspomniała akurat o łóżku? - Ale kanapa jest wspaniała. Naprawdę.

- Tak, łóżko jest trochę za duże, prawda? - powiedział z namysłem. - Zauważyłem, kiedy przywieźli meble. Chyba wybierałem je z myślą o sobie. Lubię duże łóżka.

Nie przychodził jej do głowy żaden stosowny komentarz. Stwierdziła, że najlepiej będzie nic nie mówić.

Przez chwilę stali przy kominku.

Leonora, wpatrując się w tańczące płomienie, postanowiła skupić się na ważniejszych sprawach. Na przykład żółtych szklach kontaktowych Aleksa i buteleczkach w jego szafie.

- Co Alex właściwie tu robi? - spytała w końcu, kiedy była pewna, że temat

łóżka odszedł w zapomnienie.

- Trudno powiedzieć, ale jestem pewien, że zajmuje się czymś bardzo podejrzanym.

Leonora zawahała się.

- Mówił, że się tu przeniósł ponad rok temu. To znaczy, że mieszkał w Wing Cove, kiedy zginęła Bethany.

Thomas milczał przez chwilę.

- O ile mi wiadomo, Bethany i Rhodes się nie znali. Jestem całkiem pewien, że nigdy nie chodziła do niego po porady ani nie brała wzmacniającego preparatu. Deke by o tym wiedział. Opiekował się Bethany.

- Opiekował się?

- Przeważnie była tak zaabsorbowana pracą, że bardziej niż męża potrzebowała opiekuna, czy kogoś, kto by prowadził dom.

- Rozumiem. Znam kilka naprawdę genialnych osób, które pasują do tego opisu. W każdej chwili mogą podać matematyczne wyjaśnienie pochodzenia materii, ale nie potrafią dopasować dwóch skarpetek.

Thomas skinął głową.

- Taka właśnie była Bethany. Deke zajmował się wszystkimi codziennymi sprawami. Pilnował jej wizyt u dentysty, kupował jedzenie i ubrania dla niej. Wszystko.

- Sądzi pan, że miał z tym jakiś problem?

- Nie rozumiem.

- Kiedyś mówiłam, że jego depresja może być częściowo spowodowana jakimiś nierozwiązanymi problemami w ich małżeństwie.

- I co?

- To, że może ożenił się z Bethany, ponieważ opieka nad nią odpowiadała jego rycerskiej naturze. A później straciła swój powab. Może mieli jakieś kłopoty, których nie udało się rozwiązać przed jej śmiercią.

Thomas spojrział w ogień.

- Lubiłem Bethany, ale nie byłbym szczęśliwy jako jej mąż. O ile wiem, nigdy nie zrobiła niczego dla Deke'a. W gruncie rzeczy nie jestem pewien, na ile naprawdę jej na nim zależało. Pozwalała się obsługiwać i podziwiać. Zastanawiałem się czasem, czy faktycznie go kochała, czy tylko tolerowała ze względu na wygodę.

- Czy mogę spytać, co się stało z pańskim małżeństwem?

- Skończyło się.

Beznamiętny ton mówił sam za siebie.

- Przykro mi. Napił się wina.

- Po czterech latach zostawiła mnie dla mojego współnika.

- Ble!

- Właśnie. Ale życie toczy się dalej.

- Uhm.

- Kiedy moi rodzice się rozwiedli, obiecałem sobie, że nigdy się nie ożenię. A jeśli to zrobię, to na pewno nie będę miał dzieci.

- Nie chciał pan ryzykować, żeby nie narażać dzieci na dramat rozwodu?

- Aha. Okazało się, że powinienem trzymać się swego postanowienia i w ogóle się nie żenić. Ale przynajmniej nie mieliśmy dzieci. Sparzyłem się, ale tylko ja. Dostałem nauczkę.

Pora zmienić temat, pomyślała Leonora. Nie chciała słuchać, kiedy tak chłodno mówi, że nigdy się nie ożeni i nie będzie ojcem.

- Wracając do problemu Aleksa, chyba mam pewien pomysł - zagaiła.

- Jaki?

- Mogłabym pójść do niego na konsultacje w sprawie stresu.

- Proszę nawet o tym nie myśleć - rzucił ostro Thomas.

- Dlaczego?

- Rhodes nie oferuje pani konsultacji, tylko chce panią zaciągnąć do łóżka.

- Skąd pan wie?

- Wiem.

- Niech pan będzie rozsądny. Potrzebny nam jest jakiś ślad.

- Może, ale tym tropem pani nie pójdzie. Poczula przyływ gniewu.

- Do diabła, nikt pana nie mianował szefem tej operacji. Chętnie z panem dyskutuję, ale jesteśmy przecież równorzędnymi partnerami. Też mam prawo podejmować decyzje.

- Proszę posłuchać - powiedział niskim szorstkim głosem. - Ostatnia kobieta, która miała ze mną kontakt, a potem spotykała się z Alekssem Rhodesem nie żyje.

Poczula zimny dreszcz na plecach.

- Meredith.

- Tak, Meredith. Nie chcę pani krytykować, ale oboje wiemy, że o wiele lepiej radziła sobie z facetami jego pokroju niż pani.



Z jakiegoś powodu, może dlatego, że była zdenerwowana, odebrała to jednak jako krytykę. Najgorsze było to, że Thomas miał w gruncie rzeczy rację i zdecydowanie jej się to nie podobało.

Okręciła się na pięcie i poszła do kuchni.

- Wezmę się do kolacji. Mgła na pewno niebawem się podniesie i będzie pan chciał jak najprędzej wracać do domu, do Wrencha.

- Cholera! - Ruszył za nią i stanął w drzwiach kuchni. - Jest pani wściekła.

- Nie chcę o tym mówić.

- Podobno to mężczyźni mają problemy z mówieniem o emocjach. Gwałtownie otworzyła zamrażarkę i wyjęła paczkę mrożonej soi.

- Nie ma potrzeby przenoszenia tego na poziom osobisty. Nada! stał w drzwiach.

- Nie wiem, czy pani zauważyła, ale już dawno przeszliśmy na poziom osobisty. Bardzo osobisty. Przynajmniej z mojej strony.

- Nie, nie zauważyłam.

Nim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, kilkoma krokami pokonał dzielącą ich przestrzeń i stanął tuż przy niej.

- Thomas?

Gwałtownie odstawił kieliszek na ladę. Aż dziw, że się nie stłukł, pomyślała. Wziął jej twarz w dłoń.

- To jest osobiste - powtórzył.

Pocałował ją, nim zdążyła nabrać powietrza. Jego dotyk był tak gorący, że mógłby rozmrozić soję, którą trzymała w ręku.

Szalenie osobiste, pomyślała. Bardziej niż cokolwiek, co ostatnio przeżyła. A może nigdy nie przeżyła czegoś takiego?

Thomas popchnął ją lekko, tak, że plecami oparła się o krawędź kuchennego blatu i wsunął nogę między jej nogi. Całował ją teraz mocniej. Miała wrażenie, że się roztapia, szybciej niż zawartość otwartej szuflady w zamrażarce.

Usłyszała miękki dźwięk i mimochodem odnotowała, że wrzuciła torebkę mrożonej soi do zamrażarki. Objęła Thomasa, szukając ucieczki przed zimnem.

Mruknął coś niezrozumiałego i nogą zatrzasnął zamrażarkę. Jedną silną muskularną ręką objął ją tuż powyżej bioder, drugą przytrzymał jej głowę. Przesunął usta na szyję. Zagłębiła palce w jego włosach. Zadrżała, ale już nie z zimna.

Znów przesunął dłonie, obejmując ją w pasie. I podniósł. Stopy Leonory

oderwały się od ziemi. Pomyślała, że zamierza zanieść ją do pokoju, tymczasem posadził ją na ladzie i wszedł między jej nogi. Ani przez moment nie oderwał ust od jej ciała.

Zamierzał kochać się z nią w kuchni, jakby nie mógł już czekać ani chwili dłużej. Nigdy nie spotkała się z takim pośpiechem. Sama zresztą też nie była w stanie dłużej czekać. Niewiarygodne. I takie podniecające.

Mocniej ścisnęła go udami. Włożył dłonie pod jej sweter. I dotknął nagich piersi. Co się stało ze stanikiem? Nawet nie zauważyła, kiedy go rozpiął.

Ten mężczyzna miał tak sprawne ręce. Nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć, co jeszcze potrafi nimi zrobić.

Krew szybciej krążyła w jej żyłach i było jej coraz goręcej.

Nagle wszystko się zatrzymało.

Thomas znieruchomiał, jakby uderzył w mur. Otworzyła oczy i przekonała się, że intensywnie się jej przygląda.

- Czy masz może pod ręką coś, co by się nam przydało w tej sytuacji?

Zamrugła gwałtownie, starając się zrozumieć, o co mu chodzi.

- Co na przykład?

- Prezerwatywę.

- Och. - Ponura rzeczywistość. Poczwała, że się czerwieni. - Nie, nie mam.

- Pigułki?

- Nie. - Jej twarz nabrała na pewno mocno różowego koloru. - Nie przewidywałam, że tu, w Wing Cove, będę czegoś takiego potrzebowała.

Nie musiała mu wyjawiać, że nie potrzebowała niczego od zerwanych zaręczyn.

- Byłem dziś przygotowany na otwarcie paru zamków. - Uśmiechnął się z żalem i przyłożył czoło do czoła Leonory. - Nie spodziewałem się tego rodzaju przeżyć.

- Och...

Nie przychodziło jej do głowy nic mądrego. Była wstrząśnięta. Wyprostował się i cofnął o krok.

- Ponieważ żadne z nas nie okazało się dostatecznie przewidujące, powinniśmy chyba skoncentrować się teraz na kolacji, nie sądzisz?

Udało jej się nie złapać go za kołnierz i wykrzyknąć czegoś idiotycznego w rodzaju: „Teraz nie możesz przestać. Jestem tak rozpalona, że mogłabym rozmrozić zawartość zamrażarki”.

Na szczęście zwyciężył zdrowy rozsądek. Muszą być ostrożni. Wielki Boże, o

czym ona myślała? To nie była miłość, ani nawet romans. Zwykłe pożądanie. Spowodowane, niewątpliwie, napływem adrenaliny, jakiego oboje wcześniej doświadczyli.

- Kolacja. Tak. To szaleństwo. - Odetchnęła głęboko i stwierdziła, że wciąż siedzi na blacie kuchennym. - Nie mówiąc o tym, że bardzo niehigieniczne.

- Być może. Ale odpowiada na jedno palące pytanie. Przyglądała włosy, zakładając niesforne kosmyki za uszy i zeskoczyła z lady.

Mało brakowało, a wylądowałyby na podłodze, gdyż kolana miała jak z waty. Musiała przytrzymać się wykafelkowanego brzegu stołu, by nie upaść. To było żenujące. Żenujące.

Znów odetchnęła głęboko i z najwyższym wysiłkiem wzięła się w garść.

- Jakie palące pytanie?

- Kiedy wybierałem łóżko do sypialni, z całą pewnością myślałem o sobie.

Należało zapomnieć o gotowanej na parze soi i wykazaniu się kulinarnym mistrzostwem, jakim zamierzała go olśnić. Otworzyła lodówkę i sięgnęła po plastikowy pojemnik z resztkami wczorajszej sałatki kartoflanej. Wyjęła też resztki humusu i zielonej sałaty.

- Na twoim miejscu nie przejmowałabym się zbyt tym uderzeniem hormonów. - Zatrzasnęła drzwi lodówki i po stawiała jedzenie na blacie. - Byliśmy podnieceni naszą niebezpieczną eskapadą. Za dużo adrenaliny, jak sam mówiłeś.

Przyglądał jej się niepokojąco uważnie.

- Jeśli chcesz, możesz to przypisać adrenalinie. Ale cokolwiek to było, na pewno nie było udawane, prawda?

Myjąc ręce nad zlewem, udawała, że go nie słyszy. Miała doskonały powód, aby stać do niego tyłem.

- Leonoro?

- Co takiego? Nie wiem, czy zauważyłeś, ale usiłuję zrobić nam coś do jedzenia.

- Parę minut temu nie udawałaś, prawda?

- Och, na litość boską! - Złapała nóż i zaczęła energicznie kroić chleb, który kupiła w mieście poprzedniego dnia.

- Przyznaj. Chodzi o moje ego.

Obejrzała się przez ramię. W oczach miał błysk seksownego uśmiechu. Nie wyglądał na człowieka, który ma poważny problem. Naprawdę nie musi go zapewniać, że jej reakcja była autentyczna. To było oczywiste.

Z drugiej strony jego żona zostawiła go dla partnera od interesów. Takie rzeczy nie pozostawały bez śladu.

- Jestem kiepską aktorką i niczego nie potrafię udawać - stwierdziła sucho i wróciła do robienia kanapek.

- Ja też nie udawałem - powiedział cicho.

- Zauważyłam.

Kiedy zasiedli do kolacji przy stole obok okna, atmosfera w kuchni subtelnie się zmieniła. Powietrze nadal iskrzyło, ale było w tym coś jeszcze. Czują przytulne intymne ciepło. Dobrze jej było z Thomasem, siedzącym po drugiej stronie stołu.

Nagle pożałowała, że nie ugotowała mu czegoś pysznego.

Mgła podniosła się, kiedy zmywali. Thomas wyjął z szafy marynarkę. Wyszła za nim na dwór, drząc z zimna pod rozgwieżdżonym niebem. Przystanął i spojrzał na dom.

- Muszę tu zrobić wiele rzeczy. Wymienić okna i wyremontować łazienkę. Podłogi są w porządku. Solidny dąb. Trzeba je tylko wywiórkować i polakierować.

- Zamierzasz zostać tutaj, kiedy to wszystko się skończy?

- To zależy. Przyjechałem tu po śmierci Bethany, bo Deke miał kłopoty. Miałem zamiar zostać, dopóki nie wygrzebie się z depresji. Jednak nie jestem uwiązany do Wing Cove. Mogę pracować wszędzie. Wrench też nie jest wybredny. A ty? Jesteś przywiązana do tej pracy w Kalifornii?

- Już nie. Mogę wrócić, kiedy będę chciała, ale zobaczę, jaka będzie sytuacja. - Trudno jej było to wyjaśnić, lecz przyjazd do Wing Cove wydawał jej się punktem zwrotnym w życiu. Nie potrafiła wyobrazić sobie jeszcze kształtu zmian, wiedziała jednak, że jej życie się zmieni. - Jestem przywiązana jedynie do babci. Jeśli się przeprowadzę, ona pojedzie za mną.

- Jasne.

Thomas podszedł do niej i pocałował, nie dotykając rękami. Mogła się odsunąć, ale tego nie zrobiła.

- Wiedziałem, że nie chodziło wyłącznie o adrenalinę - - stwierdził z satysfakcją.

Zszedł po schodach, wszedł do samochodu i odjechał.

Leonora położyła się do łóżka i przez długi czas leżała w ciemności, rozmyślając o Thomasie. Sytuacja była już wystarczająco skomplikowana. Dodatkowe uwikłanie się w namiętny romans byłoby co najmniej nierozsądne.

Postanowiła skoncentrować się na problemie, który sprowadził ją do Wing Cove. Kiedy to nie przyniosło rezultatów, zaczęła rozmyślać o tym, co widzieli w domu Aleksa.

W końcu zapadła w niespokojny sen.

I od razu znalazła się w środku mrocznego koszmaru.

Szła długim ciemnym korytarzem, a na ścianach wisiały stare lustra. W którymś z nich ukryta była prawda. Musiała jedynie spojrzeć we właściwe lustro i znalazłaby odpowiedzi, po które tu przyjechała.

Przystanęła przed ozdobnym, rokokowym, angielskim zwierciadłem i zobaczyła w nim Meredith, która na nią patrzyła.

- Nie możesz jeszcze zasnąć - powiedziała bez słów Meredith. Odwróciła się i dostrzegła Aleksa Rhodessa, który obserwował ją z wnętrza krzykliwego lustra z beczki śmiechu. Uśmiechnąć się do niej seksownie, zapraszając do udziału w jakimś żarcie. Ale uśmiech był nie na miejscu. Na jej oczach rysy Aleksa wykrzywiły się i zniekształciły. W ciemności błyszczały tylko żółte oczy.

Odwróciła się i znów ruszyła niekończącym się korytarzem luster, szukając prawdy.

## ROZDZIAŁ 11

Siedzieli w pokoju oświetlonym jedynie światłem monitora i przyglądali plastikowym torebcom na biurku Deke'a. Wrench leżał na grzbiecie, z łapami uniesionymi w górę. Thomas jedną rękę położył na oparciu krzesła, drugą z roztargnieniem, drapał psa po brzuchu.

- Wciąż myślę o tym, że włamaliście się do domu Rhodesa. - Deke pokręcił głową ze zdumieniem, a może nawet z pewnym rozbawieniem. - Szkoda, że nie widziałem, jak uciekacie tylnym wyjściem, gdy on wchodził do domu frontowymi drzwiami.

- Nic ciekawego cię nie ominęło.

- Czarny aksamit i dziwne lustro, co? Pasują do tych jego niesamowitych żółtych oczu. Ciekawe...

- Nie wiem, jaką rolę odgrywa Rhodes, ale na pewno tkwi w tym wszystkim po uszy - stwierdził Thomas. - Podrywał Leonorę. Wspomnił o Meredith. Zapewne chciał się przekonać, jak zareaguje. Sądzę, że wie o półtora miliona dolarów.

- Dzięki Leonorze te pieniądze są już bezpieczne na koncie fundacji.

- Tak, ale Rhodes nie ma o tym pojęcia, prawda? Rozbawienie Deke'a znikło.

- Był tu, gdy zginęła Bethany.

- Wiem, nie widzę jednak żadnego związku. Poza plotkami o narkotykach.

Deke wziął do ręki plastikową torebkę i przyjrzał się uważnie niebiesko - zielonemu proszkowi.

- Jeśli to jest jakieś nielegalne paskudztwo, powinniśmy uważać. Nie chciałbym, aby Ed Stovall miał powód, by nas aresztować.

- Możesz dać to gdzieś do zbadania?

- Jasne, mam znajomego na wydziale chemii. Studenta czwartego roku. Zrobi to za określoną cenę.

- Musimy też sprawdzić Rhodesa.

- Tym zajmę się sam - oznajmił Deke. - I mam nadzieję, że pójdzie mi lepiej niż z poprzednimi poszukiwaniami.

- Nie znalazłeś niczego nowego na temat morderstwa Eubanksa?

- Nic więcej poza tym, co było w tych wycinkach. Sebastian Eubanks, powszechnie uważany za wariata, został zastrzelony przez włamywacza, którego zaskoczył pewnej nocy we własnym domu. Nikogo nie aresztowano. Koniec historii.

Thomas zacisnął rękę na oparciu krzesła.

- Leonora chciałyby się zabawić w szpiega. Zaproponowała, że zgłosi się do Rhodesa po poradę. Powiedziała, że w ten sposób bliżej go pozna i może się czegoś dowie.

Deke oglądał plastikowe torebki.

- Czemu nie.

- Ja się nie zgadzam. Me zrobi tego, o ile mam tu coś do powiedzenia.

- Problem w tym, że nie masz nic do powiedzenia - stwierdził Deke. Thomas spojrzął na brata.

Deke uniósł rękę.

- Pamiętasz, co ci powiedziała ta terapeutka, z którą się przez jakiś czas spotykałeś? Masz problemy z kontrolą.

- Tu nie chodzi o kontrolę, ale o zdrowy rozsądek. - Thomas wstał z krzesła i podszedł do najbliższego okna. Jednym ruchem rozsunał zasłony. - Nie chcę, żeby nawet przez pięć minut była sama z tym łajdakiem. Czuję, że Rhodes coś knuje. Może być niebezpieczny.

Zapadła cisza. Trwała jedynie kilka sekund, ale Thomas zdał sobie sprawę, jak bardzo się odsłonił.

- Rozumiem. Z facetem ze sztucznymi żółtymi oczami należy być bardzo ostrożnym.

Uważa, że jestem zazdrosny, pomyślał Thomas, zaciskając dłoń na zasłonie. Cholera, chyba ma rację.

Poprzedniego wieczoru, po tym, jak ją zostawił, potrafił myśleć jedynie o tym, że wcale nie chciał od niej wychodzić. Kiedy wrócił do domu, spędził kilka godzin w warsztacie, borując dziury w deskach, z których zamierzał zrobić półki. Próba oderwania myśli od namiętnego pocałunku w kuchni okazała się nieskuteczna.

Dziś rano zabrał psa do lasu na skarpie, gdzie Wrench mógł się wybiegać bez smyczy, Przez ponad godzinę włoczyli się po mokrym lesie, a Thomas usiłował dojść ze sobą do ładu.

Pożądał Leonory bardziej niż kogokolwiek w życiu. Kiedy przyjął ten fakt do wiadomości, zaczął snuć plany. No, dobrze, ma problemy z kontrolowaniem sytuacji, i co z tego? Usilnie pracował nad tym, aby mieć kontrolę nad swoim życiem. Ćwiczył się w tym od czasów, gdy jako dzieci siedzieli z Dekiem w pokoju, słuchając kłócących się rodziców i bojąc się pójść spać, aby się na drugi dzień nie okazało, że ojciec ich

opuścił.

Osiągnął tak dużo, że kiedy w nieoczekiwanych sytuacjach nie potrafił kontrolować tego, co się działo, kontrolował przynajmniej swoje emocje.

Na przykład rozwód. Bardziej irytowała go utrata dobrego partnera biznesowego niż koniec małżeństwa. Co prawdopodobnie niezbyt dobrze świadczyło o małżeństwie, ale to już inna sprawa.

Głównie jednak chodziło o to, że przy Leonorze po raz pierwszy czuł się zdenerwowany i niespokojny. I nie całkiem panował nad sytuacją. Musi coś z tym zrobić.

Przed przyjściem do brata przeszukał szufladę w szafce koło łóżka, wyciągając z niej po kolei: latarkę, pilota telewizyjnego, jakieś kable, kilka pism finansowych, pudełko chusteczek, trzy długopisy i notes. W końcu dotarł do pudełka z prezerwatywami, które tkwiło gdzieś z tyłu.

Wyjął dwa pakieciki, schował je do portfela i starannie odłożył pudełko do szuflady. Tuż z brzegu, by mógł je szybko, po ciemku, odnaleźć.

Udało mu się zrobić coś w miarę konkretnego. Człowiek musi myśleć pozytywnie.

Wyciągając ze starego katalogu szufladkę z literą „C”, usłyszała stłumiony pisk za wykładaną drewnem ścianą, i szepty, Julie Bromley i jej chłopak, Travis, znów znikali na przerwę śniadaniową, idąc ukrytymi kuchennymi schodami na drugie piętro.

Odczekała kilka minut, aż dojdą tam, dokąd zamierzają, nasłuchując skrzypienia schodów. Kiedy znów zapadła cisza, zamknęła szufladę, wyszła z biura i wyjrzała przez drzwi biblioteki, żeby sprawdzić, czy na długim ponurym korytarzu nikogo nie ma.

W mrocznym świetle stare lustra lśniły złym blaskiem. Z parteru nie dobiegał żaden dźwięk.

Zadowolona, że wszyscy wyszli na lunch, podeszła do wąskich drzwi w drewnianej boazerii i pchnęła je stanowczym ruchem. Ostrożnie przeszła na drugą stronę i pozwoliła, aby drzwi się za nią zamknęły.

Z góry słyszała głosy Julie i Travisa. Gdzieś nad jej głową otworzyły się i zamknęły jakieś drzwi.

Wyjęła z kieszeni małą latarkę, którą zabrała z domu. Ciemność rozdarł wąski strumień światła. Zobaczyła kręcone schody, które prowadziły na górę i znikwały w



mroku. Na grubej warstwie kurzu widać było wyraźne ślady butów Julie i Trávisa. Sądząc po licznych smugach, dziewczyna i chłopak regularnie wchodzili na zakazane piętro.

Ostrożnie ruszyła na górę. Stopnie były tak wąskie, że ledwo mieściło się na nich pół stopy. Jakim cudem wchodziły po tych schodach służące, obładowane ciężkimi srebrnymi tacami zjedzeniem i tobołkami bielizny? Aż dziw, że nie spadały i nie łamały sobie karków.

W połowie drogi jeden ze schodków jęknął głośno pod jej ciężarem. Taki dźwięk słyszała w bibliotece, gdy Julie i Travis wchodzili na górę.

Na górze zobaczyła drugą parę wąskich drzwi wbudowanych w boazerię.

Zgasila latarkę i po cichu nacisnęła na drzwi, które otworzyły się z piskiem zawiasów. Kiedy przez nie przeszła, znalazła się w ciasnym nieoświetlonym korytarzyku, znacznie węższym niż ten piętro niżej. W dawnych czasach na pewno mieszkała tu służba i mniej ważni goście. Jedyne światło wpadało przez małe boczne okienka.

Nie było tu dywanów. Drewnianej podłogi od dawna nie zamiatano ani nie pastowano i bez trudu mogła podążyć śladami młodych kochanków.

Szła powoli korytarzem. Na ścianach, tak jak wszędzie w domu, wisiały rzędy starych luster. Jednak w przeciwieństwie do tych dobrze utrzymanych z dwóch dolnych pięter, te były pokryte grubą warstwą brudu.

Metalowe ramy były spatynowane, drewniane - miejscami popękane, z utraconymi rogami. Połączane wykończenia orłów i ślimacznic były złuszczone i spękane.

Na większości szklanych powierzchni widniały cienkie rysy. Na innych brakowało całych kawałków, pozostały jedynie resztki szkła w ramach. Warstwa kurzu była tak gruba, że nie widziała swojego odbicia.

Puste miejsca wskazywały na to, że zabrano stąd kiedyś kilka luster. Przypuszczalnie najcenniejsze i najciekawsze przeniesiono na dół, do głównej kolekcji. Te, które zostały, znalazły się jakby w magazynie. Ciekawe, czy lustro u Aleksa zostało skradzione z tego piętra, pomyślała.

Oprócz luster trzymano tu także stare ciężkie wiktoriańskie meble. Po obu stronach korytarza stały długie drewniane stoły. Na końcu zobaczyła wysoką szafę.

W połowie korytarza ślady urywały się przed drzwiami, zza których dobiegały stłumione jęki. Najwyraźniej odkryła tajemniczą kryjówkę Julie i Trávisa.

- Och, tak, och, tak, och, tak. Och, jak dobrze.

Głos Trvisa przeszedł w ochrypy jęk męskiego zaspokożenia.

Leonora zaczerwieniła się. Czowała się bardzo nieswojo, podsłuchując. Wprawdzie nie podglądała, ale nie było to przyjemne uczucie.

Zażenowana ruszyła dalej.

Postanowiła wykorzystać okazję i szybko rozejrzeć się na górze.

Nagle usłyszała za sobą dźwięk otwieranych drzwi. Wpadła w panikę i szybko schowała się za najbliższym dużym meblem, wstrzymując oddech.

- Twój suwak - wysapała Julie. - Zwariowałaś? Zapnij się. Jeśli pani Brinks cię tak zobaczy, na pewno mnie wyrzuci. A dobrze wiemy, że nie mogę stracić tej pracy.

- Spoko. Proszę. Wszystko w porządku. Zadowolona?

- Ja mówiłam poważnie - stwierdziła ostro Julie. - Jeżeli przez ciebie stracę pracę, oboje tego pożałujemy.

- Nie panikuj, nic się nie stanie. Gotowa?

- Tak. Szybko.

Leonora usłyszała pisk drzwi prowadzących na klatkę schodową.

- O co chodzi? Brinks pojechała na lunch do miasta - przypomniał Travis. - Wróci najwcześniej za godzinę.

- Muszę dziś coś zrobić, jeśli trafi mi się okazja.

- Co?

Drzwi zamknęły się, tłumiąc odpowiedź Julie.

Zapadła cisza.

Leonora odczekała kilka sekund i wyszła z bezpiecznego cienia, po czym wróciła tą samą drogą i weszła na schody.

Schodzenie było jeszcze bardziej niebezpieczne niż drapanie się w górę. Poruszała się powoli i ostrożnie, oświetlając latarką każdy stopień.

W połowie drogi ujrzała cienki pasek światła, który oznaczał pierwsze piętro.

Miała zamiar zejść niżej, kiedy kątem oka dostrzegła na ścianie z lewej strony jakby mniej gęste cienie. Ta ściana oddzielała biuro w bibliotece od klatki schodowej.

To dlatego tak wyraźnie słyszała kroki i głosy Julie i Trvisa. Tu były kiedyś jeszcze jedne drzwi do biblioteki.

Szła ostrożnie, nie tylko ze względów bezpieczeństwa. Nie chciała, aby ktoś przechodzący korytarzem usłyszał jakiś hałas i postanowił zbadać, skąd dochodzi. Trudno byłoby jej się wytłumaczyć.

Na dole przystanęła i wycelowała światło latarki w drugie drzwi. Jednocześnie wyobraziła sobie wnętrze swojego małego biura. Katalog stał dokładnie z drugiej strony ściany. Widocznie ktoś kiedyś doszedł do wniosku, że schody dla służby nie są już potrzebne i dlatego można je było zastawić ciężkim katalogiem.

Miała właśnie zgasić latarkę i wyjść na korytarz, gdy zobaczyła błysk złota. Przeszedł ją zimny dreszcz. Latarką oświetliła szparę u dołu drzwi, które kiedyś prowadziły do biblioteki.

Pod drzwiami zobaczyła mniej więcej centymetr złotej końcówki bransoletki lub naszyjnika. W cieniu prawie niewidocznej. Gdyby nie zauważyła drugich drzwi i nie nakierowała na nie światła latarki, nigdy by jej nie znalazła.

Jak można było zgubić biżuterię w takim dziwnym miejscu? Może kiedyś ktoś położył ją na katalogu, a potem spadła i wylądowała na podłodze za szafą?

Ale jak, w takim razie, końcówka znalazła się pod starymi drzwiami dla służby?

Ciekawość połączona z niewytłumaczalnym przeczuciem czegoś złego przyciągnęła ją do złotej ozdoby. Przystanęła przed drzwiami, zastanawiając się, jak je otworzyć.

Zdrętwiała na dźwięk hałasów po drugiej stronie. Ktoś był w środku.

Słyszała dźwięk otwieranych i zamykanych szuflad biurka. Ktoś, ktokolwiek to był, działał prędko, jakby się bał, że zostanie przyłapany.

Chwilę później hałas ustał. Ciche echo oddalających się między regałami kroków świadczyło, że intruz sobie poszedł.

Zaczekała, aż usłyszysz}' kroki w korytarzu, a potem ostrożnie otworzyła drzwi. Wyrzała na korytarz i zdążyła jeszcze dostrzec Julie Bromley znikającą za zakrętem.

Po chwili namysłu wróciła do drugich drzwi. Przez to, że po drugiej stronie stał ciężki katalog, nie mogła ich popchnąć do środka. Musiała pociągnąć je do siebie.

Zamierzała pójść do biblioteki, żeby poszukać czegoś w rodzaju linijki, czym mogłaby otworzyć drzwi, gdy dostrzegła w boazerii niewielką szczelinę. W sam raz, aby zmieścić w niej palce.

Pociągnęła lekko. Drzwi jęknęły niechętnie na zardzewiałych zawiasach. W końcu udało się je otworzyć.

Przed oczami miała solidny drewniany tył katalogu. Kiedy oświetliła podłogę, zobaczyła bransoletkę. Drżącymi rękami sięgnęła po złoty łańcuszek. Nie musiała sprawdzać wygrawerowanego imienia na małej blaszce. Rozpoznała bransoletkę natychmiast.

Zacisnęła łańcuszek w dłoni i zamknęła drzwi. Przez drugie drzwi wyszła z ciemnej klatki schodowej na korytarz.

Po chwili była w biurze przy bibliotece. Rozejrzała się uważnie dookoła. Na biurku kilka rzeczy leżało w innym miejscu, niż je zostawiła. Nic wielkiego. Przypuszczalnie, gdyby nie szukała śladów, nie zwróciłaby uwagi na inne ułożenie długopisu i bloku.

Wyciągnęła dolną szufladę i wyjęła torbę. Kiedy ją otworzyła i zajrzała do środka, od razu zorientowała się, że ktoś w niej grzebał.

Wyjęła portfel i szybko przeliczyła pieniądze. Niczego nie brakowało. Wszystkie karty też były na swoim miejscu.

Jeśli jednak Julie Bromley nie chciała ukraść jej pieniędzy, to czego szukała w biurze?

Niepokój wygonił go z warsztatu późnym popołudniem. Wrench spojrzął na niego znad pustej miski.

- Chcesz się przejechać? - spytał Thomas.

Wrench potruchtał do drzwi. Wychodząc, Thomas wziął klucze, kurtkę i lornetkę.

Pies wskoczył na siedzenie pasażera. Thomas przekręcił kluczyk.

Pojechał do porzuconej chałupy niedaleko domu Aleksa Rhodesa i zaparkował auto za chałupą.

Przeszli z Wrenchem między mokrymi drzewami do miejsca, które Thomas odkrył poprzedniego dnia z Leonorą.

Wrench zabawiał się badaniem różnorodnych zapachów, a Thomas usadowił się z lornetką za drzewem. Nie był pewien, co zamierza odkryć, ale chciał po prostu wyrwać się z domu. Szpiegowanie Rhodesa było całkiem niezłym sposobem spędzania czasu.

Minęła godzina i właśnie miał zamiar wrócić z psem do samochodu, gdy przed dom Rhodesa zajechał mały zniszczony ford.

Wysiadła z niego młoda kobieta w dżinsach i czerwonej skórzanej kurtce. Długie włosy miała związane w koński ogon.

- Nietypowa klientka - powiedział Thomas do psa. - Sądząc po tym starym gracie, którym jeździ, chyba nie stać jej na lekarstwo antystresowe. Co więc tutaj robi?

Usłyszał jej samochód na podjeździe, kiedy po raz kolejny zamierzał wyjrzeć przez okno, aby sprawdzić, czy w domu po drugiej stronie zatoki nie zapaliło się

światło.

Fakt, iż przyjechała do niego z własnej woli sprawił mu dużą przyjemność. Niespokojne uczucie, jakie towarzyszyło mu przez cały dzień, znikło pod wpływem radosnego oczekiwania.

- W porządku. Dobrze. To znakomicie, piesku. To bardzo dobry znak. Wrench szedł już w stronę sterty swoich zabawek.

Thomas otworzył drzwi. Leonora podeszła do niego z wyrazem napięcia na twarzy i nie wyglądała na kobietę, która miałaby ochotę na dziki seks.

- Co się stało?

- To dziś znalazłam, - Leonora, przechodząc obok niego, położyła mu na dłoni złotą bransoletkę. - To własność Meredith.

Wrench podszedł do niej, niosąc w pysku mocno przeżutą, skórzaną kość. Usiadł i położył kość u jej stóp.

Leonora podniosła ją i poklepała psa po łbie.

- Dziękuję, piesku. To cudne.

Wrench był usatysfakcjonowany jej reakcją.

Leonora podała zakiet Thomasowi, weszła do dużego pokoju i stanęła przy oknie, obejmując się ramionami.

Thomas obejrzał bransoletkę. Na małej złotej plakietce wygrawerowane było imię Meredith.

- Podarowałam jej tę bransoletkę, kiedy skończyła studia z bardzo dobrym wynikiem. - Uśmiechnęła się ironicznie. - Zanim się dowiedziałam, że włamała się do komputerowej bazy danych uniwersytetu i poprawiła sobie stopnie.

Uważnie przyglądał się złotym ogniwom.

- Gdzie to znalazłaś?

- Za katalogiem w biurze bibliotecznym. Tam są drzwi, które wychodzą na klatkę schodową dla służby. Wiesz, odkąd podarowałam Meredith tę bransoletkę, zawsze ją nosiła. Nawet tego dnia, kiedy znalazłam ją w łóżku z moim narzeczonym.

Na dźwięk ponuro zrezygnowanego głosu Leonory Thomas szybko podniósł głowę. Nie widział jej twarzy, gdyż Leonora nadal wpatrywała się w wody zatoki.

Blask płomieni z kominka rzucał poświatę na jej zielony sweter z golfem, podkreślający elegancko wyrzeźbione ramiona i małe wysokie piersi. Miała też na sobie zielone spodnie o ton ciemniejsze od swetra. Włosy, jak zwykle, spięła w gładki węzeł na karku.

Z trudem zmusił się do odwrócenia wzroku i ponownego spojrzenia na bransoletkę.

- Pamiętam, że widziałem ją na jej ręku - powiedział bezmyślnie. Leonora spojrzała na niego przez ramię. Lodowata irytacja w jej oczach sprawiła, że mocniej zacisnęła palce na łańcuszku.

- Co mam robić? - zapytał. - Udawać, że nie miałem z nią romansu?

- Nie, skądże. - Odwróciła się z powrotem do okna. - Co by to dało? Przecież znam prawdę. I tak za dużo tu kłamstw i półprawd.

Trzema krokami przemierzył pokój i stanął tuż za nią. Na tyle blisko, że czuł jej zapach. Nie dotknął jej.

- To o to chodzi, prawda? Chcesz mnie tak samo, jak ja ciebie, ale nie możesz pogodzić się z faktem, że miałem przelotny romans z Meredith.

- Trzymajmy się problemu, z którym tu przyszłam, dobrze?

- Nie, do cholery, niedobrze! Najpierw musimy ustalić jedną rzecz. Być może się mylę, ale mam wrażenie, że traktujesz mnie jak jednego z głupawych absztyfikantów Meredith.

- Nieprawda.

- Prawda i wcale nie jestem zachwycony twoją kiepską opinią na temat mojej inteligencji, dojrzałości i samokontroli.

- Nigdy nie mówiłam, że nie jesteś inteligentny, niedojrzały czy nieopanowany.

- Nie musiałaś nic mówić. Okazujesz to na tysiąc sposobów. Zapamiętaj sobie, że nie jestem napalonym dziewiętnastolatkiem, którym rządzą hormony.

- Nie ma potrzeby się tak wściekać.

- Za późno. Już się rozzłościłem. Wiesz co? Naprawdę złości mnie to, że twoim zdaniem nie potrafiłem oprzeć się Meredith. Uważasz, że była jakąś femme fatale? Syreną której nie mogli się oprzeć słabi mężczyźni, jak twój były narzeczony i ja?

- Nigdy nie twierdziłam, że jesteś słaby.

- I nie jestem też twoim byłym narzeczonym.

- Wiem. - Gwałtownie odsunęła się o krok i odwróciła do niego przodem. - Jesteś zupełnie inny od Kyle'a.

- Przynajmniej za to jestem ci wdzięczny. - Przybliżył się do niej. - Skoro rozmawiamy na ten temat, chciałbym wyjaśnić kilka spraw. Z Meredith łączył mnie bardzo krótki romans. Chcesz wiedzieć, kto go zakończył?

Leonora zrobiła kolejny krok w tył i oparła się o parapet okienny.

- Jestem przekonana, że Meredith. Ona zawsze wszystko kończyła. I nie musimy wchodzić w szczegóły.

- Pech, bo ja już jestem przy szczegółach. - Położył rękę na parapecie i pochylił się, żeby dobitniej przedstawić swój punkt widzenia, - To ja zakończyłem nasz romans, jeśli chcesz to tak nazwać. Wiesz dlaczego? Zamrugła kilka razy i odchrząknęła.

- Jestem pewna, że miałeś swoje powody.

- Jak najbardziej. Zerwałem z Meredith, ponieważ mnie znudziła. Dlatego.

- Znudziła? Ona?

- Tak, znudziła. Taka przejrzała rutyna seksownej dziewczynki szybko się nudzi. Przynajmniej mnie. Wiedziałem, że pora skończyć, kiedy zdałem sobie sprawę, że wolałem kłaść kafelki w łazience, niż zjeść z nią kolejny obiad. Masz pojęcie, jak trudno jest rozmawiać z kobietą, która stale sprawdza, czy na nią reagujesz?

- Kładzenie kafelków, co? - Wydeła wargi. - Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś aż tak nudził się z Meredith.

- To teraz słyszysz.

Zdjął rękę z parapetu, wyprostował się i odwrócił. Zorientował się, że nadal trzyma w dłoni złotą bransoletkę. Rzucił ją w stronę Leonory, która chwyciła ją szybkim ruchem.

- Nie wiem, dlaczego się przed tobą tłumaczę - mruknął. - To strata czasu.

Spojrzała na bransoletkę.

- Tego bym nie powiedziała.

- A ja tak. - Podeszedł do lady, oparł się i założył ręce, starając się powściągnąć gniew. - Masz rację. Powinniśmy omówić ważniejsze sprawy.

- Jeszcze jedno, nim zmienimy temat. - Tak? Co takiego?

- Nigdy nie myślałam o tobie jako o przypadkowym podboju Meredith.

- Akurat.

- Naprawdę. Od pierwszej chwili wiedziałam, że nie jesteś w jej typie. - Zacisnęła palce na bransoletce. - Nie mogłam sobie wyobrazić, dlaczego się w ogóle tobą zainteresowała. Później, kiedy powiedziałeś o pieniądzach, zakładałam, że chciała cię poderwać, ponieważ mógłbyś się okazać pożyteczny. Tylko to miałoby jakiś sens.

- Jeśli w ten niezbyt subtelny sposób chcesz mi powiedzieć, że nie jestem tak seksowny ani interesujący, jak jej zwykle podboje, to natychmiast przestań. Pozwól mi

zachować resztki męskiej dumy.

Roześmiała się nagle, a on patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Wyglądał pewnie jak jeleni złapany w światła samochodu.

- Nie mam zamiaru żartować z twojego ego. Skoro już rozmawiamy na te tematy, to ja też chciałabym coś wyjaśnić. Powiedziałam, że nie byłeś w typie Meredith, ponieważ zazwyczaj nie marnowała czasu na facetów, którzy mogliby się okazać trudni.

- Uważasz mnie za trudnego?

- Chcesz prawdy? Tak. Co więcej, Meredith od razu by to wyczuła.

- Tak sądzisz?

- Meredith nie podrywała mężczyzn dla sportu. Nawet nie lubiła seksu. Kiedyś mi powiedziała, że w najlepszym razie to forma ćwiczeń. Jak bieganie.

Zawahał się, przypominając sobie jak to było z Meredith w łóżku. Tak sobie.

- Sam się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że to musiała być moja wina - stwierdził w końcu.

- Nie.

- Czyżby wolała kobiety?

- Nie. W ogóle nie lubiła seksu. Opowiadałam ci o tych wszystkich facetach, którzy się przewinęli przez życie jej matki.

- Tak.

- Jeden z nich molestował Meredith, kiedy miała dziesięć lat.

- Cholera.

- Nigdy się do końca z tego nie wyzwoliła. Wiedziała, oczywiście, że była atrakcyjna i korzystała z tego, ale nigdy nie cieszyła się seksem.

- To wyjaśnia parę rzeczy.

W pokoju zapadła cisza, przerywana tylko trzaskaniem drewna na kominku.

- Naprawdę uważasz, że jestem trudny? - spytał wreszcie.

- Uhm. Interesujący, choć z pewnością trudny.

Usiadła na wygiętym miękkim boku kanapy, machając nogą. Odłożyła bransoletkę na stolik i uważnie przyglądała się Thomasowi.

Przeczesał ręką włosy.

- Nie tylko mnie można oskarżać o trudny charakter. Kuj ego zdumieniu, uśmiechnęła się szeroko.

- Uznaję to za komplement. Wolę być trudna niż łatwa.



- Nie ma w tobie nic łatwego, Leonoro Hutton.

- W tobie też nie, Thomasie Walkerze. I co z tym zrobimy? Podszedł do niej i delikatnie postawił ją na nogi. Nie próbowała się opierać.

- Mówią, że dwie wartości negatywne tworzą pozytywną całość. - Położył dłonie na jej ramionach. - Może dwoje trudnych ludzi z łatwością nawiąże romans.

Objęła go za szyję.

- Wątpię, czy to będzie łatwe, ale na pewno interesujące.

- O, tak.

Dotknął wargami jej ust.

## ROZDZIAŁ 12

Jej reakcja była natychmiastowa i intensywna, taka sama, jak poprzedniego wieczoru, gdy pocałował ją w kuchni. Jęknęła cicho i mocniej złapała go za szyję. Powietrze wokół nich było jak naelektryzowane.

Thomas poczuł, że krew zaczyna szybciej krążyć mu w żyłach. Początkowo chciał zanieść ją do sypialni, ale to byłaby tylko strata czasu. Razem upadli na kanapę.

Leonora leżała na górze, opierając się rękami o jego pierś. Jedną dłoń wsunął jej we włosy, wyciągając spinki, które podtrzymywały węzeł. Kurtyna ciemnego jedwabiu dotknęła jego twarzy. Wziął jej głowę w obie dłonie i pocałował głęboko.

Z tyłu domu dobiegł głuchy odgłos. Na tyle głośny, aby czar prysnął. Leonora zadrżała.

- Co to było? - szepnęła.

- Wrench - mruknął, przyciągając ją do siebie. - Drzwi dla psa. Wrench w obliczu tej manifestacji ludzkiego pożądania postanowił dyskretnie się ulotnić. Thomas nie miał mu tego za złe. Gdyby nie był osobiście zaangażowany w ten wybuch namiętności, też wolałby się przewietrzyć.

Ale był zaangażowany. Bez reszty.

Kiedy przesunął rękami pod swetrem po nagim ciele Leonory, poczuł dreszcz, przechodzący ją od stóp do głów.

Przez jedną, długą minutę mocował się z zapięciem jej spodni, nim wreszcie mógł dotknąć ciepłej skóry. Pogłaskał okrągłe pośladki, przesunął palce niżej i poczuł wilgoć.

Czuł, że dłużej nie wytrzyma.

Poruszyła się i uniosła. Zorientował się, że usiłuje rozpiąć mu pasek od spodni.

- Nie - powiedział. - Jeszcze nie.

- Chcę cię tylko dotknąć.

- Jak mnie dotkniesz, eksploduję. Uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę.

- Super.

Znów zajęła się paskiem.

Odciągnął jej rękę od tego wrażliwego miejsca, uniósł kolano i przycisnął je mocno do jej biodra, by móc rozkoszować się jej słodkim dotykiem. Poruszyła się

gwałtownie, gdy znów pogłaskał jej pośladki.

- Thomas.

Przekręciła się, a on przesunął się bliżej. Ten nagły ruch spowodował, że wylądowali na podłodze, o mało nie uderzając w stolik. Thomas ramieniem starał się złagodzić upadek.

Wydała z siebie ochryply jęk, oplotła go mocno nogami, chowając twarz na jego piersi.

Udało mu się ściągnąć jej przez głowę sweter. Odrzucił go na bok i zajął się koronkowym kremowym stanikiem. Zwykle dawał sobie radę z różnymi urządzeniami, ale tym razem odpięcie stanika i obnażenie piersi zajęło mu całe wieki. Tak mu się przynajmniej zdawało.

To były najpiękniejsze piersi, jakie widział w życiu. O ładnym kształcie, z nabrzmiałymi brodawkami. Pochylił głowę i delikatnie wziął w usta brodawkę, pozwalając, aby Leonora poczuła dotyk jego zębów.

Wyprężyła się i gwałtownie wciągnęła powietrze. Sięgnęła w dół, szukając zamka jego spodni. Złapał ją za palce i odciągnął od niebezpiecznej strefy.

- Mówiłem ci, że jak to zrobisz, to ze mną koniec. Chcę, aby to trochę potrwało.

Spojrzała na niego z bezgranicznym pożądaniem.

- Może ty umiesz czekać. Janie.

- Kto mówi o czekaniu?

- Co? - spytała nieprzytomnie.

- Nie ma nic lepszego od drobnych innowacji. Zdjął jej spodnie.

- Thomas - jęknęła. Zacisnęła dłonie na jego włosach.

Rozsunął ją delikatnie palcami i całował w najbardziej wrażliwe miejsce, rozkoszując się zapachem i smakiem. Kiedy znów gwałtownie wciągnęła powietrze, wsunął w nią palec, poruszając nim powoli, szukając magicznego punktu.

Wiedział, kiedy go znalazł.

Krzyknęła cicho, gdy przepłynął przez nią orgazm.

Drżała jeszcze przez dłuższą chwilę po spełnieniu.

Podniósł głowę, nagle zaniepokojony. Leonora leżała z twarzą ukrytą w aksamitnej poduszce, drżała.

Niepokój przerodził się w trwogę.

- Leonoro?

Mocniej wcisnęła twarz w poduszkę.

- Leonoro? Nic ci nie jest? - Uniósł się trochę i złapał ją za drżące ramię. - Czy ty płaczesz? Co się stało? Co ja zrobiłem?

- Ja... nie płaczę.

Ledwo słyszał słowa i szarpnięciem oderwał poduszkę od jej twarzy. Śmiała się. Oczy jej błyszczały zachwytem.

- Nigdy nie miałam... Myślałam, że w sprawach seksu jestem podobna do Meredith - szepnęła. - I właśnie się dowiedziałam, że tak nie jest.

Znacznie, znacznie później przeciągnęła się i oparła głowę na jego nagiej piersi. Wyglądała na bardzo z siebie zadowolona.

- Mogę cię nominować na Złotą Rączkę Roku - zaproponowała.

- Dziękuję. Czy chcesz, żebym ci pokazał, co jeszcze potrafię robić moimi narzędziami?

- O, tak. - Położyła dłoń na jego wyprężonym członku. - Bardzo chętnie zabawię się twoimi narzędziami.

Kiedy w nią wszedł, potwierdził swoje początkowe przypuszczenia. Wszystko doskonale pasowało.

Jakby była dla niego stworzona.

Słyszała deszcz uderzający o dach. Otworzyła oczy i zobaczyła tuż przed sobą wzór dywanu. Thomasa już przy niej nie było, ale nie zmarzła, mimo że była naga. Thomas przykrył ją kocem.

I dołożył dREW do kominka. Ogień palił się jasno, rzucając na dywan i kanapę złoty blask. Usłyszała, że Thomas zamyka kuchenną szafkę i otwiera lodówkę. Chwilę później zadźwięczały sztuce.

- Nie śpisz? - zawołał znad lady, która rozdzielala dwa pomieszczenia.

- Nie.

- Głodna?

- Tak.

- Masz szczęście. Mogę cię nakarmić.

- Nie jestem pewna, czy mogę się ruszać.

- Mnie się udało. Ty też dasz radę.

Usiadła ostrożnie, owinięta w koc, i oszacowała stan swego ciała.

Niektóre części były lekko obolałe, inne - trochę sztywne. Ale czego można się spodziewać, jeśli człowiek kocha się na podłodze, pomyślała. Nigdy wcześniej tego nie robiła.

Poprawka. Nie kochali się na podłodze. Uprawiali seks na podłodze. Najważniejsza jest właściwa terminologia, upominała samą siebie. Ale nie miała ochoty zajmować się w tej chwili semantyką. Było jej dobrze. Spokojnie. I czuła się usatysfakcjonowaną ponad wszelkie marzenia.

Zorientowała się, że Thomas obserwuje ją z nieukrywanym rozbawieniem. Miał na sobie spodnie i rozpiętą koszulę.

- Pomóc ci?

- Wydaje mi się, że sama dam sobie radę. - Poprawiła koc i wstała. - Widzisz? - powiedziała z uśmiechem.

- Gratuluję.

- Dziękuję. Gdzie jest łazienka?

Oparł się łokciami o ladę i wskazał gestem głowy korytarz za jej plecami.

- Tam.

- Mogę wziąć prysznic?

- Jak najbardziej.

Otworzyła pierwsze drzwi z przedpokoju, wymacała ręką przycisk i zapaliła światło. Ściany łazienki były pokryte od podłogi do sufitu niebiesko - białymi kafelkami ułożonymi w wymyślny wzór.

Odkręciła wodę i pozwoliła jej lecieć, aż niewielkie wnętrze wypełniło się parą. Kiedy była pewna, że woda jest dość gorąca, rzuciła koc, odsunęła zasłonkę i weszła pod prysznic.

Przez cały czas myślała o tym, co się niedawno wydarzyło.

Dobry seks. Należało pamiętać o właściwej klasyfikacji wydarzeń. Thomas nie krył się przed nią ze swymi poglądami na temat małżeństwa i dzieci.

Wspaniały seks.

Nagle zrozumiała, co czuła Alicja, kiedy znalazła się po drugiej stronie lustra. Świat teraz, po namiętnych chwilach spędzonych w ramionach Thomasa Walkera, był zupełnie inny.

Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, dopóki odgłos otwieranych i zamykanych drzwi łazienki nie wyrwał jej z zamyślenia.

Thomas odsunął zasłonę. Otaczały go kłęby pary. Obrzucił ją leniwym spojrzeniem od stóp do głów.

- Wszystko w porządku? Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Oczywiście. Dlaczego?

- Tylko się pytam. Jesteś tu już dość długo.

- Przepraszam. - Pospiesznie zakręciła wodę.

- Przyniosłem ci szlafrok. Prawdopodobnie ciut za duży, ale czysty. Deke podarował mi go pewnego roku na gwiazdkę. Nigdy go nie nosilem.

- Dziękuję.

Podał jej ręcznik kąpielowy. Szukała w myślach jakiegoś dowcipnego i eleganckiego komentarza, jaki wypowiedziałaby współczesna światowa kobieta, kąpiąca się w łazience faceta, z którym niedawno uprawiała seks.

- Ładne kafelki - mruknęła.

- Dziękuję. - Obrzucił ścianę za jej plecami krótkim krytycznym spojrzeniem. -

Tak, wyszło całkiem nieźle. Na pewno dobrze się czujesz?

- Pysznie.

Pokiwał głową z powątpiewaniem.

- Zobaczę, jak tam kolacja.

Zaczekała, aż wyszedł, a potem odwróciła się, żeby przejrzeć się w lustrze, z nadzieją, iż nie jest cała czerwona i nie ma potarganych włosów.

Piętnaście minut później, czując się prawie normalnie, Leonora włożyła gruby duży szlafrok i odważyła się wyjść z łazienki.

Znieruchomiała w wejściu do dużego pokoju na dźwięk niskich męskich głosów.

- Dlaczego, do cholery, to leżało za starym katalogiem? - spytał Deke.

Siedział na jednym z barowych stołków, tyłem do niej. Przed nim stała butelka piwa. Jedną ręką sięgał do torebki z krakersami. Wrench siedział na podłodze obok stołka, obserwując drogę krakersów, wyraźnie gotowy do interwencji, gdyby któryś spadł na dół.

- Skąd mam wiedzieć - mruknął Thomas.

Opierał się o ladę od strony kuchni. Przed sobą też miał butelkę piwa. Był zrelaksowany i spokojny. Poczula ciepły dreszcz.

Opanowała się jednak i weszła do pokoju.

- Musimy założyć, że Meredith prowadziła jakieś poszukiwania, kiedy pracowała w Domu Luster - powiedziała zdecydowanie. - Sama to robiłam, gdy znalazłam bransoletkę.

Thomas spojrzał na nią z porozumiewawczym uśmiechem.

- Oto zjawia się nasza bohaterka. Nareszcie.

Deke odwrócił się i zobaczył Leonorę. Trudno było powiedzieć, co sobie pomyślał, ale chyba wiedziała. Musiałby być bardzo głupi, żeby się nie domyśleć, co tu zaszło. A Deke głupi nie był.

- Dobry wieczór - powiedział uprzejmie. - Przepraszam, że tak tu wparowałem, ale przyszedłem porozmawiać z Thomasem o paru sprawach, które znalazłem dziś w sieci. Nie wiedziałem, że pani tu jest.

Rzuciła okiem w stronę kominka i zobaczyła, że jej ubranie leżało porządnie złożone na krześle. Stanika i majtek w ogóle nie było widać. Jednak sytuacja nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Leonora rozebrała się w jakimś celu do naga, a nie było znów tak wielu logicznych powodów, dla których kobieta rozebrałaby się do naga w domu mężczyzny.

Stało się. Mogła jedynie zachować się z godnością i opanowaniem. Jakby robiła to codziennie.

Udało jej się uśmiechnąć.

- Witaj. Deke. I mów mi po imieniu, dobrze? Właśnie mieliśmy się do kolacji.

- Wiem, Thomas zaproponował, żebym został. Ale nie chcę przeszkadzać.

- Nonsens. - Podeszła bliżej, zdając sobie sprawę, że ciągnie za sobą po podłodze poły za dużego szlafroka, i przycupnęła na stołku obok niego. - Zostań. Mamy kilka spraw do omówienia.

Wrench spojrzał na nią tęsknym wzrokiem. Sięgnęła do torebki i podała mu krakersa. Szybko porzucił miejsce przy stołku Deke'a i przeniósł się bliżej niej.

- Wrench też weźmie udział w rozmowie - dodała z uśmiechem. Wrench przysunął się jeszcze bardziej i dotknął nosem jej nogi. Podała mu następnego krakersa.

- To zwyczajne przekupstwo - zawyrokował Thomas, stawiając przed Leonora kieliszek czerwonego wina.

- Nic podobnego. Odpłacam mu za wszystkie prezenty, jakie od niego dostałam.

Thomas oparł łokcie na ladzie, trzymając szklanekę z piwem.

- Właśnie opowiadałem bratu o twojej małej przygodzie dziś po południu. Ale sam nie znam wszystkich szczegółów. Nie wiem, czy pamiętasz, że coś nam przerwało, nim zdążyłaś mi wyjaśnić, jak znalazłaś te stare drzwi na klatkę schodową dla służby.

Doszła do wniosku, że „przerwało” jest adekwatnym słowem.

Chrząknęła.

- Poszłam za Julie Bromley, studentką asystentką Roberty Brinks, i jej chłopakiem, Travisem, na drugie piętro.

- Myślałem, że to piętro jest niedostępne dla publiczności - mruknął Deke.

- Bo jest. - Leonora zjadła krakersa. - Nie ma nic bardziej fascynującego dla pary dziewiętnastolatków niż coś zakazanego. Meredith także musiała znaleźć te drzwi. Są po drugiej stronie biura bibliotecznego. Deke zmarszczył brwi.

- Myślisz, że szukała tam czegoś ze zwykłej ciekawości?

- Wcale bym się nie zdziwiła. To byłoby do niej bardzo podobne. Jeśli znalazła tę klatkę schodową, na pewno poszła na górę, żeby zobaczyć, dokąd prowadzi. Możliwe, że schodząc na dół, odkryła te drugie drzwi, tak jak ja.

- I otworzyła je? - spytał Deke.

Przypomniała sobie wystającą spod drzwi bransoletkę i skinęła głową.

- Tak myślę. Nie pracowała w bibliotece, nie mogła więc wiedzieć, że drzwi z drugiej strony były zastawione katalogiem. Bransoletka pewnie o coś zaczepiła. O gwóźdź, drzazgę, coś w tym rodzaju.

- Bethany często przesiadywała w bibliotece - stwierdził cicho Deke.

Spojrzała na niego, a potem na Thomasa. Pomyślała o tym, co jej przyszło do głowy, kiedy przeglądała się w zaparowanym lustrze w łazience.

- Czy rozejrzałeś się dobrze w bibliotece po śmierci Bethany? Deke zacisnął usta.

- Nie. Dokładnie sprawdziłem zawartość jej biurka i segregatorów oraz komputera. Zawsze myślałem, że gdyby Bethany zostawiła jakieś ślady, to znalazłbym je w komputerze. Ale nie szukałem w bibliotece. Nie przyszło mi to do głowy.

- A ja pomyślałam sobie, że Meredith zgubiła bransoletkę, ponieważ coś zobaczyła, gdy otworzyła te drzwi na schody dla służby. Coś, co może spadło z szafki z katalogiem i wleciało między szafkę a ścianę. - Poruszała palcami. - Mogę sobie wyobrazić, że wsunęła dłoń między katalog a ścianę, żeby to podnieść, a wtedy zaczepiła o coś bransoletką i ją zgubiła. Może nawet od razu tego nie zauważyła.

Deke siedział nieruchomo, z dłonią zaciśniętą na butelce z piwem.

- Cholera - mruknął. - Koperta? Myślisz, że znalazła tam tę kopertę z wycinkami na temat morderstwa Eubanksa?

- Może i tę książkę - powiedziała Leonora. - Katalog starych luster w kolekcji Domu Luster. Może były tam obie te rzeczy.

Zapadła chwila ciszy, gdy wszyscy zastanawiali się nad tym prostym



wyjaśnieniem. Leonora upiła łyk wina. Deke i Thomas wypili trochę piwa.

- Wszyscy zakładali, że Bethany tej nocy, kiedy zginęła, pracowała w swoim gabinecie na terenie uniwersytetu. Często przesiadywała tam do późna. Czasem nawet przez całą noc. Ale może była wtedy w Domu Luster?

- Dom zamykają na noc - przypomniał mu Thomas. Deke zlekceważył jego słowa.

- Bethany miała klucz. Dostała go, bo lubiła pracować w bibliotece w nietypowych godzinach.

Thomas przysunął do siebie bransoletkę leżącą na ladzie.

- Dobrze, przyjmijmy, że była tamtej nocy w bibliotece. Dlaczego miałyby chować gdzieś książkę i kopertę z wycinkami?

Deke zacisnął dłoń na szyjce butelki.

- Ponieważ zabójca ją tropił. Może dopadł ją właśnie w bibliotece. Znów zapadła cisza.

- To są tylko przypuszczenia - stwierdziła wreszcie Leonora.

- Nie całkiem. - Thomas spojrzął na bransoletkę. - Niezależnie od wszystkiego wiemy, że Meredith otworzyła te drzwi za katalogiem.

- Dlaczego zaczęłaś szukać akurat dzisiaj? - spytał Deke.

- Bawiłam się w detektywa. Zauważyłam, że Julie i Travis często znikają gdzieś razem w czasie przerwy na lunch, Dziś za nimi poszłam. Wykorzystują jeden z pustych pokoiów na górze jako miejsce schadzek.

Thomas uniósł w górę jedną brew.

- Schadzek?

- Uważam, że to odpowiednie słowo - odparła. Thomas gwizdnął cicho.

- Podziwiam was intelektualistów. To musi być miło mieć taki duży zasób słów. Spojrzała na niego ze złością.

- A jakbyś to nazwał, gdy para młodych, zdrowych ludzi znika w czasie przerwy na lunch, aby uprawiać seks?

- Południówka - zasugerował Thomas. Deke uśmiechnął się lekko.

- Podoba mi się angielski. Ma tyle niuansów i subtelności.

Leonora zamrugwała gwałtownie, zaskoczona tym dowcipem. Gdy Deke się uśmiechał, podobieństwo między braćmi było jeszcze bardziej widoczne. Po chwili uśmiech znikł, ale poznała zupełnie nowego Deke'a.

- Dziś zdarzyło się coś jeszcze - powiedziała. - N je jestem pewna, co to znaczy,

ale biorąc pod uwagę, że snujemy teorie spiskowe, może to być ważne. Choć może też nie mieć żadnego znaczenia.

- Co takiego? - spytał Thomas.

- Podejrzewam, że jedna z osób, które urządzają sobie schadzki, przeszukała moją torbę. Konkretnie Julie.

Thomas i Deke spojrzeli na nią zaskoczeni.

- Była w biurze bibliotecznym, gdy ja znajdowałam się na klatce schodowej, po drugiej stronie ściany. Słyszałam, jak otwiera szuflady. Kiedy wróciłam do biura, sprawdziłam moje rzeczy. Na pewno je przeglądała.

- Wzięła pieniądze? Karty kredytowe? - spytał Thomas. Leonora pokręciła głową.

- O ile się zorientowałam, niczego nie wzięła, ale przypomniało mi się coś, co powiedziała Travisowi, gdy wychodzili z pokoju na górze.

- Co takiego? - zapytał Deke.

- Powiedziała, że muszą się pospieszyć, bo ma jeszcze coś do zrobienia, o ile trafi jej się okazja.

- O, cholera - mruknął Thomas. Wypił łyk piwa i odstawił butelkę. - O, cholera.

- O co chodzi? - spytała Leonora.

- Ta Julie Bromley? Jak ona wygląda? Ma koński ogon? Nosi czerwoną skórzaną kurtkę?

- Skąd wiesz?

- Bo widziałem ją dziś po południu. Odwiedziła Aleksa Rhodesa. Mówiłem Wrenchowi, że chyba nie jest zwykłą klientką.

- Julie i Alex Rhodes. - Leonora zagwizdała cicho. - To mi się nie podoba.

- Mnie też nie - burknął Thomas.

- A propos Rhodesa - odezwał się Deke. - To właśnie z jego powodu tutaj przyszedłem. Dowiedziałem się paru rzeczy o naszym miłym zaklinaczu stresu z sąsiedztwa.

- Słuchamy cię w skupieniu - zadeklarował Thomas.

- Parę lat temu Rhodes był PD na małym uniwersytecie na Środkowym Zachodzie - zaczął Deke.

- Co to jest PD? - zapytał Thomas.

- Prawie Doktor - wyjaśniła Leonora. - Kandydat, który nie spełnił wszystkich wymagań.

- Rozumiem. Mów dalej, Deke.

- Rhodes pracował jako asystent na wydziale chemii. I nie odnowiono z nim umowy.

- To znaczy, że go wyrzucili? - upewnił się Thomas.

- Mniej więcej. - Deke się skrzywił. - Z Internetu dowiedziałem się, że Rhodesa zwolniono, ponieważ jego ulubionym zajęciem było uwodzenie studentek.

- Czemu mnie to nie dziwi - westchnął Thomas.

- Jedną z tych słodkich dziewcząt była córka bogatego absolwenta, który dał uniwersytetowi dużo pieniędzy. Facet się wściekł, kiedy się dowiedział, że jego ukochana córeczka po zajęciach zabawiała się z Rhodesem w laboratorium chemicznym. Uparł się, żeby Rhodesa zwolniono.

- Nie dziwię mu się - powiedziała Leonora.

- Kiedy stracił pracę, Rhodes sporo kręcił się po kraju. Miał kilka jednorocznych kontraktów na wydziałach chemii małych uczelni, ale nigdzie nie zagrzebał dłużej miejsca. Podobno nadal zabawiał się w uwodzenie niewłaściwych studentek. Składano na niego skargi.

- Nie wątpię - mruknęła Leonora.

- A teraz przechodzimy do najbardziej interesującej informacji - zapowiedział Deke, prostując się na stołku. - Mówiono, że Rhodes używał tego środka, który nazywają narkotykiem gwałtu, na randce, a może jeszcze innych rzeczy.

- A teraz przyjechał do Wing Cove - szepnęła Leonora. - I sprzedaje swój antystresowy preparat.

Thomas spojrzał na brata.

- Dowiedziałeś się czegoś o tym proszku?

- Jeszcze nie. Ale spodziewam się, że mój przyjaciel lada dzień się odezwie.

- Co zrobimy, jeśli okaże się, że Alex Rhodes sprzedaje twarde narkotyki jako lekarstwo antystresowe? - spytała Leonora.

- To łatwe - odparł Thomas. - Jeśli aż tak się nam poszczęści, pójdziemy do Eda Stovalla. Nie będzie mógł zignorować takiej sprawy.

Deke łyknął piwa.

- Ale nie sądzisz, że aż tak nam się poszczęści, prawda?

- Nic tu, niestety, nie jest proste - stwierdził Thomas.

Dwie godziny później Thomas i Wrench stali przed drzwiami Leonory. Przyjechali tu jej samochodem i mieli wrócić piechotą.

Początkowo Thomas sugerował, żeby Leonora została u niego na noc. Odmówiła. Nie nalegał. Nie szkodzi, powiedział sobie. Potrafię czekać.

- Nie zrozum mnie źle - tłumaczyła się Leonora, wkładając klucz w drzwi. - Wierzę, że Rhodes to nic dobrego, ale nie sądzę, żeby był mordercą. Jest raczej typem oszusta. - Westchnęła. - No, wiesz, jak Meredith.

- Przyznałbym ci rację, gdyby nie narkotyki - odparł Thomas. - A tam, gdzie pojawiają się narkotyki, nie ma żadnych reguł. Ludzie w biznesie narkotykowym narażeni są na śmierć. Spytaj policję.

- Nie jesteśmy pewni co do narkotyków. Znamy tylko plotki.

- Jak widzisz dużo dymu, to zaczynasz się zastanawiać, gdzie się pali. - Włożył ręce do kieszeni kurtki. - Wiesz, czego naprawdę chciałbym się dowiedzieć? Gdzie był Alex Rhodes, gdy Bethany spadła ze skały na Cliff Drive, i tej nocy, gdy Meredith rozbiła się samochodem w Los Angeles.

Leonora otworzyła drzwi i odwróciła się do Thomasa.

- To się może okazać niemożliwe.

- Tymczasem - mówił dalej - powinniśmy trochę przycisnąć Julie Bromley.

Zastanowiła się przez moment i skinęła głową.

- Dobry pomysł. Ma dopiero dziewiętnaście lat i nie robi wrażenia bezwzględnej kryminalistki. Jeśli powiemy jej, że wiemy o grzebaniu w mojej torbie i o tym, że ma powiązania z Alekssem Rhodesem, przypuszczalnie prędko się załamie. Wątpię jednak, czy dużo się od niej dowiemy.

- Warto spróbować. Poszukam dziś wieczorem jej adresu. Możemy złapać ją jutro rano, nim wyjdzie na zajęcia.

- Dobrze. - Leonora poklepała po łbie psa i zamierzała zamknąć drzwi. - I tak nie mamy innych śladów.

Gdy Thomas zorientował się, że Leonora chce zamknąć drzwi, postawił jedną nogę na progu, aby temu zapobiec.

- Jeszcze jedno.

- Co takiego?

- Zamierzasz udawać, że dzisiaj nic się nie stało?

- Słucham?

- Deke widział cię u mnie w szlafroku i pomyśli, że ze sobą sypiamy. Sam też odniosłem takie wrażenie.

- I co?

- I chciałbym coś wyjaśnić. Czy jesteśmy w jakiś sposób zaangażowani, czy to była przelotna przygoda?

Uśmiechnęła się do niego promiennie i miał wrażenie, że stoi w ciemnym tunelu i oślepiają go światła nadjeżdżającego pociągu.

- Chciałabym cię poinformować, że nigdy nie zdarzają mi się przelotne przygody.

Nagle poczuł się dużo lepiej.

- Naprawdę?

- Owszem.

- A więc, jeżeli dobrze rozumiem, w procesie eliminacji wykluczamy przelotne przygody, a zatem łączy nas coś więcej.

- Podziwiam mężczyzn, którzy potrafią rozumować i wyciągać wnioski. Dobranoc.

Ulga przerodziła się w całkowicie irracjonalną euforię. Pochylił się i pocałował ją, nie wyjmując rąk z kieszeni. Żeby się przekonać, jak zareaguje.

Odwzajemniła pocałunek. Bez obejmowania go za szyję. Po czym zamknęła mu drzwi przed nosem. Bardzo delikatnie.

- Idziemy do domu, piesku.

Razem zeszli po schodach. Jakiś ruch w oknie sprawił, że Thomas się obejrzał. Leonora odsunęła zasłonę i na nich patrzyła. Widział jej ciemną sylwetkę na tle ciepłego światła lampy w dużym pokoju. Wyjął rękę z kieszeni i uniósł do góry. Odpowiedziała podobnym gestem. Kiedy doszli do mostku, gwizdał wesoło.

## ROZDZIAŁ 13

Następnego dnia Leonora wyszła z domu bardzo wcześnie. Powitało ją blade słońce. Była to miła odmiana po kilku dniach mgły.

Włożyła kaptur kurtki, wciągnęła rękawiczki i szybkim krokiem zeszła po schodach. Kiedy doszła do ścieżki dla biegaczy, skręciła w lewo, w kierunku mostku. To była krótsza droga do domu Thomasa.

To zwykła ciekawość, usprawiedliwiała się sama przed sobą. Chciała się tylko przekonać, czy on też lubi wcześnie wstawać. Sprawdzić, czy przynajmniej to ich łączy.

Oczywiście nawet jeśli dwoje ludzi łączyło bardzo wiele rzeczy, nie gwarantowało to udanego związku, jak się boleśnie przekonała w wypadku Kyle'a.

Szła szybkim krokiem, zastanawiając się, co miałyby na sobie Thomas, gdyby wstał tak wcześnie. A może wciąż jest pod prysznicem? Przez chwilę wyobrażała sobie, że Thomas otwiera jej drzwi w szlafroku. Bez niczego pod spodem.

Mogli przedyskutować strategię postępowania z Julie Bromley. Albo jakąś inną kwestię, równie ważną dla ich wspólnych działań.

A może Thomas zaprosi ją do łóżka?

Przyspieszyła kroku.

Rytmiczny tupot biegnących nóg przerwał jej miłe marzenia. Usłyszała za plecami ciężki oddech i usunęła się na bok.

Po chwili zrównała się z nią Cassie, w bluzce na ramiączkach, rajstopach i szortach. Pot błyszczał jej na czole i przesiąkał przez ubranie. Na rudych lokach miała frotową przepaskę.

Zobaczyła Leonorę i zamrugnęła ze zdziwienia, po czym zwolniła i uśmiechnęła się.

- Halo - zawołała. - Nie poznałam pani wcześniej, dopiero teraz, kiedy omal pani nie stratowałam.

- Dzień dobry - odparła Leonora, nie zatrzymując się. - Niech się pani mną nie przejmuje.

- Nie, nie, ja już prawie skończyłam. - Cassie otarła czoło ramieniem. - Zresztą dla mnie się akurat dobrze składa. Chciałam z panią porozmawiać i zamierzałam wpaść do pani dziś po południu. Czy możemy rozmawiać, idąc, żebym ochłonięła?

Leonora wydłużyła krok.

- Doceniam to, że pani o mnie pomyślała, ale naprawdę nie mam czasu na lekcje jogi.

- Nie miałam zamiaru pani namawiać. - Cassie uśmiechnęła się ciepło. Odetchnęła głęboko. - Szkoda, że to wszystko nie jest takie proste, jednak chciałam z panią porozmawiać na tematy bardziej osobiste.

- Aha, Deke i Thomas.

Cassie rzuciła jej szybkie badawcze spojrzenie i znów odetchnęła głęboko, opierając ręce na biodrach.

- Tak, Deke i Thomas. Zwłaszcza Deke. Nie będę owijała w bawełnę. Poznała go pani. Rozmawiała pani z nim. I co pani o nim myśli?

- Myślę, że ma problemy związane ze śmiercią żony. Przypuszczalnie powinien pójść do psychoanalityka.

- Sugerowałam mu to, podobnie jak Thomas. Deke się nie zgadza. Nie sądzi, aby ktoś mógł mu pomóc.

- Potrzebne mu jest zamknięcie całej sprawy. Cassie westchnęła.

- Jego pracą była opieka i troska o Bethany. Teraz ma poczucie, że się nie sprawdził.

- Nikt nie może wziąć na siebie całkowitej odpowiedzialności za życie, zdrowie czy szczęście drugiej osoby. To jest niemożliwe.

- Wiem, ale z jakiegoś powodu Deke ma obsesję na punkcie śmierci Bethany. Poczucie winy i depresja sprawiają, że wymyśla coraz to nowsze i dziwniejsze teorie.

- Nie jestem psychologiem - powiedziała Leonora. - Z tego jednak, co słyszałam o Bethany, wydaje mi się, że była bardzo wrażliwa. Najwyraźniej miała problemy z codziennym życiem albo po prostu nie była zainteresowana. Wolą uciekać w świat matematyki. Deke mówił, że czasem spędzała całe dni i noce w swoim gabinecie na uczelni i długie godziny w Domu Luster.

Cassie prychnęła.

- Nigdy jej nie poznałam, ale uważam, że słowo „wrażliwa” to eufemistyczne określenie egoistki. Wydaje mi się, że wykorzystywała swój geniusz jako pretekst, aby koncentrować się wyłącznie na sobie.

- Znam jedną czy dwie osoby, które mają bardzo wysoki iloraz inteligencji. Prawdziwy geniusz może być poważnym obciążeniem. Sprawia, że taka osoba czuje się wyalienowana.

- Rozumiem - mruknęła Cassie. - Jestem pewna, że dla kogoś wyjątkowo

utalentowanego rutyna codziennego życia może być bardzo trudna.

- Łatwo pojąć, dlaczego ktoś taki może czuć się swobodniej w świecie, w którym wszystko jest podporządkowane prawom logiki i matematyki i gdzie panuje porządek. I łatwo jest także zrozumieć, dlaczego inni chcą pielęgnować taki delikatny kwiat.

- Chyba tak - przyznała Cassie ponuro.

- Może Bethany czuła się jak w domu właśnie w tym drugim świecie - ciągnęła Leonora, zapalając się do swojej teorii. - Komuś z tak wysokim ilorazem inteligencji nasz świat przypuszczalnie wydaje się miejscem dziwnym, nieprzewidywalnym i nielogicznym.

- Tak. Jestem pewna, że ma pani rację. Bethany prawdopodobnie czuła się inna niż wszyscy.

- Bo była inna. Kto wie? Może naprawdę należało ją chronić przed codziennym życiem. Jednakże nie da się tego robić za kogoś. W każdym razie nie za długo. Takie zadanie jest frustrujące, beznadziejne i, w końcu, bezsensowne. Mężczyzna, który próbowałby robić to dla kobiety, musiałby dojść do wniosku, że mu się nie udało.

Cassie zatrzymała się i odwróciła do Leonory.

- No, właśnie. Leonora też przystanęła.

- Mężczyzna, który wierzy, że na całej linii zawiódł kobietę, nie zechce angażować się w inny związek.

- Cholera, to całkiem beznadziejne, prawda? Dopóki obsesyjnie szuka przyczyn śmierci Bethany, nigdy nie zwróci na mnie uwagi.

- Nie jestem pewna, czy to naprawdę beznadziejny przypadek.

- Co to znaczy?

- Nie sądzę, aby Deke był w depresji, tak jak myślą wszyscy. Natomiast postanowił wykryć, co się stało Bethany. Szuka odpowiedzi. W tym sensie można powiedzieć, że to obsesja. Mam jednak nieodparte wrażenie, że tego rodzaju jednotorowość to cecha rodzinna.

- Tak pani myśli?

- Widzę, że w podobnej sytuacji Thomas zachowuje się dokładnie tak samo. Robi wszystko, żeby pomóc bratu.

- Widzę więc, że muszę stanąć z boku i poczekać, aż Deke znajdzie swoje odpowiedzi. A jeśli nie znajdzie ich nigdy?

- Nie widzę powodu, aby miały się pani zachowywać pasywnie. Może powinna pani podjąć jakieś kroki, aby zwrócić na siebie jego uwagę.



- Jakie?

- Nie jestem ekspertem - powiedziała z uśmiechem Leonora - ale wiem, kogo możemy poprosić o radę.

Wkrótce potem Leonora weszła po schodach do domu Thomasa i zapukała do drzwi. Otworzyły się niemal natychmiast.

Wrench wypadł z domu ze starą, żółtą tenisową piłką w pysku. Położył ją u nóg Leonory i usiadł dumnie, oczekując, iż doceni jego prezent.

- Dziękuję, piesku. - Pochyliła się i podniosła piłkę. - Jest piękna. Wrench sprawiał wrażenie zadowolonego. Delikatnie pociągnęła go za oklapnięte ucho.

- Nie mam pojęcia, skąd to wytrzasnął - powiedział Thomas. - W życiu nie grałem w tenisa.

Leonora wyprostowała się, widząc go w otwartych drzwiach. Miał wilgotne włosy, a biodra owinał ręcznikiem.

Tylko jednym ręcznikiem, opuszczonym dość nisko i wiele odsłaniającym.

A ona wyobrażała go sobie w szlafroku. Najwyraźniej brakowało jej fantazji.

- Wejdz. Właśnie zabierałem się do śniadania. - Thomas rzucił jej szeroki uwodzicielski uśmiech. - Co cię sprowadza o tej porze?

- Wysłałam na poranny spacer. J postanowiłam sprawdzić, czy jesteś skowronkiem.

- Owszem, jestem. To podstawowy warunek, gdy ma się psa. - Cofnął się, aby mogła wejść. - Dopiero co wyszedłem spod prysznica.

Spojrzała na ręcznik owinięty wokół bioder Thomasa.

- Zauważyłam.

- Miałem nadzieję, że zauważysz. - Znow się uśmiechnął i przyciągnął ją do siebie. - Na ogół nie otwieram drzwi w samym ręczniku.

Położyła dłonie na jego nagiej piersi i pogłaskała sztywne czarne włoski.

- Postarałeś się specjalnie dla mnie? Pochlebiasz mi.

- Czy nie poszłabyś ze mną do sypialni, żeby pomóc mi się ubrać?

- Jeśli potrzebujesz pomocy w wyborze ubrania, chętnie służyć. Mam wycucie koloru i stylu.

- A ja mam dobry dzień. - Wziął ją na ręce. - Problem w tym, że nim się ubiorę, będę musiał zdjąć ręcznik.

- Oczywiście.

- Wiesz co - powiedział Thomas. - Jeśli zamierzasz codziennie przechodzić koło

mojego domu w porze śniadania, mogłabyś równie dobrze spędzać tu noce. Tak byłoby prościej.

Przyglądała się, jak nalewa owsiankę do dwóch misek.

- Lubię rano spacerować. To dobre ćwiczenie.

Pomyślał, że może był zbyt subtelny. Subtelności przeważnie mu nie wychodziły. Spróbował jeszcze raz, lekkim tonem, ale bardziej konkretnie.

- Jeśli chodzi ci o ćwiczenia fizyczne, to z przyjemnością zapewnię ci takie, jakie właśnie zakończyliśmy w sypialni.

- Puls trochę mi podskoczył, ale nie jestem pewna, czy seksem można zastąpić szybki marsz.

Może nadal był za bardzo subtelny.

- Dobrze, wobec tego mam inny pomysł. - Postawił miski z owsianką na ladzie i otworzył pudełko z brązowym cukrem. - Ja będę nocował u ciebie, a potem rano będziemy tu przychodzić na śniadanie. Myślisz, że tak będzie lepiej?

Wyjęła z lodówki karton mleka.

- Czyżbyśmy mieli razem zamieszkać? - spytała, stojąc do niego tyłem.

- Rozumiem, że nie jesteś jeszcze na to gotowa? Zamknęła lodówkę i odwróciła się.

- Uważam, że nie powinniśmy się spieszyć - stwierdziła z powagą.

- Jasne, nie chciałbym za bardzo przyspieszać. Usiadł przy ladzie. Leonora usiadła na sąsiednim stołku.

- Uważam, że powinniśmy ustalić, jak potraktujemy Julie Bromley.

W porządku. Nie będzie się upierał. Leonora chciała zmienić temat i miała do tego prawo.

- Co sądzisz o rutynowym zachowaniu: „zły gliniarz, dobry gliniarz”?

- Nie wiem. Nie jesteśmy gliniarzami. - Zmarszczyła nos. - Poza tym wszyscy znają tę sztuczkę z telewizji. Aż trudno uwierzyć, że taka prymitywna psychologiczna manipulacja może jeszcze na kogoś działać.

- Chcesz powiedzieć, że nie wierzysz we wszystko, co widzisz w telewizji?

- No...

- Poza tym naszym celem nie jest manipulowanie Julie Bromley za pomocą sprytnych zagrywek psychologicznych.

- Nie? - Uniosła brwi. - A co jest naszym celem?

- Tak ją nastraszyć, żeby powiedziała prawdę.

- Ach, tak, rozumiem.

- Niczego nie ukradłam - krzyknęła piskliwie Julie. - Przysięgam. Tylko oglądałam pani rzeczy, naprawdę. Słowo daję.

Thomas wzdrygnął się i spojrzał z niepokojem na ścianę, która dzieliła mieszkanie Julie od sąsiadów. Budynek poza miasteczkiem uniwersyteckim został zbudowany na potrzeby studentów i najwyraźniej nikt się zbytnio nie przejmował właściwą izolacją.

W niewielkim mieszkanku Julie panował typowy studencki bałagan. Niepościelone łóżko, otwarta torebka z chipsami oparta o komputer, podręczniki i notatniki rozrzucone na biurku. Przez otwarte drzwi szafy na podłogę wypadło kilka par butów. Czerwona skórzana kurtka wisiała na oparciu krzesła.

Julie zdziwiła się, kiedy ich zobaczyła, ale bez protestu wpuściła ich do środka. Piła colę i to samo zaproponowała gościom. Thomas aż się wzdrygnął na myśl o picciu zimnego gazowanego napoju o tej porze i grzecznie podziękował. Każdy ma własne źródła kofeiny, pomyślał.

Leonora wyjaśniła stanowczym tonem, że muszą porozmawiać o bardzo ważnej sprawie. Julie nie odważyła się sprzeciwić.

Jej początkowe zdenerwowanie zmieniło się w strach, gdy dowiedziała się, że widziano ją jak wychodziła z biura biblioteki. Wpadła w panikę. Po wstępnym nieprzekonującym proteście natychmiast zaczęła się usprawiedliwiać.

Leonora miała rację. Julie na pewno nie była kryminalistką.

- Wiem, że niczego nie wzięłaś. - Leonora usiadła na krześle przy biurku. - Ale chcę wiedzieć, dlaczego grzebałaś w mojej torbie. Jestem pewna, że to rozumiesz.

- Byłam ciekawa - odparła obrażonym tonem Julie.

- Czego?

Julie zakręciła się niespokojnie na krześle.

- Nie wiem.

Thomas doszedł do wniosku, że nadeszła jego pora. Do tej chwili stał bez słowa przy oknie, dając pierwszeństwo Leonorze i czekając na punkt zaczepienia.

- I co, przekazałaś Aleksowi Rhodesowi wyniki swoich poszukiwań?

Julie znieruchomiała jak zahipnotyzowany przez drapieżnika królik. Thomas doszedł do wniosku, że odgrywanie złego policjanta nie jest takie zabawne, jak to wyglądało w telewizji. Zwłaszcza kiedy ofiara ma dziewiętnaście lat.

Jednakże jej reakcja świadczyła o tym, że trafił w sedno. Musiał kontynuować,

żeby nie miała czasu na wymyślenie jakiegoś kłamstwa.

- Widziałem cię wczoraj po południu, jak wychodziłaś od Rhodesa. Po tym, jak przeszukałaś rzeczy panny Hutton. Najwyraźniej pojechałaś zdać mu sprawozdanie.

- Janie... Nie... - Po skrzywionej twarzy Julie popłynęły łzy. - Nie wiem, o czym pan mówi.

- Posłuchaj, nic nas nie obchodzi, czy z nim sypiasz - stwierdził Thomas. - Jako dorosły człowiek muszę ci powiedzieć, że robisz błąd, ale...

Julie zacisnęła pięści i zerwała się na równe nogi. Jej twarz poczerwieniała z gniewu.

- Nie śpię z panem Rhodesem. Kto panu to powiedział? To kłamstwo!

- Rhodes bardzo lubi atrakcyjne studentki. To jest jednak twój problem.

- Nie śpię z nim, do cholery! Jest stary. Dlaczego miałabym iść do łóżka z facetem, który ma prawie czterdzieści lat? Kocham Trávisa. Weźmiemy ślub, jak tylko skończymy studia.

- Jasne - mruknął Thomas.

Pomyślał, że sam jest już blisko czterdziestki, z każdą sekundą coraz bliżej. Ciekawe, czy Leonora uważa, że jest stary.

- To prawda! - krzyknęła Julie.

- Przestań, Thomas. - Leonora podniosła się z krzesła, wyjęła z pudełka na biurku kilka chusteczek i podeszła do drżącej Julie.. - Wydaje mi się, że Julie mówi prawdę.

- Tak - zatkała Julie w chusteczkę. - Przysięgam, że ten stary cap nawet mnie nie dotknął. Nie mogę sobie nawet wyobrazić pójścia do łóżka z kimś w jego wieku. To obrzydliwe.

- Nie denerwuj się - uspokajała ją Leonora. - Wiemy, że byłaś u Aleksa Rhodesa i że grzebałaś w mojej torbie. Sądźmy, że te sprawy się ze sobą wiążą, i chcemy się dowiedzieć w jaki sposób. To wszystko. Widzisz, trochę się martwimy.

- Nie śpię z panem Rhodesem - powtórzyła przygnębiona Julie. - Pracuję dla niego.

Thomas znieruchomiał. Leonora miała wrażenie, że zaraz rzuci się na dziewczynę. Ostrzegawczo pokręciła głową. Zawahał się i niechętnie posłuchał.

Zły, że wyrwano mu z łap ofiarę, znów zaczął wyglądać przez okno.

- W porządku, Julie, rozumiemy - szepnęła Leonora za jego plecami. - Praca. To coś zupełnie innego.

Thomas milczał. Odwrócił się i zobaczył, że Leonora poklepała Julie po ramieniu w uspokajający, niemal matczyzny sposób. Nie odgrywała dobrego policjanta, lecz autentycznie współczuła młodej dziewczynie.

- Potrzebujemy pieniędzy - szepnęła Julie.

- Ty i Travis? - dopytywała się Leonora.

- Travis ostatnio miał kiepskie stopnie. Jego ojciec grozi, że nie będzie płacił za studia ani za jego utrzymanie. Travis nie zarabia aż tyle jako ogrodnik na część etatu, żeby opłacić chesne, wynajem mieszkania i resztę.

- I Rhodes zaoferował ci szmal za przeszukanie rzeczy panny Hut - ton, tak? - spytał Thomas.

Najwyraźniej odezwał się ostrzej, niż zamierzał, bo Julie wzdrygnęła się, a Leonora znów rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Chciał się dowiedzieć, czy panna Hutton jest prawdziwą bibliotekarką.

- A istnieją nieprawdziwe bibliotekarki? - spytał Thomas.

- Mówił, że się tym zainteresował, bo na uczelni, gdzie przedtem pracował, słyszał o fałszywej bibliotekarce, która dostała się do archiwum rzadkich książek i ukradła naprawdę cenne okazy. Powiedział, że opis pasuje do panny Hutton. Ale mówił, że nie chce rzucać podejrzeń, dopóki nie będzie pewien.

- Kazał ci sprawdzić moje dokumenty? - zapytała Leonora. Julie pociągnęła nosem.

- Chciał pani numer ubezpieczenia albo karty kredytowej, żeby mógł sprawdzić na swoim komputerze, czy naprawdę jest pani tą osobą za którą się podaje.

- Wypełniał swój obywatelski obowiązek, co? - prychnął Thomas.

- Przecież mówię - mruknęła Julie. - Chciał się najpierw upewnić, czy panna Hutton nie jest przypadkiem tą prawdziwą oszustką.

- Prawdziwa oszustka - powtórzyła Leonora, podając Julie świeżą chusteczkę. - Interesujące określenie.

Thomas spojrzał na Julie.

- Dałaś numer ubezpieczenia panny Hutton Rhodesowi?

- Nie, nie mogłam znaleźć. - Julie wytarła nos.

Thomas powoli wypuścił powietrze. Może nic wielkiego się nie stało.

- Ale podałam mu numer prawa jazdy - dodała Julie.

- Cholera!

Leonora zmarszczyła brwi. Julie wzdrygnęła się nagle.

- Coś jeszcze? - spytał Thomas. Julie głośno przełknęła ślinę.

- Znalazłam kilka kart kredytowych, więc podałam mu też ich numery.

- Cholera! - powtórzył Thomas. - Mała harcerczka, co?

- Sądziłam, że pomagam panu Rhodesowi złapać złodziejkę książek. Myślałam, że robię coś dobrego - tłumaczyła Julie.

- Dobrze wiedzieć, że istnieją na świecie takie osoby, jak ty i Alex Rhodes, dzięki którym naukowcy wciąż mogą pracować. - Thomas oparł się o parapet i skrzyżował ręce. - Posłuchaj uważnie, Julie, powiem ci, co masz zrobić. Po pierwsze nie będziesz się więcej kontaktowała z Rhodesem. Rozumiesz?

Otworzyła szeroko oczy.

- Ale on jest mi winien pięćdziesiąt dolarów. Obiecał mi w sumie dwieście i do tej pory dostałam dopiero sto pięćdziesiąt.

- Chodzi o to, że jeśli zechcesz odzyskać pieniądze, niektórzy ludzie mogą nie uwierzyć, że tylko załatwiałaś coś dla niego. Na przykład policja może to źle zrozumieć.

- Policja? - Julie była przerażona. - Co źle zrozumieć?

- Mogą słusznie podejrzewać, że pomagałaś złodziejowi tożsamości.

- Aleja niczego nie ukradłam!

- Julie, trochę przesadzasz z tą świętą naiwnością. Wszyscy wiedzą, że kradzież tożsamości to intratny biznes i poważne przestępstwo. Numer ubezpieczenia społecznego otwiera każde drzwi, a można go bez trudu uzyskać, mając numer prawa jazdy i paru kart kredytowych.

- Mówiłam, że pan Rhodes chciał się tylko upewnić, że panna Hutton nie jest oszustką.

- Czyżby? A skąd wiesz, że to Alex Rhodes nie jest oszustem? - zapytał Thomas.

Julie gapiła się na niego, zaskoczona.

- To znaczy, że pan Rhodes... To znaczy, że on może być przestępcą? Ale on jest doktorem, psychiatrą, czy coś takiego.

Mówiła tak piskliwym głosem, że Thomas zdziwił się, że nie pękła szyba w oknie.

- Jeszcze nie wiem, czym lub kim jest Alex Rhodes - powiedział. - Możemy jednak założyć, że człowiek, który zatrudnia dziewiętnastoletnią studentkę, aby przeszukała czyjaś torebkę w poszukiwaniu danych osobowych, nie jest prawdopodobnie porządnym człowiekiem.

Julie znów zaczęła płakać. Leonora dotknęła jej ramienia.

- Uspokój się. Pan Walker i ja się tym zajmiemy. Uważam, że ma rację. Najlepiej będzie, jak nie będziesz się więcej kontaktować z Alekssem Rhodesem.

Julie spojrzała na nią smętnymi zapłakanymi oczami.

- A moje pięćdziesiąt dolarów?

- Wiesz co... - Leonora sięgnęła do torebki i wyjęła portfel. - Dam ci te pięćdziesiąt dolarów, które jest ci winien Rhodes.

- Leonora... - zaczął Thomas.

Nie zwracając na niego uwagi, wyjęła z portfela pieniądze i podała Julie.

- Dzięki. - Julie szybko wzięła banknoty, przeliczyła je i włożyła do kieszeni dzinsów. - Niech się pani nie martwi, na pewno nie pójde więcej do pana Rhodesa.

- Będziemy ci bardzo wdzięczni - powiedziała Leonora.

- Jasne. - Julie ruszyła do wyjścia. - Muszę lecieć. Mam o dziesiątej seminarium z literatury angielskiej.

Thomas podszedł za Leonora do drzwi.

- Przy odrobinie szczęścia to będzie koniec tej sprawy dla ciebie - rzucił od niechcienia.

Julie zmarszczyła brwi.

- Jak to, przy odrobinie szczęścia?

- W końcu możemy być zmuszeni do zawiadomienia policji. - Wyszedł na korytarz i uśmiechnął się. - Nigdy nic nie wiadomo.

Julie spojrzała na niego z obawą i zamknęła drzwi.

- Nie musiałeś dodawać tego ostatniego zdania o policji - rzuciła ze złością Leonora. - W końcu powiedziała nam wszystko, co chcieliśmy wiedzieć.

- Naciągnęła cię na pieniądze.

- Wielkie rzeczy. Warto było wydać pięćdziesiąt dolarów, żeby dowiedzieć się, że Alek Rhodes zbiera o mnie informacje.

- Nie o to chodzi. Nie podobało mi się jej zachowanie. To, co jej mówiłem o policji, jest prawdą. Im bardziej się w to wszystko wgłębiamy, tym bardziej wydaje mi się, że będziemy musieli pójść z tym na policję.

- Proszę bardzo. - Leonora szła obok niego, trzymając torebkę w lewej ręce. - Kiedy?

- Nie wiem. Na razie nie mamy dość danych. Ed Stovall nie ukrywał, że nie otworzy na nowo śledztwa w sprawie śmierci Bethany, jeśli nie dostanie solidnych

dowodów. Nie po tym, co przeszedł z moim bratem tuż po śmierci Bethany. Uważa, że Deke to wariat.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Zaczynasz wierzyć, że zajmujemy się dwoma morderstwami, prawda?

Pomasował dłonią kark, usiłując pozbyć się wrażenia, że atakuje go coś wielkiego, nieprzyjemnego, z dużą ilością zębów.

- Nadal nie wierzę w spiskową teorię morderstw, choć zaczynam wierzyć, że Rhodes może być poważnym problemem.



## ROZDZIAŁ 14

- Dzwonię, bo znajoma szuka rady, a Herb jest jedynym doradcą, jakiego znam - powiedziała Leonora. - Wysłałabym mu pytanie e - mailem do rubryki *Spytaj Henriette*, ale wiem, że jest bardzo zajęty i może nie zauważyć od razu mojego problemu.

- Jest zarzucony pocztą, to prawda. - Gloria usadowiła się w fotelu i oparła spuchnięte stopy na małym podnóżku. Była na zakupach w centrum handlowym. Wiedziała z doświadczenia, że opuchlizna zejdzie, jeśli przez jakiś czas potrzyma nogi uniesione do góry. - Nie mów Herbowi, ale między nami mówiąc, *Spytaj Henriette* jest najbardziej popularną rubryką w „Gazette”. Codziennie przychodzi coraz więcej pytań. Herb zamierza zatrudnić asystentkę.

- Tego się właśnie obawiałam. Trochę mi się spieszy. Myślałam, że mogłabyś się do niego przejść i zaraz potem zadzwonić do mnie, aby mi przekazać jego odpowiedź na nasze wątpliwości.

- Nasze? - powtórzyła Gloria.

- To znaczy odpowiedź dla mojej znajomej - poprawiła się szybko Leonora. - Facet rok temu stracił żonę. Od czasu jej śmierci nie miał kontaktów z kobietami. Sądzę, że w ich małżeństwie były jakieś problemy, jakieś niezłatwione sprawy. Moja znajoma chciałaby, aby zwrócił na nią uwagę, o ile wiesz, co mam na myśli.

- Wiem, kochanie. - Gloria, przytrzymując słuchawkę ramieniem, sięgnęła po notes i zaczęła notować. - Czy ten mężczyzna ma dzieci?

- Nie.

- Jakieś hobby?

- Interesują go komputery.

- Rozumiem. - Gloria zapisała „dureń”. - Jeszcze coś, o czym Herb powinien wiedzieć?

- Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Zadzwon do mnie zaraz po rozmowie z Herbem, dobrze?

- Dobrze, kochanie, zobaczę, co się da zrobić.

- Och, Glorio?

- Tak?

- Kiedy będziesz rozmawiała z Herbem, czy mogłabyś zadać mu jeszcze jedno krótkie pytanie?

- Co takiego, kochanie?

- Zapytaj... - Leonora przerwała i odchrząknęła. - Zapytaj go, czy istnieje możliwość długiego, zaangażowanego związku między rozwiedzionym facetem, który lubi pracę fizyczną i który nie ma zamiaru żenić się po raz drugi oraz obawia się mieć dzieci a... a kobietą która pochodzi z zupełnie innej sfery.

- Jak bardzo innej?

- No, można powiedzieć, że ma skłonności akademickie. Ponadto chciałyby wyjść za mąż. I mieć dzieci. Pod warunkiem, że spotka odpowiedniego mężczyznę.

Gloria była z siebie dumna, ale nie powiedziała ani słowa.

- Nie ma problemu, kochanie, oddzwonię zaraz po rozmowie z Herbem.

- Dziękuję.

- Poza tym wszystko w porządku?

- Tak, wydaje mi się, że robimy postępy. Thomas planuje przekazanie tego, czego się dowiedzieliśmy policji. Muszę powiedzieć, że bardzo by mi ulżyło.

Gloria zmarszczyła brwi.

- Czy to znaczy, że Meredith i ta druga kobieta, Bethany Walker, naprawdę zostały zamordowane?

- Obawiam się, że istnieje taka możliwość. Być może wchodziły też w grę narkotyki. Wciąż dokładnie nie wiemy, o co w tym wszystkim chodzi.

- O, Boże! - Gloria rozmyślała przez chwilę, zaciskając dłoń na słuchawce. - Leonom?

- Tak?

- Posłuchaj, kochanie, ale tobie w Wing Cove nic nie grozi, prawda?

- Ależ nie. Nie martw się, babciu. Nic mi nie będzie. Naprawdę.

- Jesteś pewna?

- Całkiem pewna.

- Dobrze. Wobec tego idę porozmawiać z Herbem i oddzwonię.

- Dziękuję. To na razie.

- Do widzenia, kochanie.

Gloria odłożyła słuchawkę i przez dłuższą chwilę studiowała swoje notatki. Mężczyzna, który lubi pracować fizycznie... Kobieta z innej sfery...

Odłożyła notes, przytrzymała się balkonika, który stał przy krześle i wstała.

Weszła do łazienki, gdzie nałożyła na usta świeżą warstwę jaskrawo - czerwonej szminki i ruszyła do drzwi.

Do diabła ze spuchniętymi kostkami. Zajmie się nimi później.

Doszła do mieszkania Herba w rekordowo krótkim czasie.

- Jeśli przysłaś, żeby mi zwrócić uwagę, że moja rubryka jest za długa, daj sobie spokój - powiedział Herb, otwierając drzwi. - To nie moja wina, że połowa subskrybentów szuka rady na stronie *Spytaj Henriette*.

- Przychodzę w sprawie osobistej. Wydaje mi się, że Leonora jest zakochana. Musisz mi pomóc. Szybko.

- Co? - Odsunął się z przejścia. - Wejdz. Zobaczmy, co się da zrobić. Gloria weszła z balkonikiem do mieszkania, odwróciła się i usiadła na przymocowanym do niego siedzeniu.

- Zadzwoiła pod pretekstem szukania rady dla znajomej. Ale pod koniec rozmowy wspomniała o mężczyźnie, którym sama jest zainteresowana. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Herb usiadł na krześle przed komputerem i włożył okulary do czytania.

- Podaj mi fakty.

Szybko podała mu informacje z notatek. Herb zastanawiał się przez chwilę.

- To łatwe.

- Łatwe?

- Jestem pewien, że Leonora i jej znajoma robią z tego zupełnie niepotrzebny problem, bo w ich wieku takie sprawy zawsze wydają się bardziej skomplikowane. Zobaczmy, co da się zrobić. Zadzwoń do niej.

Gloria wyjęła z kieszeni komórkę i wystukała numer wnuczki.

Leonora odebrała po pierwszym dzwonku.

- Gloria?

- Tak, kochanie. Jestem u Herba. Jest gotów udzielić ci rady.

- Fantastycznie. Mam pod ręką coś do pisania, więc możesz mówić. Gloria patrzyła wyczekująco na Herba.

- Niech ich nakarmią - zaczął. Gloria patrzyła wyczekująco na Herba.

- Co powiedział? - spytała Leonora.

- Poczekaj chwilę, kochanie. Co powiedziałaś?

- Żeby Leonora i jej znajoma przygotowały smaczny posiłek dla swoich mężczyzn. Droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek. Zawsze tak było i zawsze będzie.

- Herb mówi, żeby przygotować smaczny posiłek dla zainteresowanych

dżentelmenów - powtórzyła Gloria do telefonu.

- Jedzenie? - mruknęła sceptycznie Leonora. - To dość przestarzałe. Gloria odsunęła słuchawkę od ucha.

- Ona mówi, że to przestarzałe.

- Przyszłaś po radę do eksperta i ja ci służę radą.

- Nie denerwuj się, chciałam się tylko upewnić. Herb mówi, że stare powiedzenie o drodze do serca mężczyzny przez żołądek jest nadal aktualne - poinformowała Leonorę.

- No, dobrze. A co mamy przygotować? Gloria znów odsunęła telefon.

- Co mają podać?

- Proponuję lazanie. - Herb usiadł wygodniej z wyrazem rozmarzenia na twarzy. - Z dużą ilością sera. I sałatę z grzankami. Czerwone wino. Dobry chleb. I niech nie zapomną o deserze. Deser jest naprawdę ważny.

- Słyszałaś, kochanie? - spytała Gloria.

- Zapisałam: lazania, sałata, chleb i czerwone wino. A co na deser? Gloria spojrzała pytająco na Herba.

- Co na deser?

- Szarlotka. Duży kawałek gorącej szarlotki na domowym cieście. Takim warstwowym, a nie z tym gotowym kartonem, jaki sprzedają w supermarketach. I lody waniliowe.

- Widzę, że ktoś tu wzdycha do czasów, gdy nie musiał zwracać uwagi na cholesterol - zaśmiała się Gloria. - Słyszałaś, kochanie? Szarlotka z lodami.

- Słyszałam. - Leonora zniżyła głos. - Co odpowiedział na moje drugie pytanie? Wiesz, a propos tego mężczyzny, co lubi pracować fizycznie, boi się małżeństwa i nie chce mieć dzieci?

- Poczekaj, kochanie. - Gloria spojrzała na Herba. - Jakie są szanse, że wykształcona kobieta znajdzie prawdziwą miłość w związku z mężczyzną, który lubi pracować fizycznie i boi się małżeństwa?

- Nie widzę żadnego problemu - powiedział Herb z mądrą miną. - Z moich doświadczeń wynika, że mężczyzna, który potrafi obchodzić się z narzędziami, da sobie radę ze wszystkim, co go spotka w życiu.

- To zabrzmiało bardzo zagadkowo - stwierdziła Leonora. - Co to znaczy?

Gloria spojrzała na Herba.

- Co to znaczy? To, że mężczyzna, który daje sobie radę z narzędziami, da sobie

radę ze wszystkim?

- Nic nie szkodzi - powiedział bez związku Herb. - Powiedz jej, żeby się skoncentrowała na wyszukaniu dobrego przepisu na lazanie i szarlotkę.

- To tyle ode mnie. Powodzenia, kochanie - pożegnała się Gloria.

- Zaczekaj - powiedziała Leonora. - Jeszcze jedno. Powiedzmy, że ta wykształcona kobieta już przyrządziła jeden posiłek dla mężczyzny, który lubi pracować fizycznie.

- Tak, kochanie?

- Powiedzmy, że podała mu resztki z poprzedniego dnia - dodała ponuro. - Czy już się załatwiła na amen?

Gloria zasłoniła dłonią słuchawkę.

- Pyta, czy już jest za późno, jeśli wcześniej podała temu mężczyźnie posiłek składający się z resztek z poprzedniego dnia.

- Jakiego rodzaju resztek? - zapytał Herb.

- Jakiego rodzaju resztek? - powtórzyła Gloria do telefonu.

- Sałatka ziemniaczana i kanapki. - Leonora zawahała się. - Sałatka była zrobiona według twojego przepisu, babciu.

Gloria spojrzała na Herba.

- Moja sałatka z kartofli i kanapki.

- Z twoją sałatką nie ma problemu. Powiedz jej, że wciąż ma szansę. Gloria chrząknęła.

- Herb mówi, że twoja znajoma, która podała resztki, ma nadal szansę, dzięki mojej sałatce.

- Super. Podziękuj od nas Herbowi, babciu.

- Dobrze, kochanie.

Gloria schowała komórkę do kieszeni, uśmiechając się do Herba.

- Doceniam twoją pomoc.

- Jeśli uda mi się wydać ją za męża, będę miał u ciebie dług wdzięczności.

- Zrobię ci pyszną lazanie i szarlotkę.

- Nie chodzi o lazanie i szarlotkę. Wiesz, czego chcę.

Westchnęła.

- Twoje imię w nazwie rubryki.

- Właśnie. Umowa stoi?

- Stoi.

Z werandy na tyłach domu Deke'a przyglądali się zatoce. Wrench buszował po krzakach u podnóża schodów. Teoretycznie zapadał zmierzch, ale trudno było stwierdzić to na pewno. Mgła znów kryła wszystko, zacierając granicę między dniem a nocą. Po południu lekko się rozwinęła, ale całkiem nie znikła. Teraz, pod wieczór, znów zgęstniała.

Thomas doszedł do wniosku, że dziś mgła jest wyjątkowo dziwna; wylania się z zatoki, zacierając granicę między rzeczywistością a tym, co znajduje się po drugiej stronie lustra.

Na dole, na ścieżce, od czasu do czasu pojawiały się i znikły biegnące cienie. Każdego z nich poprzedzało dalekie głuchoe echo kroków. Po ich rytmie można było odróżnić, czy następna postać będzie, idzie szybkim krokiem czy spaceruje.

- Zatem Rhodes kazał ją sprawdzić - powiedział Deke.

- Albo to, albo chciał wykorzystać jej tożsamość, choć wątpię, żeby do tego celu wybrał akurat Leonorę.

- Tak, sprawdzał ją - stwierdził cicho Deke. - Tak jak my sprawdziliśmy jego. O co w tym wszystkim chodzi?

- Niestety, nie znam odpowiedzi na to pytanie.

- Ona wprowadza zamieszanie, prawda?

- Kto? Leonora? - Thomas odetchnął głęboko. - Chyba można tak to określić.

- Wiedziałem, że tak będzie. Mówiłem, że jest katalizatorem.

- Miałaś rację.

Szybki, prawie wojskowy odgłos - tup, tup, tup - poprzedził kolejnego sportowca, który pojawił się na moment i znikł we mgle.

- Wczoraj u ciebie czuła się jak w domu - rzucił od niechcienia Deke. - Nawet się kąpała.

- Uhm.

- Cassie wspominała, że spotkała ją dziś wcześniej rano na ścieżce. Miała wrażenie, że szła do ciebie. Może na śniadanie.

- Oboje lubimy wcześniej wstawać. Deke skinął głową.

- Macie jeszcze coś wspólnego.

- Coś jeszcze? - Thomas rzucił bratu przelotne spojrzenie i wrócił do obserwowania przypominających duchy biegaczy. - Co na przykład?

- To trudno wyjaśnić. Może sposób, w jaki robicie różne rzeczy.

- Co takiego?

- No, wiesz. - Deke machnął ręką, szukając właściwych słów. - Kiedy postanowisz coś zrobić, trzymasz się tego aż do końca. Jeśli się do czegoś zobowiązesz, nie rezygnujesz, nawet kiedy masz wątpliwości. Przez ostatni rok popierałeś moje działania, choć wiem, że w głębi duszy' zastanawiałeś się, czy przypadkiem nie zwariowałem.

- Jesteś moim bratem.

- A bracia Walkerowie trzymają się razem, tak?

- Tak. - Thomas położył ręce na poręczy. - Jeśli chcesz wiedzieć, nie mam żadnych wątpliwości co do twojego stanu psychicznego. Już nie. Uwierzyłem w twoją teorię spiskową.

- Myślę, że powinienem podziękować Leonorze. Ona jest do ciebie podobna pod wieloma względami. Zostawiła wszystko, żeby przyjechać tutaj i dowiedzieć się, co się stało z jej przyrodnią siostrą. Ty też byś tak postąpił. Zrobiłeś dokładnie to samo.

Thomas wzruszył ramionami.

- Ty byś zachował się tak samo.

- Jasne.

Przez chwilę spoglądali na zatokę. Mgła wisiała niczym gęsty welon. Odgłos kroków zapowiedział grupę biegaczy. Wyłonili się z mgły, trzech mężczyźni w średnim wieku, którzy powinni mieć więcej rozumu w głowie. Ciekawe, czy któryś z nich miał już kłopoty z kolanami, pomyślał Thomas. W tym wieku to tylko kwestia czasu.

- Słyszałem, że jesteśmy dziś wieczorem zaproszeni do Leonory na kolację - powiedział w końcu.

- Cassie dzwoniła jakąś godzinę temu. Mówiła, że razem z Leonorą przygotowują jedzenie.

- To będzie dobra okazja, żeby we czwórkę wszystko przedyskutować.

- Cassie uważa, że mam obsesję - stwierdził Deke z obojętnym wyrazem twarzy.

- Zgadza się. I co z tego? Tak już mamy, my, Walkerowie.

- Może będzie niezręcznie rozmawiać przy niej o tych sprawach.

- Nie. Spójrz na to w ten sposób: po pół roku ćwiczenia z tobą jogi Cassie wie o tym wszystkim tyle samo, co my. Może skieruje nas na inny ślad, tak jak Leonora.

- To mi nie przyszło do głowy. - Deke zawahał się. - Nie chcę, aby uważała, że jestem całkiem szurnięty, rozumiesz? I tak sytuacja między nami jest dość niezręczna.

- Daj jej szansę, Deke. I spójrz na to od jaśniejszej strony.

- Jakiej jaśniejszej strony?

- W najgorszym wypadku, nawet jeśli Cassie dojdzie do wniosku, że jesteś szalony, zjemy domową kolację w towarzystwie dwóch bardzo sympatycznych kobiet.

- To prawda - przyznał Deke.

Może Leonora naprawdę jest katalizatorem, pomyślał Thomas. Wiele spraw nabrało przyspieszenia, odkąd tu przyjechała.

Razem z Wrenchem wrócili do domu ścieżką pełną biegaczy, rowerzystów i ludzi z psami. Jacyś oszalali sportowcy dwa razy omal go nie przewrócili. Robiło się coraz niebezpieczniej.

Kiedy weszli do domu, dzwonił telefon. Thomas zamknął drzwi i podniósł bezprzewodową słuchawkę.

- Halo, Walker.

- Thomas? - spytała Leonora.

- Będę u ciebie za pół godziny - powiedział, rzucając okiem na zegarek. - Muszę się wykąpać i przebrać.

- Nie ma pośpiechu. Cassie i ja mamy jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. Dzwonię, żeby zapytać, czy mógłbyś przynieść swoje narzędzia.

Poczuł przyjemny dreszcz.

- Nie martw się, ja zawsze noszę narzędzia przy sobie. Leonora zachichotała.

- Chodziło mi o inne narzędzia - powiedziała. - Takie, jakie masz w warsztacie. Kurek nad wanną przecieka i to kapanie strasznie mnie denerwuje. Nie mogę spać w nocy.

- Ach, te narzędzia. Jasne, je też przyniosę.

Pół godziny później, wykąpany i ubrany w elegancką koszulę i spodnie, wszedł do warsztatu. Wybrał klucz francuski i jeszcze kilka innych rzeczy, które mogły mu się przydać przy naprawie ciekącego kranu.

Kiedy wyszedł, Wrench czekał na niego pod drzwiami ze smyczą w pysku.

- Przepraszam, kolego, nie tym razem. Wrench był bardzo zmartwiony. Thomas ukucnął i podrapał go za uszami.

- Posłuchaj. Istnieje pewna szansa, że zostanę u niej na noc. Ale jeśli zabiorę cię ze sobą, na pewno nie mam na co liczyć. Zaprosić mężczyznę na noc to jedno, a zaprosić mężczyznę z psem na noc, to zupełnie coś innego. Rozumiesz?

Wrench nie wydawał się przekonany.

Thomas poklepał go po łbie, wstał i wyszedł. W kieszeni marynarki miał ciężki



klucz francuski.

- Może przekąskę, Deke? - zaproponowała Cassie.

Podawała mu miskę solonych, ugotowanych na parze strączków soi. Przyjrzał im się uważnie i wziął kilka.

- Interesujące - mruknął. - Dziwnie wyglądają, ale są interesujące.

- Przyzwyczaisz się - zapewniła Leonora. - Bierz przykład ze mnie. Trzymając koniec solonego strączka włożyła drugi koniec do ust i zębami wygryzła ziarenka soi, po czym wrzuciła pusty strączek do miski.

Deke spróbował ją naśladować. Rozległ się głośny odgłos ssania.

- Udało się - oznajmił i wrzucił pusty strąk do miski.

- Jeśli ty umiesz, to ja też sobie poradzę - stwierdził Thomas. Włożył jeden koniec strączka do ust i przeciągnął lekko po wnętrzu przednimi zębami. Kiedy skończył, triumfalnie uniósł do góry pusty strąk.

Wszyscy się roześmieli i sięgnęli po następne.

Leonora spojrzała znacząco na Cassie. Na razie szło dobrze. Wieczór zapowiadał się interesująco.

Thomas pociągnął nosem.

- Niezły zapach. Co będzie na kolację?

- Lazania ze szpinakiem i serem feta - odparła Leonora. - Na deser Cassie upiekła szarlotkę.

- Lazania? - Na twarzy Thomasa odmalował się wyraz rozmarzenia. - Przepadam za lazania.

- Nawet już nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem domową szarlotkę - stwierdził Deke. - To mój ulubiony deser. Nie wiedziałem, że umiesz gotować - dodał, spoglądając na Cassie.

- Nigdy mnie o to nie pytałeś.

Poczerwieniał gwałtownie, sięgnął po piwo i zmienił temat:

- Mam dobrą i złą wiadomość od studenta, który badał zawartość fiołki od Rhodesa.

- Jaka jest ta dobra? - spytał Thomas.

- To tylko kolorowy cukier i mąka kartoflana. Leonora uniosła brwi.

- A zła wiadomość?

- To tylko kolorowy cukier i mąka kartoflana.

- Inaczej mówiąc, nie wsadzimy go za rozprowadzanie narkotyków.

- W każdym razie nie tak łatwo. Jest oszustem, ale chyba nie można go oskarżyć o coś niebezpiecznego czy nielegalnego, jeśli chodzi o ten preparat, który sprzedaje.

Leonora spojrzała na Deke'a.

- Masz coś nowego w sprawie morderstwa starego Eubanksa? Upił łyk piwa i powoli odstawił butelkę.

- Jak już mówiłem Thomasowi, nic, co by tłumaczyło zainteresowanie Bethany tą sprawą. Ze starych akt wynika, że to był po prostu przypadek. Eubanks wrócił do domu i zastał tam włamywacza.

Thomas wziął kolejny strączek soi i włożył do ust.

- Eubanks pracował na wydziale matematyki. Bethany była matematyczką. Jesteś pewien, że nie ma tu żadnego związku?

Deke pokręcił głową.

- Ja nie widzę.

- Wiesz, Bethany była twoją żoną, aleja też ją znałem - powiedział Thomas. - I wydaje mi się, że jest tylko jeden powód, dla którego mogłaby się zainteresować tym morderstwem. To musiało być jakoś związane z jej pracą.

Deke zeszywniał.

- Mówisz tak, jakby ludzie nic ją nie obchodzili. Thomas wzruszył ramionami.

- Bo chyba nie obchodzili. Nie tak, jak obchodzą ciebie. Oczywiście lubiła, gdy ktoś się nią zajmował, bo mogła poświęcić się pracy, ale nigdy nie przejmowała się kłopotami innych. Wiesz o tym, Deke.

Zapadło niezręczne milczenie. Leonora spojrzała na Cassie. Obie zastanawiały się, czy Deke zacznie bronić zmarłej żony. Koniec kolacji. Tymczasem, ku jej zdumieniu, Deke tylko się skrzywił.

- Nie była okrutna, złośliwa ani nieuprzejma - powiedział z uporem, lecz bez gniewu.

- To prawda. - Thomas rozparł się na krześle i spojrzał na brata. - Była jedynie zajęta sobą. Przeważnie przebywała we własnym świecie i pracowała. Tylko na tym jej zależało.

- Była geniuszem. - Deke znów napił się piwa. - Genialni ludzie są inni.

I to było wszystko, co powiedział w obronie swej zmarłej żony. Cassie podała mu miskę z soją.

- Częstujcie się.

- Dzięki - powiedziała szybko Leonora. - Ja bardzo chętnie. Cassie podsuwała każdemu miskę pod nos. Deke i Thomas częstowali się równie chętnie, zadowoleni ze zmiany tematu.

Leonora odetchnęła z ulgą.

- Cóż, na razie wygląda na to, że ślad morderstwa Eubanksa prowadzi donikąd. Musimy się skoncentrować na czymś innym.

- Nie jestem tego taka pewna - powiedziała powoli Cassie. Odwrócili się i spojrzeli na nią ze zdumieniem, jakby nagle oświadczyła, że potrafi fruwać.

- Co to znaczy? - spytał zaskoczony Deke.

- Jeżeli naprawdę chcecie się dowiedzieć czegoś więcej o morderstwie Eubanksa, niż było w gazetach, mam pewien pomysł - dokończyła.

- Słuchamy - zachęcił ją Thomas. Cassie wyprostowała się.

- We wtorki mam zajęcia jogi dla seniorów w Cove View. Jedna z uczestniczek, Margaret Lewis, była kiedyś sekretarką na wydziale matematyki w Eubanks. Pracowała tam ponad czterdzieści lat. Już wtedy, kiedy zamordowano Sebastiana Eubanksa.

- Coś takiego - szepnęła Leonora. - Sekretarka wydziału sprzed trzydziestu lat jeszcze żyje.

- I ma się dobrze - dodała Cassie. - To jedna z moich najlepszych uczennic.

Deke nie spuszczał oczu z Cassie.

- Niemożliwe. Sekretarka wydziału?

- Mam wrażenie, że coś mi umknęło - stwierdził Thomas. - Jedna z sekretarek wciąż żyje. I co z tego?

Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

- Co się stało? - Spojrzał na koszulę. - Czy się czymś ubrudziłem?

- Posłuchaj - zaczęła z irytacją Leonora - mówimy o sekretarce wydziału. Nie rozumiesz? Nikt z pracowników nie wie tyle o wszystkim, co sekretarka wydziału. Jedyne pan Bóg byłby lepszym źródłem informacji. Ale on nic nie powie.

- Leonora ma rację - wykrzyknął entuzjastycznie Deke. - Możesz nam wierzyć.

- Skoro tak mówisz... Cassie roześmiała się.

- O hierarchii w świecie akademickim krąży wiele dowcipów. Głównie mówią o tym, że wprawdzie na każdym wydziale jest dziekan, profesorowie, adiunkci, doktorzy i asystenci, ale tak naprawdę wszystkim rządzi sekretarka.

- Dobrze, dobrze, już rozumiem. - Thomas obrzucił każde z nich uważnym

spojrzeniem. - Waszym zdaniem warto porozmawiać z tą Margaret Lewis, tak?

- Na pewno - powiedział Deke. - Jeśli w tym czasie, kiedy zamordowano Eubanksa, działo się coś niezwykłego, sekretarka wydziału musiała o tym wiedzieć.

Leonora poszła do kuchni zajrzeć do lazanii.

- Jeśli ta Margaret Lewis nie przypomni sobie niczego więcej z okresu śmierci Eubanksa, niż było w wycinkach prasowych, możemy być pewni, że nic się nie działo.

Thomas skoncentrował się na naprawie kranu w łazience. Ułożył wszystkie części w takiej kolejności, w jakiej je rozkręcał. Teoretycznie musiał tylko złożyć wszystko z powrotem, tyle że w odwrotnej kolejności. Teoria była w zasadzie słuszna i nawet czasem się sprawdzała. Jednak hydraulika to sztuka, a nie sucha technika. I nie zawsze podporządkowywała się logice. A miało to dużo wspólnego z tym, co działo się między nim a Leonora.

- Wydaje mi się, że poszło nieźle - powiedziała Leonora, która stała w drzwiach łazienki, za plecami Thomasa. - Deke i Cassie pod koniec całkiem dobrze się dogadywali. Wprawdzie nie trzymali się za ręce, ale szli blisko siebie.

- To mogła być szarlotka - stwierdził, biorąc do ręki śrubokręt. - Deke przepada za szarlotką. Zwłaszcza z lodami. Zresztą lazania też była doskonała.

- Cieszę się, że ci smakowała.

- Od wieków nie jadłem tak dobrej, domowej lazanii. - Poruszył kilka razy dźwignią, aby osadzić ją na miejscu. - Przeważnie kupuję mrożoną.

Skrzyżowała ręce i oparła się ramieniem o framugę.

- Muszę ci powiedzieć, że trochę się zdenerwowałam, kiedy wspomniałeś, że Bethany nie była troskliwą osobą. Nie byłam pewna, jak Deke zareaguje.

- Ja też nie - przyznał. - Ale nie mogę słuchać, jak opowiada o niej, jakby była święta.

- Poza tym wydawało mi się, że bronił jej dziś bardziej z przyzwyczajenia niż z przekonania.

- Deke się zmienia. Idzie naprzód. - Ukłękł, sięgnął pod umywalkę i odkręcił zawór wody. - Mam tylko nadzieję, że znów się nie cofnie, gdy nie rozwiążemy tych wszystkich zagadek.

- Na pewno tak nie będzie. Zaczyna interesować się Cassie. To duży krok naprzód.

- Aha. - Thomas wstał i odkręcił kran. Początkowo dało się słyszeć parskanie i bulgotanie, ale już po chwili z rur popłynęła woda. - Naprawdę sądzisz, że ta stara

sekretarka wydziału coś nam powie?

- Kto wie? Warto spróbować.

- Jeśli tak mówisz... Zakręcił wodę.

Oboje przez dłuższą chwilę wpatrywali się kran. Nie kapnęła ani kropla.

- Ojej - powiedziała Leonora z podziwem - jesteś naprawdę dobry. Jesteś po prostu nadzwyczajny.

- Cóż mam powiedzieć? Ma się ten talent. Uśmiechnęła się do niego w lustrze.

- Wierzę.

Spojrzał na jej odbicie. Wdzięcznie wygięta i oparta o framugę, była szalenie pociągająca. Spoglądała na niego ciepłymi, głębokimi i tajemniczymi oczami.

- Masz jeszcze coś do naprawy? - zapytał.

- Właśnie mi się przypomniało, że jest coś jeszcze, co wymaga użycia twoich narzędzi.

Zakręcił na palcu klucz francuski, jak stary rewolwerowiec.

- Prowadź.

- Tędy.

Odwróciła się i poprowadziła go do sypialni.

Thomas wyszedł na ganek i odetchnął głęboko zimnym wilgotnym powietrzem. Kolejna fala mgły nadciągnęła znad ciemnych wód cieśniny, zasnuwając ścieżkę. Niskie latarnie lśniły przytłumionym światłem.

Spojrzał na stojącą w progu Leonorę. Miała na sobie gruby szlafrok, a włosy rozpuszczone i potargane. Zostawiła okulary w sypialni i przyglądała mu się, mrużąc oczy.

- Dobranoc - powiedziała i pocałowała go w usta.

- Dobranoc. - Odwzajemnił gorący pocałunek. Chciał zostawić po sobie jakiś ślad. Coś. o czym mogłaby rozmyślać po powrocie do ciepłego łóżka, które dopiero co opuścił.

- Udane party? - spytał obcy mężczyzna.

Brett Conway przystanął, chwiejąc się, i usiłował coś zobaczyć. Facet go wystraszył, wyłaniając się zniemacka z mgły i ciemności. Nie słyszał żadnych kroków.

Obcy wyglądał dziwnie. Miał czarne ubranie i kominiarkę naciągniętą na twarz. Nie jest aż tak zimno, pomyślał Brett.

- W porządku - mruknął.

Party było fajne. Dużo alkoholu i trochę trawki. Ale żadna dziewczyna się nim

nie zainteresowała. Może i lepiej, bo właśnie robiło mu się niedobrze. Niewiele brakowało, a wpadłby do zatoki.

- Niezbyt dobrze wyglądasz - stwierdził obcy.

- Za dużo piwa. Nic mi nie będzie.

- Mam coś, co bardzo szybko poprawi ci samopoczucie. - Obcy wyciągnął rękę w rękawiczce. - Spróbuj. Będziesz zadowolony.

Brett spojrział na małą paczuszkę.

- Co to jest?

- Dymy i Lustra.

Przeszył go dreszcz podniecenia. Zapomniał o nudnościach.

- Naprawdę? Prawdziwy towar?

- Prawdziwy.

- Słyszałem o nim. Ale nikomu z moich znajomych nie udało się go dostać.

- Będziesz pierwszy. Powrócił niepokój.

- Ile? Mam przy sobie tylko dwadzieścia, może trzydzieści dolców.

- Nic.

Teraz wiedział, że jest w tym jakiś haczyk.

- Nie wierzę.

- Przy okazji chciałbym cię poprosić o małą przysługę.

- Jaka?

- Połknij to, a potem porozmawiamy.

Brett zawahał się, ale wszystko było takie proste. Wyobraził sobie, jak opowiada jutro znajomym. „Nigdy byście nie uwierzyli. Wczoraj wieczorem spotkałem na ścieżce faceta. Dał mi DiL. Prawdziwy towar. Za friko”.

Połknął proszek. Miał gorzki smak.

- Ta przysługa - powiedział obcy.

- Co? - Brett wbił wzrok w mgłę, usiłując zobaczyć oczy obcego. Było w nich coś dziwnego.

- Zabijesz dla mnie potwora.

- Zwariowałeś, człowieku. - Brett zachichotał. Już czuł się lepiej. Bardziej podekscytowany. - Tu nie ma potworów.

- Mylisz się. Jeden z nich zaraz tu będzie. Za parę minut wejdzie na mostek. - Obcy podał mu długi ciężki przedmiot. - Weź, będzie ci potrzebny.

Brett spojrział na kij golfowy, który obcy włożył mu do ręki.

- Co?

Coś mu w tym wszystkim nie pasowało. Chciał zadać jakieś pytanie, ale zaczęły się halucynacje i we mgle zobaczył potwora.

Satysfakcja, jaką odczuwał Thomas po naprawdę udanym seksie, zaczęła się ulatniać. Na jej miejscu pojawiło się znajome już uczucie fizycznego podniecenia. Może ten prowokacyjny pocałunek na dobranoc nie był takim dobrym pomysłem. W końcu to on spędzi noc na snuciu niepokojących fantazji.

Odgłos stóp biegacza za plecami uświadomił mu, że nawet o tej porze niektórzy zapaleńcy wciąż znęcali się nad swymi biednymi kolanami. Przeszedł na skraj ścieżki, by zostawić biegaczowi więcej miejsca.

Echo kroków było coraz głośniejsze. Po chwili przebiegł obok niego młody mężczyzna. Pobliska lampa oświetliła na moment jego łydki i sportowe buty. Reszta pozostała w ciemności.

Thomas zastanowił się przez chwilę, czy nie powinien zatrzymać młodego człowieka i ostrzec go, że jeśli nadal będzie biegał, po czterdziestce jego kolana będą się nadawały do wymiany. Postanowił jednak, że nie będzie się wtrącał. Dlaczego pomagać konkurencji? Życie czterdziestolatka i tak nie jest łatwe. Poza tym młodzi faceci wierzą, że będą żyć wiecznie i zawsze będą zdrowi.

Młody człowiek zniknął w nocnym mroku. Ucichł też odgłos jego kroków. Wróciła cisza, wzmocniona mgłą.

Thomas doszedł do mostku i ruszył na drugą stronę. Wśród drzew widział już lampę na ganku swojego domu. Wrench na pewno na niego czeka. To była miła świadomość.

Za sobą usłyszał kolejne kroki. Jeszcze jeden biegacz, który postanowił przebiec na skróty na drugą stronę zatoki. Kroki były cięższe, nie całkiem zsynchronizowane, jakby mężczyzna z trudem je koordynował. Może bolały go kolana.

Thomas usłyszał ciężki oddech i odgłos gwałtownego łapania powietrza. Rytm kroków się zmienił. Był teraz szybszy.

Biegacz zbliżał się.

Nie oglądaj się, pomyślał Thomas. Ktoś się do ciebie zbliża.

Kroki były coraz szybsze. Biegacz chwycił powietrze, przygotowany do jeszcze większego wysiłku. Brzmiało to tak, jakby mężczyzna chciał zebrać wszystkie siły, aby dobiec do jakiejś niewidzialnej linii mety.

Teraz był tuż za nim.

Do diabła. Najgorzej jest wyglądać jak ofiara. Thomas zatrzymał się, odwrócił i podszedł bliżej barierki, ustępując biegaczowi miejsca. Prawą rękę trzymał w kieszeni marynarki, zaciskając palce na trzonku klucza francuskiego.

Ciemny cień wyprysnął z mgły. W nienaturalny sposób uniósł do góry obie ręce. Trzymał w nich podłużny przedmiot.

Mężczyzna wydał z siebie dziwny dźwięk i zamachnął się trzymanym przedmiotem jak rzeźnik tasakiem.

Thomas wyszarpnął z kieszeni klucz i uniósł go do góry.

Kij biegacza uderzył w klucz francuski, a nie w głowę Thomasa. Uderzenie wprawilo w drzenie drewniane deski pod ich stopami.

Mężczyzna przebiegł kilka kroków siłą rozpędu, po czym gwałtownie się zatrzymał. Odwrócił się, zaczerpnął powietrza i ruszył z powrotem do swego celu.

Jeden koniec kija załśnił na moment w świetle latarni.

Kij golfowy.

Thomas skoczył naprzód z kluczem francuskim uniesionym do góry, aby zablokować uderzenie kija. Działał odruchowo, nie mając wielkiego wyboru. Cofanie się nie miałooby sensu, gdyż w końcu zostałby przyparty do barierki.

Klucz i kij zderzyły się po raz drugi. Thomas poczuł pod nogami kolejny wstrząs. Napastnik zawył z wściekłości i zatoczył się na barierkę.

Kij wyleciał mu z ręki i spadł w ciemność pod mostem.

Thomas wykorzystał okazję i łokciem uderzył mężczyznę w żołądek. Obaj się przewrócili i przeturlali do podtrzymującego barierkę pala. Thomas upuścił klucz.

Nie tracił czasu na szukanie narzędzia, gdyż musiał opanować napastnika, który tymczasem stracił morderczy zapał i wpadł w panikę, uderzając na oślep i krzycząc ze strachu.

- Puść! Nie, nie! Nie dotykaj mnie! Puść!

Pięścią trafił Thomasa w twarz, a potem w zębra. Bił na oślep. Thomas poczuł zimną wściekłość. Uderzył napastnika w podbrzusze. U słyszał jęk bólu.

- Nie bij! Nie bij!

Mężczyzna nadal wymachiwał rękami, ale wyraźnie słabł.

- Błagam, błagam, błagam, nie bij mnie! Podniósł ręce do góry, jakby chciał osłonić głowę. Thomas zorientował się, że napastnik histerycznie szlocha.

- Błagam, nie bij!

Thomas wstał i sięgnął po komórkę. Miał szczęście. Nie wypadła mu z kieszeni



i nadal działała. Triumf współczesnej technologii.

Stał z Edem Stovallem w holu miejskiego szpitala w Wing Cove. Ed był w nienagannie, wyprasowanym mundurze. Trudno byłoby się domyślić, że telefon Thomasa wyrwał go ze snu.

- Pijany i naćpany nie wiadomo czym. - Ed zamknął notes i schował do kieszeni. - Prawdopodobnie tym nowym środkiem halucynogennym DiL. Lekarz dyżurny w izbie przyjęć powiedział, że facet ma halucynacje. Widzi rzeczy, których nie ma. Krzyczy, że widział na moście potwora.

- Ten potwór to ja - • wyjaśnił Thomas.

- Najwyraźniej doszedł do wniosku, że jest pan demonem w ludzkim ciele. Był przekonany, że musi pana zabić. Przypuszczam, że zamierzał zrzucić pana z tego mostu.

- Mogło mu się udać. Zwłaszcza gdyby najpierw uderzył mnie w głowę kijem golfowym.

- Lekarze orzekli, że prawdopodobnie nic więcej do jutra z niego nie wydostanę. Zakładając, że w ogóle będzie pamiętał, co się stało.

- Ma przy sobie jakiś dowód?

- Nazywa się Brett Conway. Studiuje w Eubanks. Wcześniej pił z kumplami. Skończyli zabawę w prywatnym domu. Wyszedł sam. Powiedział kolegom, że pójdzie piechotą do domu. Wtedy widziano go po raz ostatni. A potem napadł na pana.

- Skąd kij golfowy?

- W Eubanks jest drużyna. Brett Conway do niej należy.

- I co dalej?

Ed spojrzał na niego ponuro.

- Muszę zadzwonić do rodziców tego chłopaka i poinformować ich, że syn ma kłopoty z powodu narkotyków.

- Nie zazdroszczę panu.

- Tak, nie cierpię tej strony mojej pracy.

Ktoś bez przerwy naciskał dzwonek do drzwi. Półprzytomna Leonora spojrzała na budzik. Trzecia rano. To nie wróży nic dobrego.

Przeszył ją zimny dreszcz. Była sama z własnej winy. Wcześniej Thomas wyraźnie dał jej do zrozumienia, że chętnie zostałby na noc, ale go nie zaprosiła. Wmówiła sobie, że musi zachować dystans. Sytuacja i tak była dość niepewna.

Sięgnęła po okulary, wstała i włożyła szlafrok. Przez ciemny pokój spojrzała na

drzwi. Dzwonek nie przestawał dzwonić.

Mocniej zawiązała pasek od szlafroka, wzięła komórkę, aby w razie potrzeby natychmiast zadzwonić na policję i przeszła przez ciemny pokój do drzwi.

Zapaliła światło na ganku i wyjrzała przez wizjer. Na widok Thomasa odczuła nieopisaną ulgę.

Potem dostrzegła ciemne plamy na jego koszuli.

- O, mój Boże! - Szybko otworzyła drzwi. - Thomas! Masz krew na koszuli?

Spojrzał po sobie, krzywiąc się z irytacją.

- Gnojek. Rozciął mi wargę. To nowa koszula.

- Co się stało? Nic ci nie jest? - Głupie pytania, najwyraźniej coś mu było.

- Wypadek na moście. - Zdjął palec z dzwonka. - Czy mogę wejść i się umyć?

- Wypadek? - Przepuściła go w drzwiach. - Oczywiście, chodź. Może powinnam cię zawieźć do szpitala?

- Już tam byłem. Nic mi nie jest.

- Byłeś w szpitalu? Thomas, na litość boską co się stało?

- To długa historia. Nie martw się, wszystkie kości mam całe.

Wszedł sztywno i zatrzymał się w holu. Wreszcie mogła mu się dobrze przyjrzeć. Na lewym policzku miał głębokie zadrapanie, poranione palce i potargane włosy. Na marynarce, spodniach i koszuli widniały plamy z błota i krwi.

- Thomas, co ci się stało?

- Wpadłem na biegacza. - Zobaczył w lustrze swoje odbicie i aż się wzdrygnął. - Cholera, nie powinienem był tu przychodzić. Nie wiedziałem, że tak fatalnie wyglądam. Ed powinien był mnie zawieźć do domu.

- Powiedz mi o wszystkim.

- To się stało na mostku.

- Nie wydaje mi się, żeby oglądał cię lekarz.

- Zajmowali się tym drugim. Nie chciałem, żeby mnie opatrywali. Pomyślałem, że zrobię to tutaj.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Już mówiłem, że to długa historia.

- Możesz mi opowiedzieć przy opatrywaniu. Nie protestowałem.

Poprowadziła go przez pokój i małym korytarzem do łazienki, gdzie on usiadł na brzegu wanny, a ona odkręciła wodę nad umywalką. Widziała, że ją obserwuje w lustrze szafki na lekarstwa. Jego oczy były zimniejsze niż woda w zatoce.

- Jesteś pewien, że nie potrzebujesz lekarza?

- Tak.

Otworzyła szafkę i wyjęła wodę utlenioną, waciki i tubkę maści z antybiotykiem.

- Zawsze podróżujesz z szafką pełną lekarstw?

- Owszem. A w każdym razie mam pod ręką te najbardziej podstawowe. Nauczyła mnie tego babcia, która uważa, że należy być przygotowanym na każdą okoliczność. Zdejmij marynarkę i koszulę - rozkazała, stając przed nim. - Muszę obejrzeć rany.

- Nie jest tak źle. - Zaczął zsuwać marynarkę, przestał na moment, wciągnął głęboko powietrze, a potem z rezygnacją zdjął do końca marynarkę.

- Bardzo cię boli, prawda? - Wzięła od niego marynarkę i powiesiła na haczyku na drzwiach. W kieszeni coś zadźwięczało. - Co to?

- Klucz, który zabrałem z domu, żeby naprawić ciekący kran. - Metodycznie rozpinął guziki koszuli.

Kiedy ją zdjął, z ulgą zauważyła, że zranienia nie są groźne.

- Czy możesz głęboko odetchnąć? Spróbował, dotykając jednocześnie żeber rękami.

- Tak. Nic mnie nie zakłuło. Uspokój się, Leonoro, nic mi nie jest. Mam tylko trochę siniaków.

Zwilżyła kłębek waty wodą utlenioną i zaczęła czyścić jego skaleczony policzek.

- No, dobrze, a teraz mów, co się stało - zażądała.

- Jakiś naćpany dzieciak chciał mnie ogłuszyć kijem golfowym i wrzucić do zatoki. Nie udało mu się. I to jest koniec historii dla Eda Stovalla.

Przez chwilę myślała, że się przesłyszała. Zastygła z wacikiem w ręku.

- Co takiego? - wykrztusiła. Miała wrażenie, jakby spuchł jej język. - Próbował cię zabić?

- Lekarze uważają, że zażył DiL, ten narkotyk, o którym słyszeliśmy. Ten facet nadal widzi potwory. Podobno mnie też wziął za potwora.

Czuła, że podłoga łazienki umyka jej spod nóg. Miała wrażenie, że znalazła się po drugiej stronie lustra.

- Mówisz poważnie? - szepnęła.

- Z całą pewnością nie jestem w nastroju do żartów. Opanowała jakoś skurcze brzucha i odsunęła się o krok, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Miał kij do golfa?

- Ed mówi, że jest w drużynie w Eubanks. Auć!

- Przepraszam. - Delikatniej dotknęła watą policzka. - Wiem, co myślisz.

- Myślę o tej torbie z kijami golfowymi, którą widzieliśmy u Rhodesa.

- Wiedziałam. Wspomniałeś o tym Stovallovi?

- To nie miałyby sensu. Jest zadowolony ze swojej wersji wydarzeń. Mam jedynie nadzieję, że kiedy dzieciak dojdzie do siebie, powie Edowi, skąd dostał to gówno, przez które widział potwory. Ale nie spodziewam się za wiele. Lekarze mówią, że może w ogóle niczego nie będzie pamiętał. Twierdzą na podstawie kilku przypadków, z jakimi się spotkali, że działanie tego narkotyku jest nieprzewidywalne i że nabiera podwójnej mocy, gdy się go zmiesza z alkoholem.

- O, mój Boże. Uważasz, że Alex celowo nafaszerował chłopaka narkotykiem i posłał, żeby cię zamordował?

- Może nie. Może chciał mnie tylko nastraszyć i ostrzec. - Thomas ostrożnie dotknął prawego ramienia lewą ręką. - Pokazać, żebym się trzymał z daleka od jego spraw.

Odwróciła się, żeby wyrzucić zakrwawioną watę do kosza na śmieci.

- Skąd mógł wiedzieć, że się nim interesujemy?

- Od Julie Bromley. Nie zdziwiłbym się, gdyby wiedział o naszej porannej rozmowie. Przypuszczalnie trochę się zdenerwował.

Nie mogła oderwać wzroku od jego odbicia w lustrze.

- Musisz porozmawiać z Edem Stovallem.

- Obawiam się, że to nie takie proste. Uwierz, że w tej chwili byłaby to wyłącznie strata czasu.

- A może ja do niego pójde?

- Nie obraż się, ale to też nic nie pomoże. - Thomas skrzywił się ponuro. - Pomyśli, że podzielasz moje podejrzenia, bo ze mną sypiasz.

Chrząknęła.

- Rozumiem. Pomyśli, że zaślepią mnie namiętność. Thomas usiłował wstać.

- Ed wykorzysta każdy pretekst, żeby odrzucić moją historię, ponieważ będzie zakładał, że nadal działam ręka w rękę z moim bratem i usiłuję znaleźć mordercę Bethany.

- Siedź spokojnie. - Wzięła tubkę maści. - Jeszcze nie skończyłam.

Kiedy już go opatrzyła, przeszli do kuchni. Posadziła go za stołem i dała parę

przeciwbólowych i przeciwzapalnych tabletek.

Nalała szklankę mleka i postawiła przed nim, żeby miał czym popić lekarstwo.

Thomas spojrział na mleko.

- Masz whisky? - spytał. Uśmiechnęła się lekko.

- Nie. Przepraszam.

- A ten koniak, który podałaś do szarlotki?

- Racja. - Wyjęła z szafki butelkę koniaku i nalała do szklanki z mlekiem.

- Dzięki.

Jednym haustem połknął tabletki i pół szklanki mleka z koniakiem.

- Co teraz zrobimy, Thomas?

- Jeszcze nie wiem. Muszę pomyśleć.

- Co z Alekssem Rhodesem?

Thomas zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Prawdopodobnie zakłada, że podejrzewam go o dzisiejszy napad, ale wie też, że niewiele mogę zrobić. Zdaje sobie sprawę z naszej sytuacji. Wie, że wszyscy, łącznie z szefem policji, uważają, iż Deke ma obsesję na tle teorii o morderstwie i że każde moje działanie jest odbierane jako popieranie wymysłów brata.

- "Nie możemy jednak zignorować faktu, że być może dziś wieczorem zaaranżował twoje morderstwo.

- Na razie niech się trochę pomartwi. Będzie się zastanawiał, co i kiedy zrobię. Nic się nie stanie, jeśli pożyje trochę w niepewności. Ludzie zdenerwowani częściej popełniają błędy. Tymczasem jutro porozmawiamy sobie z Margaret Lewis i zobaczymy, co z tego wyniknie. Musimy opracować strategię.

- Strategię?

- No, wiesz, plan. Najbardziej lubię pracować, jak mam wszystko na piśmie.

Zmarszczyła brwi.

- Nie sędzę...

- Czy mogę u ciebie przenocować?

Nie tak dawno żałowała, że nie zaprosiła go na noc, choć z drugiej strony wiedziała, dlaczego nie byłby to dobry pomysł. Teraz tak bezpośrednio pytanie wprawilo ją w zakłopotanie.

- No, wiesz, Walker, gdzie jest twoje wyczucie romantyzmu?

- Nie czuję się w tej chwili specjalnie romantyczny. Jeśli nie chcesz, żebym spał tutaj, możemy pójść do mnie.

Ten oficjalny ton dał jej do myślenia.

- Mam wrażenie, że chęć spędzenia tu nocy nie jest zapowiedzią namiętnego seksu. Dlaczego zatem pytasz mnie o zgodę?

- Jeżeli dziś wieczorem Rhodes usiłował mnie nastraszyć, albo nawet się mnie pozbyć, to możemy założyć, że miał swoje powody.

- I?

- Teraz już na pewno wie, że oboje jesteśmy zaangażowani w tę sprawę. Nie trzeba być specjalnie inteligentnym, żeby dojść do wniosku, że jeśli mnie uważa za zagrożenie, to ciebie również.

- Zagrożenie - powtórzyła cicho. - Wydaje mi się, że wiem, o co ci chodzi.

- Musimy wziąć pod uwagę, że ciebie traktuje tak samo, jak mnie.

- Mimo widoku mojej pupy, która wpadła mu w oko w supermarkecie.

- Twoja pupa jest nadzwyczajna, ale nie jestem pewien, czy możemy liczyć na to, że jej nadzwyczajny widok powstrzyma Rhodesa przed zrobieniem czegoś nieprzyjemnego. - Thomas urwał na chwilę. - Poza tym faceci tacy jak Rhodes nie potrafią w pełni docenić, jak wspaniała jest twoja pupa.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Przez jakiś czas powinniśmy trzymać się razem i wzajemnie się pilnować.

- Dobry pomysł.

- Możesz więc zostać na noc.

- Dziękuję i przepraszam za brak subtelności i romantyzmu. Leonora oparła się o ladę.

- Podobno dobry związek powinien opierać się na czymś więcej niż subtelność i romantyczność, bo one nigdy nie trwają długo.

- Też tak słyszałem.

- Na szczęście mamy coś bardziej konkretnego.

- Tak? Co takiego?

- Twoje narzędzia.

Kiedy wyszła w szlafroku z łazienki, Thomas już był w łóżku. Może to było złudzenie, ale wydawało jej się, że zajmuje jego większą część. Leżał na plecach, z rękami założonymi za głowę. Leonora zgasła światło.

- Chciałem naprawić mylne wrażenie, jakie miałaś wcześniej - powiedział, kiedy wsunęła się pod kołdrę.

Lekko dotknęła jego piersi, zastanawiając się, gdzie i jak bardzo go boli.

- Jakie mylne wrażenie?

- Kiedy cię spytałem, czy mogę zostać na noc.

- Uhm?

- Moja prośba była tak naprawdę spowodowana troską o twoje bezpieczeństwo.

Ale miałem też inny powód.

- Jaki?

- Szukałem okazji do namiętnego seksu.

- Naprawdę? To szkoda, że jesteś taki poobijany.

- To nie jest żaden problem. Tylko obiecaj, że będziesz delikatna.

Namiętny, bardzo delikatny seks, środki przeciwbólowe i świadomość, że Leonom znajduje się w tym samym łóżku wreszcie uśpiły Thomasa. Niestety, miał koszmarne sny.

Stał przy umywalce w łazience Leonory, usiłując się ogolić. Nie widział jednak, co robi, bo całe lustro było zaparowane.

Wziął ręcznik i wytarł parę z powierzchni lustra.

Teraz widział twarz w lustrze, ale nie była to jego twarz. Spoglądał na niego Alex Rhodes, a jego złośliwe złote oczy lśniły ponurym szyderyczym rozbawieniem.

## ROZDZIAŁ 15

Następnego dnia okazało się, że Thomas nie może się ogolić, choć lustro nie jest zaparowane. Nie miał czym.

Zakręcił prysznic, owinął się ręcznikiem i nachylił nad porcelanową umywalką. W zaparowanym lustrze przyjrzał się ciemnej szczecinie na twarzy. Nie wygląda zbyt pociągająco.

Niewiele mógł zdziałać. Leonora z pewnością nie byłaby zachwycona, gdyby pożyczył sobie jej małą, różową, plastikową maszynkę do golenia. Brzytwa była jedną z rzeczy, które zamierzał przynieść tutaj z domu. Lista robiła się coraz dłuższa. W tej chwili obejmowała, według ważności: prezerwatywy, szczoteczkę do zębów, brzytwę, czystą koszulę, bieliznę i parę skarpetek.

Cholera, będzie musiał spakować to wszystko do jakiejś torby.

Pozostawał jeszcze problem Wrencha.

Wyobraził sobie, że co wieczór pakuje torbę i rusza z psem do domu Leonory. Beznadzieja. Byłoby znacznie wygodniej, gdyby Leonora przeniosła się do niego, ale podejrzewał, że nie spodoba jej się ten pomysł. Co, z kolei, oznaczałoby, że ona pakowałaby się każdego wieczoru, a kobiety mają zawsze więcej rzeczy.

Poza tym nie powinien chyba przyzwyczajać się do tego, że kręci się u niego po domu. Przypuszczalnie wróci do swego normalnego życia, gdy tylko zakończy przygody Alicji w Krainie Czarów.

No, pięknie. Czuł, że zaczyna wpadać w depresję.

Spojrzał na swoje odbicie. Nie ma co, wygląda jak po katastrofie pociągu. W okolicach żeber widniały krwawe wybroczyny. Przez zarost przebijało skaleczenie, Okolica lewego oka stała się bardzo kolorowa i prawdopodobnie te kolory prędko nie zejną. Ręce, zwłaszcza kłykcie, także były pokaleczone.

Odwrócił się od lustra, wziął koszulę i skrzywił, czując jej zapach. Nieźle się w niej napocił podczas walki na mostku. Może lepiej w ogóle jej nie wkładać?

Wytań się, włożył spodnie i przeczesał rękami włosy. Zadowolony, że zrobił, ile mógł, wyszedł z łazienki. Musi się napić kawy i wziąć kolejne środki przeciwzapalne. Potem chętnie by coś zjadł. Po namiętym seksie z Leonora zawsze był głodny.

Męski głos dobiegający z kuchni sprawił, że zapomniał o kawie i tabletkach.

- To szaleństwo, Leo. Wmówiłaś sobie, że Meredith została zamordowana i że potrafisz znaleźć zabójcę. Powinnaś pójść do psychiatry.



- Może, ale moje ubezpieczenie chyba tego nie obejmuje - odpowiedziała spokojnie Leonora. - Napijesz się kawy?

Thomas kilkoma dużymi susami przemierzył pokój i stanął w drzwiach kuchni.

Leonora stała przy ladzie, szykując kawę dla gościa, Dla siebie zaparzyła herbatę.

W przeciwieństwie do niego, wyglądała fantastycznie. Miała na sobie luźne czarne spodnie, długi czerwony sweter i pluszowe kapcie. Włosy zaplotła w znany mu już francuski warkocz.

Nieznajomy mężczyzna z kręconymi włosami, brązowymi oczami i ostrymi rysami twarzy zajmował jedno z dwóch krzeseł przy stole. Miał na sobie wymiętą niebieską koszulę, spodnie khaki i mokasyny. Znoszona marynarka ze sztruksu, z zamszowymi łatami na łokciach, wisiała na oparciu krzesła.

Droga skórzana torba, przypuszczalnie używana jako teczka, stała obok niego pod ścianą.

Facet równie dobrze mógłby sobie wytatuować na czole napis: „Staram się o stały etat”, pomyślał Thomas. Leonora spojrzała w stronę drzwi.

- Jesteś. - Obrzuciła go szybkim zatroskanym spojrzeniem. - Jak się czujesz?

- Może być, dziękuję.

Nie wyglądała na przekonaną, ale się nie sprzeczała.

- To jest mój były... kolega. Kyle Delling. Być może wspominałam ci o nim.

Były narzeczony. Tylko tego mu było trzeba. Jeszcze jeden mężczyzna, który też zadawał się z Meredith. Ciekawe, czy Leonora, widząc ich obu u siebie w kuchni, zaklasyfikowała ich jako „odrzuty Meredith”.

Kyle przyglądał mu się całkowicie zaskoczony. Chyba przeżył szok na widok obcego mężczyzny wychodzącego bez koszuli z łazienki byłej narzeczonej. Thomas pomyślał, że gdyby to on był na miejscu Kyle'a, byłby zaszokowany. Nie wyobrażał sobie, jak mógłby znieść choćby widok innego mężczyzny po tych kilku dniach i nocach spędzonych z Leonorą.

Ta myśl uderzyła go boleśniej niż pięści Bretta Conwaya. Leonora nie należała do kategorii kobiet, z którymi spotyka się po rozwodzie. Tym razem nie uda mu się nie zaangażować. Skończyły się żarty, zaczęły się schody.

Kyle otworzył usta, a Thomas nie był pewien, czy profesorek nie ma ochoty mu przyłożyć. Miał nadzieję na małą potyczkę, dzięki której mógłby odreagować stres. Ćwiczenia fizyczne bardzo poprawiały mu nastrój.

Po chwili przypomniał sobie, że Leonora opisywała swojego byłego narzeczonego jako mężczyznę nowoczesnego. Może zatem Kyle nie gapił się tak na niego z zazdrości? Może to pęknięte żebra, podbite oko i pokaleczone ręce zrobiły na nim takie wrażenie.

Kyle'owi udało się wreszcie zamknąć usta.

- Kim pan jest, do diabła?

Leonora podmuchała na swoją herbatę i odpowiedziała:

- To jest Thomas Walker. Przyjaciół. - Ostatnie słowo wypowiedziała szczególnie wyraźnie.

Thomas skinął głową. On też był nowoczesnym mężczyzną.

- Delling - mruknął Kyle.

Thomas zauważył na ladzie małą buteleczkę. Wziął kilka tabletek.

- Chyba nie powinieneś ich brać na pusty żołądek - stwierdziła Leonora.

Odstawiła herbatę, wyjęła z tostera grzankę, szybkimi, oszczędnymi ruchami posmarowała ją masłem i podała Thomasowi.

Ugryzł duży kawałek grzanki, a potem połknął tabletki, popijając sokiem. Chciał zachować się elegancko i odezwać się do Kyle'a w cywilizowany sposób, ale nic nie przychodziło mu do głowy, więc odgryzł następny kęs grzanki.

- Kiedy byłeś w łazience, dzwoniła Cassie - powiedziała Leonora. - Margaret Lewis zgodziła się spotkać z nami dziś przed południem. Cassie i Deke przyjadą po nas koło dziesiątej.

- Dobrze. - Spojrzał na zegarek. Wpół do ósmej. - Mam dość czasu, żeby wrócić do siebie, sprawdzić, co się dzieje, nakarmić Wrencha i się przebrać.

- Co się panu stało? - zapytał Kyle, najwyraźniej nie mogąc już dłużej pohamować ciekawości. - Wpadł pan na mur?

- Wypadek na moście nad zatoką. - Thomas dokończył grzankę. - Mosty to niebezpieczne miejsca.

Kyle przyglądał mu się z powątpiewaniem.

- Wygląda, jakby się pan z kimś bił, albo coś...

- Albo coś. - Thomas napił się kawy. - Przepraszam, że zjadłem i od razu wychodzę, ale muszę zrobić parę rzeczy. Mam mało czasu. Do zobaczenia o dziesiątej, Leonoro.

- Tak jest. - Odstawiła filiżankę.

Podszedł do niej i pocałował ją na pożegnanie. Może namiętniej, niż to było

konieczne.

Nie oponowała, kiedy jednak podniósł głowę, zobaczył w jej oczach ironiczny błysk. Doskonale wiedziała, że to był jeden z tych idiotycznych pocałunków, którymi mężczyźni popisują się przed innymi mężczyznami.

Poczuł się jak dziecko, dopóki nie zauważył, że Kyle gapi się na nich z otwartymi ustami, wyraźnie przerażony. To poprawiło mu nastrój. Zdecydowanie.

- Do zobaczenia - rzucił Kyle'owi. Delling zrobił głupią minę.

Thomas wyszedł z kuchni i z szafy w przedpokoju wyjął marynarkę. Leonora odprowadziła go do drzwi. Odezwała się dopiero, kiedy wyszli na ganek.

- To nie było ani subtelne, ani romantyczne - stwierdziła.

- Nasz związek przeszedł już chyba przez tę fazę.

- Nie gadaj głupstw. Co to ma wspólnego z tym odgrywaniem macho w kuchni?

- Nie wiem, o czym mówisz. Tylko wyjątkowo niedojrzała osoba zachowywałaby się w taki sposób. - Powiew zimnego powietrza uderzył go w pokiereszowaną twarz, która boleśnie go zapiekła. - O co chodzi z tym byłym narzeczonym w kuchni? Przyjechał, żeby się pogodzić?

- Nie, zależy mu na czymś znacznie ważniejszym niż poprawa ulotnych i zmiennych stosunków międzyludzkich.

- Tak? Na czym?

- Na etacie.

- Aha. - Pokiwał głową. - Przez ostatni rok dużo czasu spędzałem w środowisku akademickim i wiem, że dla nich stały etat jest czymś w rodzaju świętego Graala. Dlaczego Delling uważa, że mogłabyś mu pomóc?

- Jedna z moich bliskich znajomych stoi na czele komitetu, który decyduje, czy Kyle dostanie stały etat na wydziale anglistyki. Ona jest bardzo lojalna i wzięła sobie do serca pogłoski, że Kyle poszedł do łóżka z Meredith.

Thomas uśmiechnął się. Zabolalo, ale było warto.

- Zemsta jest słodka, prawda?

- Tylko ktoś bardzo dziecinny zajmowałby się czymś tak niegodnym jak zemsta.

- Słodka. - Znów pokiwał głową, usatysfakcjonowany. - Dobrze wiedzieć, że oboje marny w sobie coś dziecinnego. To nasza kolejna wspólna cecha.

Zszedł po schodkach i ruszył ścieżką, powściągając nagłą i niewytłumaczalną chęć, aby głośno zagwizdać. Miał zbyt obolałą twarz.

Niedługo potem otwierał drzwi swojego domu. Wrench czekał w przedpokoju,

spoglądając na niego z takim żalem, jak tylko pies potrafi.

- Dobrze, dobrze, miałeś rację. Powiniennem być zabrać cię ze sobą wczoraj wieczorem.

Przywitali się, a Thomas miał wrażenie, że pies był rozczarowany nieobecnością Leonory.

- Wynagrodzę ci to - obiecał.

- Skąd wzięłaś tego kulturystę? - spytał Kyie, kiedy Leonora wróciła do kuchni.

- Nie jest w twoim typie. Zabawiasz się na prowincji w lady Chatterley?

- Przechodzę fazę dzieciinną. Kyie zmarszczył brwi.

- Te sińce wyglądały fatalnie. Co to za wypadek na moście? Czy z niego taka niezdara, czy co?

Leonora naląła sobie kolejną filiżankę herbaty.

- Thomas ma te sińce z powodu bójk. Wczoraj wieczorem zaatakował go jakiś naćpany młody człowiek. Jest w szpitalu.

- Cholera! - Kyie zamrugął nerwowo, - Czy to żart?

- Odkąd przyłapałam cię w łóżku z Meredith, nie mam ochoty z tobą żartować...

Kyie zeszywniał.

- Nadal masz obsesję na punkcie tego drobnego, nieliczącego się epizodu, co? Daj sobie spokój z przeszłością. Dla samej siebie. Pora pójść naprzód.

- Ależ ja poszłam, Kyie. I wątpię, czy potrafiłabym docenić takiego mężczyznę jak Thomas, gdybym najpierw nie była zaangażowana w związek z tobą. Przypuszczam, że powinnam być ci za to wdzięczna.

- Sarkazm nie jest konstruktywnym sposobem porozumiewania się. Zastanowiła się przez moment.

- Wiesz co? Wcale nie mówiłam tego sarkastycznie. Powiedziałam szczerą prawdę.

Zespół mieszkań dla seniorów w Wing Cove składał się z trzech ładnych dwupiętrowych budynków z czerwonej cegły, ustawionych na planie trójkąta.

- Jesteś pewien, że Wrench może zostać w samochodzie? - spytała Leonora, odwracając się na przednim siedzeniu.

Thomas spojrzał na psa, który siedział w bagażniku, z głową opartą na tylnym siedzeniu, za plecami Deke'a i Cassie.

- To on chciał tu z nami przyjechać.

- Nic mu nie będzie - stwierdził Deke. - Otworzymy okno.

- Nie będzie długo sam - dodała Cassie, odpinając pas. - Margaret ma później zajęcia z malarstwa.

Weszli do budynku przez przyjemnie umeblowany hol. Na okrągłym stole stał duży bukiet świeżych kwiatów. Thomas rzucił okiem na dzienną listę zajęć wypisaną na tablicy: aerobik na basenie, wykład na temat bieżących wydarzeń, malarstwo, wycieczka do muzeum. Na wieczór zapowiadano film z Carym Grantem.

Grzeczna elegancka recepcjonistka sprawdziła, czy są zapowiedziani, i wyjaśniła im, jak trafić do Margaret Lewis.

Niełatwo było im się zmieścić w małym mieszkanku Margaret. Wszystko, łącznie z gospodynią, było miniaturowe. W beżowo - zielonym pokoiku Thomas czuł się jak olbrzym.

Ostrożnie usiadł na jednym z delikatnych małych krzesełek, obawiając się, czy się przypadkiem pod nim nie załamie. Zauważył, że Deke równie ostrożnie siadał na małej kanapce.

W rogu stało małe biurczko, a na nim zamknięty laptop. Na ścianach tego mieszkanka dla lalek wisiało dużo fotografii w ramkach. Wiele z nich przedstawiało Margaret Lewis z różnymi akademikami. Prawdopodobnie z dziekanami, profesorami i innymi notablami, którzy byli związani z wydziałem matematyki w Eubanks w czasie, gdy Margaret pracowała jako sekretarka.

Na jednej ze ścian wisiał duży kalendarz. Thomas zauważył, że przy każdym dniu było coś zapisane. Brydż. Joga. Brydż. Aerobik na basenie.

Brydż. Aktualne wydarzenia. Brydż. Wizyta u lekarza. Brydż. Wycieczka do muzeum. Brydż.

Margaret Lewis była wesołą, pewną siebie kobietą ze śniadą cerą i kręconymi srebrnymi lokami. Miała na sobie beżowy kostium ze spodniami, który kolorystycznie pasował do wystroju wnętrza. Wyglądała na osobę zadbaną i sprawną fizycznie, choć używała laski.

Thomas spojrział na zdjęcie młodego czarnego mężczyzny, uśmiechającego się do aparatu ze stopni imponującego budynku.

- To mój syn - powiedziała z dumą Margaret. - Pracuje na uniwersytecie w Waszyngtonie.

Usiadła na krześle w kwiatki, witając każdego po kolei skinieniem głowy, gdy Cassie dokonywała prezentacji. Kiedy zakończono część oficjalną, Margaret spojrzała na Thomasa z żywym zainteresowaniem w ciemnych oczach.

- Co się panu stało? - zapytała, - Bił się pan z kimś?

- Wypadek - odparł. - Biegacz na mnie wpadł. Zacmokała z dezaprobatą.

- Nie rozumiem tego wariactwa z bieganiem. Zupełny nonsens. Stawy kolanowe się zużywają.

Thomas skinął głową.

- Też o tym słyszałem.

- Artretyzm szybko atakuje. Osiemdziesiąt procent ludzi, którzy przychodzą na aerobik na basenie ma sztuczne kolana. Jak pan myśli, dlaczego używam laski? Właśnie założyli mi protezę drugiego kolana.

- Rozumiem.

Obdarzyła go kolejnym uśmiechem.

- To miło, gdy młody człowiek ma na tyle rozumu, żeby posłuchać dobrej rady.

Miło jest być nazwanym młodym człowiekiem, pomyślał Thomas. Margaret Lewis przeniosła uwagę na Deke'a.

- Ojej, czy dzisiaj wszyscy wykładowcy w Eubanks noszą brody? Cassie skryła uśmiech.

Deke się zaczerwienił.

- Jestem na rocznym urlopie.

- Rozumiem. Proszę posłuchać rady starej sekretarki wydziału. Jeśli chce pan zrobić karierę w Eubanks, niech pan zgoli brodę. Oni tam są okropnie konserwatywni. Przynajmniej byli za moich czasów.

- Pomyślę o tym - mruknął Deke.

- W dodatku wygląda pan o dziesięć lat starzej. Proszę się częstować ciasteczkami.

Thomas nie dał się długo prosić. Deke też nie. Obaj sięgnęli po ciasteczka. Margaret była zadowolona.

Cassie poprzestała na kawie. Podobnie jak Leonora, ale Thomas zauważył, że z grzeczności wypła tylko parę łyków z delikatnej porcelanowej filiżanki, która stała przed nią na stoliku.

Cassie chrząknęła.

- Cieszymy się, że zgodziła się pani z nami porozmawiać o morderstwie w Eubanks, Margaret. Jak już mówiłam przez telefon, zainteresowaliśmy się nim, bo dwie znajome osoby, które ostatnio zmarły, też się tym morderstwem interesowały.

- Zaczęliśmy się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma między nimi jakiegoś

związku - wtrąciła Leonora. - Przeczytaliśmy stare artykuły w gazetach, ale nic nie rzuciło nam się w oczy.

- Morderstwo w Eubanks. - Margaret delikatnie prychnęła. - W gazetach dużo państwo nie znajdują. Członkowie zarządu Eubanks College mają dzisiaj duże wpływy w Wing Cove, ale to nic w porównaniu z władzą, jaką mieli trzydzieści lat temu. Wtedy dosłownie rządili miastem. Mogli spowodować zwolnienie szefa policji albo zmusić do rezygnacji burmistrza. Nie chcieli, żeby za dużo pisać o morderstwie Sebastiana Eubanksa i tak się stało.

- W tamtych czasach na pewno wiele na ten temat plotkowano - podsunął Deke.

- Oczywiście. - Margaret zmarszczyła nos. - Całymi tygodniami krążyły najbardziej fantastyczne plotki. Jednak oficjalny werdykt mówił, że Eubanks zaskoczył tamtej nocy jakiegoś włamywacza. Taka była wersja wydarzeń preferowana przez władze uczelni.

- Co może nam pani powiedzieć o Sebastianie Eubanksie i jego śmierci? - spytała Leonora.

- Od czego by tu zacząć... - Margaret powiesiła laskę na oparciu krzesła i oparła się wygodniej o poduszki w kwiaty. - Sebastian Eubanks był ekscentrykiem, mówiąc eufemistycznie. Coraz większym, w miarę upływu czasu. Tak jak jego ojciec. W końcu stał się zdziwczającym odludkiem. Kompletnym paranoikiem.

Thomas pochylił się, opierając ręce na kolanach.

- W jakim sensie?

- Przestał widywać się ze znajomymi. Nigdy nie wychodził z domu. Podobno miał obsesję na punkcie pracy. Był naprawdę genialnym matematykiem. Ale tego już nigdy nie da się udowodnić, bo zmarł, nim zdążył coś opublikować.

- Jakie plotki krążyły po jego śmierci? - zapytał Deke.

- Sam dziekan - zaczęła powoli Margaret - ostrzegł nas przed powtarzaniem plotek. Wystawiały uczelni niekorzystną opinię i tak dalej. W tamtych latach Eubanks College był jeszcze bardziej konserwatywny niż dziś.

Thomas wymienił spojrzenia z Leonora, Cassie i z bratem.

- Minęło trzydzieści lat. Czy może nam pani powtórzyć te plotki? Margaret zaśmiała się.

- Jestem już na emeryturze, prawda? I mogę teraz robić, co chcę. Poza tym dziekan, który nas ostrzegł, nie żyje od dziesięciu lat. Nigdy go specjalnie nie

lubiłam.

- Niech nas pani nie trzyma w napięciu - poprosiła Cassie.

- W tamtych czasach - Margaret zniżyła konfidencjonalnie głos - wiele osób na wydziale i w administracji było przekonanych, że Sebastiana Eubanksa nie zamordował włamywacz, lecz jego kochanek.

Wszyscy patrzyli na nią bez słowa.

- W gazetach nic nie pisali o kochanku - wykrztusił w końcu Deke.

- Bo o takich związkach się wtedy nie pisało. Kochankiem Eubanksa był czarujący i przystojny asystent z wydziału informatyki, Andrew Grayson, którego, oczywiście, zmuszono do odejścia. Administracja bardzo na niego naciskała. Zawsze podejrzewałam, że władze zrobiły wszystko, żeby Grayson nigdy i nigdzie nie dostał etatu.

- Dlaczego władzom tak bardzo zależało na ukryciu tej poszlaki? - zapytała Leonora.

- Te głupki bały się bogatego absolwenta, który wówczas był głównym sponsorem. Zamierzał sfinansować katedrę nauk politycznych i wybudować nowe skrzydło dla biblioteki. Był wściekle antygejowski.

- Rozumiem - powiedziała Leonora. - Obawiano się, że jeśli fundator dowie się, że Sebastian Eubanks był w związku z innym mężczyzną, to zabierze swoje pieniądze i pójdzie z nimi gdzie indziej.

- Tak. - Margaret zawahała się. - Słyszałam, że szef policji przesłuchiwał Andrew. Podobno miał alibi. Jednak większość ludzi była przekonana, że to on zabił Eubanksa w trakcie kłótni kochanków.

- Co się stało z Andrew Graysonem? - spytał Deke.

- Nie mam pojęcia. Wyjechał i nigdy go w Wing Cove nie widziano. - Margaret zamyśliła się na chwilę. - Myślałam o nim od czasu do czasu przez te wszystkie lata. Był bardzo mądry. Uczelnia straciła na jego odejściu.

- Czy pani wierzy, że to on zabił Eubanksa? - zapytał Thomas.

- W żadnym wypadku. Nie wierzyłam wtedy i nie wierzę dziś.

- Dlaczego? - spytała Cassie.

- Ponieważ wiedziałam, że Andrew' Grayson zerwał z Eubanksem na miesiąc przed jego śmiercią. Wiedziałam także, że to była jego decyzja, a podjął ją ze względu na dziwaczne zachowanie Eubanksa.

Deke wyjął notes i zaczął robić notatki.



Wyszli pół godziny później. Po drodze do drzwi Leonora przystanąła przy biurczku, na którym stał komputer.

- Widzę, że jest pani podłączona.

- O, tak. - Oczy Margaret zalsniły. - Nie wyobrażam sobie życia bez moich e-maili.

- Czy abonuje pani może „Gloria's Gazette”? - spytała Leonora.

- Czytam każdy numer od deski do deski. Skąd pani wie o „Gazette”?

- Wydaje ją moja babka - oznajmiła z dumą Leonora.

- Naprawdę? Proszę jej powiedzieć, że niecierpliwie czekam na każdy numer.

Moją ulubioną rubryką jest *Spytaj Henriette*.

- Powiem jej - obiecała Leonora.

Thomas usiadł za kierownicą, Leonora obok niego, Deke i Cassie z tyłu. Wrench oparł łeb na tylnym siedzeniu. Zamknięto wszystkie drzwi i zapięto pasy.

- Dobrze - powiedział Thomas, przekręcając kluczyk w stacyjce. - Przyznaję, że wywarła na mnie duże wrażenie. Jeśli wszystkie sekretarki wydziałów są takie jak Margaret Lewis, to trzeba się z nimi liczyć.

- Bez takich kobiet rozpadłby się cały system szkolnictwa wyższego w tym kraju - stwierdziła Leonora.

- I co teraz? - spytała Cassie.

- To łatwe - odparł Thomas, wrzucając pierwszy bieg i wyjeżdżając z parkingu. - Zobaczymy, czy uda nam się znaleźć Andrew Graysona.

- Tonie problem. - Deke sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął palmtop. - Jeśli żyje, na pewno go znajdę. Znajdę go, nawet jeżeli nie żyje.

W samochodzie zapadła cisza.

Kilka minut później Deke podniósł głowę znad mikroskopijnego ekranu komputera.

- Mam. Ostatni znany adres.

- Tak szybko? - zdziwiła się Leonora. Thomas zerknął we wsteczne lusterko.

- Jesteś pewien, że to nasz Andrew Grayson?

- Wiekowo pasuje. - Deke jeszcze przez kilka minut stukał w klawisze, - Jest na emeryturze. Mam jego numer ubezpieczeniowy z akt uniwersytetu. Wszystko się zgadza. Tu mam napisane, że przez dwa i pół roku pracował w Eubanks College. Tak, był tam wtedy, kiedy zamordowano Eubanksa.

- To nasz facet. - Thomas poczuł przyływ energii. - Co robił przez ostatnie

trzydzieści lat?

- To mi zabierze trochę czasu - odparł Deke. - Ale mogę wam powiedzieć jedno, facet się nie ukrywa. A sądząc po adresie, mogę tylko powiedzieć, że niezależnie od jego kariery akademickiej morderstwo z pewnością nie zrujnowało mu życia.

- Gdzie mieszka? - spytała Cassie. Deke spojrzał na ekran.

- Mercer Island. To jest na środku jeziora Waszyngton, między Seattle i Bellevue.

- Droga okolica - zauważył Thomas. - Masz rację, powiodło mu się w życiu.

Leonora położyła rękę na oparciu siedzenia.

- Proponuję, żebyśmy porozmawiali z Andrew Graysonem. Jak najszybciej. Możemy być w Seattle za niecałe dwie godziny.

Thomas zerknął na zegarek.

- Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy tam jechali. To strata czasu i energii. Graysona odwiedzę ja i Leonora. Deke, teraz, kiedy mamy nowe ślady, powinien skoncentrować się na szukaniu w Internecie wszystkiego, co miałyby związek z Graysonem i Eubanksem.

- Tak jest. Cassie ma po południu zajęcia, więc i tak nie moglibyśmy z wami jechać.

- Załatwione. - Thomas zwolnił na zakręcie przed domem Deke'a. - Ty i Cassie zostańcie tutaj. Ja z Eleonorą pojedę do Seattle. Zadzwonimy, jak tylko skontaktujemy się z Graysonem.

## ROZDZIAŁ 16

Cassie zatrzymała się w niewielkim ciemnym przedpokoju. Deke powoli zamknął za sobą drzwi, szukając słów, aby wyrazić swoją wdzięczność.

- Dziękuję. - To zabrzmiało dość słabo. Zaczął jeszcze raz. - Gdybyś nie pomyślała o Margaret Lewis, nie dowiedzielibyśmy się tego wszystkiego.

- Mam nadzieję, że informacje na coś się przydadzą.

- Nie wiem, dokąd nas zaprowadzą, ale przynajmniej nie stoimy w miejscu.

Nie poruszyła się, żeby zdjąć płaszcz, lecz spojrzała na zegarek.

- Jest prawie południe. Muszę iść. Mam dużo zajęć. Chciałabym jeszcze coś zjeść.

Nie chciał, żeby sobie poszła. Jeszcze nie. Chciał z nią porozmawiać. Omówić to, czego się dowiedzieli od Margaret Lewis. Powiedzieć jej, o swoich poszukiwaniach. Mógłby nawet porozmawiać o pogodzie. Po prostu chciał, żeby jeszcze trochę została.

Gorączkowo szukał natchnienia. I znalazł, kiedy jego wzrok padł na pół bochenka chleba na kuchennym blacie.

- Ja też muszę się zabrać do pracy - powiedział. - Oboje jednak powinniśmy coś zjeść - dodał niby zdawkowym tonem. - Będę robił kanapki. Tobie także mogę zrobić.

Zawahała się, a potem wzruszyła ramionami.

- Dobrze.

Wpadł w panikę i nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Modlił się w duchu, aby miał w lodówce coś, z czym mógłby zrobić kanapki. Wszystko jedno co. Choćby kawałek sera. Chleb był lekko czerstwy, ale mógł go przypiec w tosterze.

- Świetnie - stwierdził słabym głosem.

Przeszedł obok Cassie, zamierzając pójść do kuchni, ale zatrzymał się w drzwiach do dużego pokoju. Dzień za oknem był szary i mglisty, a pokój wyglądał jak wnętrze jaskini.

- Odślonię zasłony - zaproponował i ruszył do najbliższego okna. Uśmiechnęła się szeroko.

- Dobry pomysł.

Przechodził od jednego okna do drugiego, rozsuwając zasłony i wpuszczając do środka szare światło dnia. Kiedy się rozejrzył, doszedł do wniosku, że w pokoju wciąż jest trochę ponuro. Przed wyjściem do kuchni zapalił kilka lamp.

Na środkowej półce lodówki znalazł kawałek sera i dokładnie go obejrzał. Nie

widać było pleśni. To musi być mój szczęśliwy dzień, pomyślał zadowolony.

Gdy Deke robił kanapki, Cassie przygotowała kawę. Dobrze było krzątać się z nią po kuchni. Ciekawe, jak ona to odbiera?

- Niezupełnie lazania i szarlotka - powiedział, stawiając przed nią talerz z grzanką z serem. - Muszę zrobić jakieś zakupy.

- Wygląda doskonale. - Usiadła naprzeciwko i wzięła połowę kanapki. - Jestem głodna.

Zafascynowany przyglądał się, jak je to, co dla niej przygotował. Dlaczego nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, by zaprosić ją na lunch?

Przerwała jedzenie i rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Coś nie tak?

- Nie, nie. - Zażenowany wziął swoją kanapkę i zaczął jeść. Przez chwilę jedli w milczeniu. Deszcz skapywał jednostajnie z dachu ganku za kuchennym oknem.

- Muszę cię o coś spytać, Deke - powiedziała w końcu Cassie.

- Jasne. - Przełknął nerwowo ślinę. - Co takiego?

- Czy gdy ta sprawa się skończy, będziesz mógł przestać obsesyjnie myśleć o Bethany?

Deke milczał, zaszokowany.

- Muszę to wiedzieć - wyjaśniła spokojnie. - To dla mnie bardzo ważne.

Na moment zamknął oczy, starając się uporządkować myśli. Kiedy je otworzył, zobaczył, że Cassie uważnie mu się przygląda.

- Prawda jest taka - powiedział, starannie dobierając słowa, zarówno ze względu na siebie, jak i na Cassie - że na trzy dni przed śmiercią Bethany powiedziałem jej, że chcę się rozwieść.

- Rozumiem. - Ugryzła kolejny kęs kanapki.

- Miałem okropne wyrzuty sumienia. Wiedziałem, że potrzebowała mojej opieki, ale ja też od niej czegoś potrzebowałem. Tymczasem po trzech latach małżeństwa wiedziałem, że tego od niej nie dostanę.

- Czego?

- Chciałem po prostu mieć żonę. - Wzruszył ramionami. - Kogoś, kto spałby ze mną, a nie zostawał na noc w biurze. Kogoś, kto od czasu do czasu pamiętałby, że jestem mężczyzną, a nie lokajem czy osobistym sekretarzem. Chciałem mieć dzieci, ale Bethany przeszkadzałyby w pracy.

- Rozumiem. Jak to przyjęła, kiedy jej powiedziałeś, że chciałbyś się rozwieść?

- Prawdę mówiąc, nie jestem całkiem pewien, czy w ogóle usłyszała, co do niej mówiłem. Od wielu tygodni była całkowicie zaprzątnięta swoją Teorią Luster. Skupiona na pracy. Powiedziała, że porozmawiamy o tym później, bo jest bardzo, bardzo zajęta. Przez następne dwie noce nie wróciła do domu. Trzeciej nocy zjawił się Ed Stovall, aby mnie poinformować, że Bethany pojechała samochodem do Cliff Drive i rzuciła się ze skały.

- Przepraszam, że o to pytam, ale czy jesteś pewien, że nie było innego mężczyzny?

Deke pokręcił głową.

- Absolutnie. Zrozumiałabyś to, gdybyś ją знаła. Bethany żyła wyłącznie pracą. Nie byłaby zainteresowana romanssem.

Cassie powoli odłożyła ostatni kawałek kanapki.

- Przez to twoje wyrzuty sumienia były dużo gorsze, prawda?

- Tak. - Znów szukał właściwych słów. - Byłoby mi łatwiej, gdyby kogoś miała.

A tak czułem się paskudnie, ponieważ wiedziałem, że Bethany na mnie polega.

- I teraz czujesz, że musisz dla niej zrobić tę ostatnią rzecz, tak?

- Tak.

- To jest w porządku - powiedziała cicho Cassie. - Gdyby mnie się kiedykolwiek przytrafiło coś okropnego i niewyjaśnionego, chciałabym wiedzieć, że komuś na tyle na mnie zależało, że postanowił poznać prawdę.

Deke odetchnął głęboko.

- Mnie by zależało. Dziwnie to zabrzmiało.

- Bardzo - dodał. Jeszcze dziwniej.

- Kurczę, Cassie, nawet nie chcę myśleć, że mogłoby ci się coś stać.

- To dobrze - odparła - boja mam te same odczucia wobec ciebie. Nie była to, w zasadzie, deklaracja miłosna. Ale na razie wystarczyła.

Thomas zatrzymał samochód na podjeździe przed domem Andrew Graysona. Leonora przyglądała się posiadłości przez okno.

Duży dom zajmował cenny kawałek ziemi nad brzegiem wody. Piękny zielony ogród otaczał lekki nowoczesny budynek z widokiem - z jednej strony - na jezioro, a z drugiej - na wieżowce w Seattle. Na skraju szerokiej drogi, przed garażem, stały dwa drogie europejskie samochody.

- Deke miał rację - zauważyła. - Andrew Grayson na pewno nie stracił finansowo po śmierci Sebastiana Eubanksa.

- A sądząc po tym, jak mnie potraktował przed chwilą przez telefon, nie ma nic przeciwko temu, żeby nam o tym opowiedzieć.

Wysiedli z samochodu i podeszli do lśniących głęboką czerwienią podwójnych drzwi. Gdy Thomas sięgał ręką do dzwonka, drzwi otworzyły się.

Na progu stał srebrnowłosa mężczyzna o patrycjuszowskich rysach twarzy. Miał na sobie kremową koszulę i ręcznie szyte spodnie. Jego oczy błyszczały inteligencją, choć widać w nich było także pewną nieufność.

- Panna Hutton i pan Walker? Jestem Andrew Grayson. Proszę wejść.

- Dziękujemy - powiedziała Leonora.

Thomas wyciągnął rękę.

- Thomas Walker.

Andrew mocno uściskał dłoń Thomasa, przyglądając się jednocześnie jego podbiteму oku.

- Czy mogę spytać, co się stało?

- Tak, ale łatwiej mi będzie wyjaśnić to w kontekście całości. Andrew skinął głową.

- Proszę tędy.

Leonora i Thomas przeszli za nim przez szeroki i wysoki na dwa piętra hol i weszli do dużego salonu. Panoramiczne okna, sięgające od podłogi do sufitu, wychodziły na jezioro. Między domem a jeziorem rozciągał się zielony trawnik. W prywatnym porcie stał zgrabny jacht.

Mężczyzna, wiekiem zbliżony do Andrew, lecz zdecydowanie grubszy i bardziej łyśy, pracował w porcie. Podniósł zwój liny i znikł na jachcie.

- To mój partner, Ben Matthis - wyjaśnił Andrew i gestem wskazał na czarne lakierowane krzesła, obite brązową skórą. - Proszę usiąść.

Leonora odwróciła się od okna i usiadła obok Thomasa.

- Dziękujemy, że zgodził się pan nas od razu przyjąć - powiedział Thomas.

Andrew usiadł na czarnej skórzanej kanapie i oparł się wygodnie.

- Muszę przyznać, że mnie pan zaintrygował. Czekaając na państwa, wszedłem do Internetu i w informacjach o śmierci tych dwóch kobiet, o których pan wspomniał, nie znalazłem niczego, co by je łączyło z morderstwem Sebastiana Eubanksa.

Thomas położył ręce na kolanach i spojrzał na Leonorę.

- Nie jesteśmy pewni, czy istnieje jakiś związek - zaczął - ale wiemy, że niedługo przed śmiercią Bethany Walker interesowała się szczegółami morderstwa Eubanksa.

Druga kobieta, Meredith Spooner, znalazła wycinki z gazet, które Bethany wcześniej schowała. Niedługo później Meredith także zginęła. Obie kobiety bezpośrednio przed śmiercią spędzały dużo czasu w Domu Luster i obie pomawiano o zażywanie narkotyków.

- W to ostatnie nie wierzymy - wtrąciła Leonora. - Jesteśmy absolutnie przekonani, że ani Bethany, ani Meredith nie miały nic wspólnego z narkotykami.

- I to wszystko? - spytał Andrew.

- Nie. - Thomas pokazał na swoje oko. - Dziś w nocy jakiś facet w kominiarce usiłował zepchnąć mnie z mostu. Był potwornie naćpany. Szef policji twierdzi, że chłopak prawdopodobnie nie będzie niczego pamiętał.

- Ale pan nie sądzi, że był to przypadkowy akt agresji, tak?

- Tak. Podejrzewam, że w całą tę sprawę zamieszany jest oszust, niejaki Alex Rhodes, który nie chce, żebyśmy się tym wszystkim interesowali.

- Fakt, że dotarliście do mnie, oznacza, że wasze śledztwo zaszło dość daleko - stwierdził po krótkim namyśle Andrew. - Władze uczelni stawały na głowie, żeby po mojej wymuszonej rezygnacji nikt nie dowiedział się, iż utrzymywałem jakiegokolwiek kontakty z Eubanksem.

- Pomogła nam Margaret Lewis - przyznała Leonora.

Na twarzy Andrew odmalowało się niedowierzanie, a potem rozbawienie.

- Ach, tak. Sekretarka wydziału. To wszystko wyjaśnia. Cieszę się, że wciąż żyje. Zdumiewająco kompetentna kobieta.

- Co może nam pan powiedzieć o morderstwie? - spytał Thomas.

- O morderstwie? Nic. - Andrew uniósł rękę. - Poza tym, że ja go nie zamordowałem. I nigdy nie słyszałem o tym Aleksie Rhodesie. Ale, jeśli chcecie, mogę wam opowiedzieć o Sebastianie Eubanksie.

- Margaret mówiła, że Eubanks stał się wielkim ekscentrykiem - wtrąciła Leonora.

Andrew prychnął.

- Był maniakiem matematycznym. Urodzonym ekscentrykiem. Trzeba mu było przypominać o zmianie bielizny. Jednak prawdą jest, że w ostatnich miesiącach stał się jeszcze dziwniejszy. Miał wręcz obsesję na punkcie swojej pracy.

- Obsesja to poważne słowo - rzucił Thomas.

- W tym wypadku jak najbardziej na miejscu. Prawdę mówiąc, wtedy uważałem, że stracił kontakt z rzeczywistością. Był geniuszem, choć niewiele osób

zdawało sobie z tego sprawę, ponieważ zginął przedwcześnie i nie zdążył tego dowieść. Ja jednak przez kilka miesięcy byłem z nim blisko i mogłem obserwować, jak pracuje jego genialny umysł. To było niewiarygodne. Wprost niewiarygodne.

- Nie byłby pierwszym geniuszem, który oszalał - stwierdziła cicho Leonora.

- To prawda, jednak to jego paranoja spowodowała nasze rozstanie, a nie geniusz. Niemniej jednak po jego śmierci uznałem, że może miał powody do paranoi.

- Nie uwierzył pan w teorię o włamywaczu przyłapanym na gorącym uczynku? - spytał Thomas.

- Wtedy uwierzyłem. - Andrew założył nogę na nogę. - Wiedziałem, że to nie ja go zabiłem i nie było żadnych innych podejrzanych.

Przez te wszystkie lata jednak często o tym myślałem i doszedłem do pewnych wniosków. Oczywiście są to jedynie spekulacje. Nie mam cienia dowodu.

- Przyjechaliśmy tu, aby wysłuchać tych spekulacji - powiedziała Leonora. - Jesteśmy do nich przyzwyczajeni. Jak do tej pory, nie zajmujemy się praktycznie niczym innym.

- Widzę. Ostrzegam przy tym, że próby udowodnienia mojej teorii się nie powiodą.

- Dlaczego, pańskim zdaniem, Eubanks został zamordowany? - zapytał Thomas.

- Z powodu najstarszej przyczyny w akademickim świecie. Thomas zmarszczył brwi.

- Ktoś go przyłapał w łóżku z nieodpowiednią osobą?

- Nie, ktoś chciał ukraść pracę Sebastiana i opublikować jako własną.

- O, mój Boże - szepnęła Leonora. - Publikuj albo giń. Dosłownie.

- W świecie akademickim rządzą takie same prawa jak w świecie zwierząt. Jest bardzo darwinowski - powiedział Andrew. - Ale państwo to wiedzą, prawda? Z informacji, jakie znalazłem w Internecie, wynika, że pani pracuje w bibliotece w Piercy College, czy tak?

- Tak. - Poprawiła okulary. - I pierwsza przyznam, że w naszym środowisku sprawy często stawiane są na ostrzu noża, nigdy jednak nie słyszałam, żeby ktoś mordował dla publikacji.

- Każdy policjant powie pani, że ludzie mordują z o wiele błahszych powodów. Ale w tym wypadku chodziło o coś więcej niż publikacja jakiegoś mało ważnego tekstu w nieznanym piśmie akademickim, który i tak przeczytałoby zaledwie kilka osób i



szybko o nim zapomniało.

Przerwał na chwilę. Thomas i Leonora milczeli.

- Byłem wówczas jedną z dwóch osób na uczelni, które wiedziały, o co chodzi w pracy Sebastiana. W trakcie naszej znajomości trochę opowiadał mi o swoich teoriach. Nie umiał się powstrzymać. Musiał o nich z kimś dyskutować, a ja byłem pod ręką. - Lekceważąco machnął ręką. - I w dodatku doskonale wiedział, że nie potrafiłbym ukraść jego pracy i opublikować jako własnej.

- Dlaczego nie? - spytał Thomas.

- Pracowałem na wydziale informatyki i byłem bardziej inżynierem niż matematykiem. Mój umysł nie pracował tak, jak umysł Sebastiana. Nie potrafiłbym napisać niczego z sensem, nawet gdybym miał nieograniczony dostęp do jego notatek. A go nie miałem.

- Ale może miał ktoś inny? - podsunęła cicho Leonora. Andrew spojrzał przez okno na jacht.

- Jak już mówiłem, chodziło o znacznie więcej niż tylko o publikację matematycznej teorii. Gra szła o sławę i pieniądze. Nie mówiąc o reputacji, która w kołach akademickich przetrwałaby pokolenia.

- Niech pan mówi dalej - rzucił Thomas.

- Na wydziale matematyki w Eubanks pracował niesłychanie ambitny asystent, który potrafił zrozumieć wszystkie implikacje teorii Sebastiana. Przez jakiś czas się przyjaźnili, a potem się pokłócili. Sebastian stracił do niego zaufanie.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał Thomas.

- Latami nad tym rozmyślałem i często zastanawiałem się, co by było, gdybym poważniej potraktował obawy Sebastiana. Może mógłbym coś zrobić, choć do dziś dnia nie mam pojęcia co.

- Ja też tego nie wiem - powiedziała Leonora. - Przecież nie mógł pan odgadnąć, że ktoś zechce go zabić, aby ukraść jego pracę.

- Nie - westchnął Andrew. - Wówczas nie przyszło mi do głowy, że Osmond Kern potrafiłby zabić, żeby trafić do podręczników matematyki.

## ROZDZIAŁ 17

Andrew odprowadził ich do drzwi. - Morderstwo Sebastiana było punktem zwrotnym w moim życiu. Poważnie zastanowiłem się nad przyszłością i doszedłem do wniosku, że się nie nadaję do kariery naukowej, nawet zakładając, że znalazłbym kolejną tego typu pracę. Zacząłem więc pracować w lokalnej firmie komputerowej. Ben też tam pracował. Nieźle zarobiliśmy, gdy firma weszła na giełdę.

Thomas z rozbawieniem spojrzął na dom.

- To widać.

- Jak wykorzystacie moje informacje? - spytał Andrew. Leonora wymieniła spojrzenie z Thomasem, a ten wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiemy - odparł. - Nadal usiłujemy dopasować do siebie kawałki układanki.

- Jeśli coś wyniknie z państwa poszukiwań, chciałbym się o tym dowiedzieć.

- Będziemy w kontakcie - obiecał Thomas. Andrew skinął głową.

- Byłbym zobowiązany. Sebastian był bardzo trudnym człowiekiem. Irytującym. Wybitnym. Ekscentrycznym. Zupełnie nie potrafił współżyć z ludźmi. Ale przez jakiś czas byliśmy blisko. Zasłużył na to, żeby ten cholerny algorytm nosił jego nazwisko. Chciałbym, by znalazł swoje miejsce w podręcznikach matematyki.

Leonora zamierzała coś powiedzieć, jednak zrezygnowała na widok dużego samochodu, który podjeżdżał pod dom. Za kierownicą siedziała kobieta, a na tylnym siedzeniu dwoje dzieci.

- Bliźniaczki mojej siostrzenicy - wyjaśnił Andrew. - Ten łobuz, ich ojciec, wystąpił w zeszłym roku o rozwód i ożenił się po raz drugi. Teraz nie ma czasu dla córek. Dziewczynki zaczęły mieć problemy w szkole. Wiedzą państwo, jak to jest.

- Tak. - Thomas przypomniał sobie, jak bardzo pogorszyły się jego stopnie po rozwodzie rodziców. - Wiem, jak to jest.

- Rodzina doszła do wniosku, że Katie i Clara potrzebują towarzystwa odpowiedniego mężczyzny, żeby nie dorastały w przekonaniu, że wszyscy mężczyźni są nieodpowiedzialni i nie warci zaufania, jak ich tata. W rezultacie przyjeżdżają tu kilka razy w tygodniu. - Andrew uśmiechnął się. - Niech tam, jestem odpowiedzialnym mężczyzną, a poza tym jestem na emeryturze i mam dużo czasu.

Samochód zatrzymał się. Kobieta za kierownicą pomachała Andrew. Odwzajemnił pozdrowienie. Tyłne drzwi otworzyły się i z samochodu wypadły dwie

małe dziewczynki.

- Wujek Andrew!

- Wujek Andrew!

- Pomagam im w lekcjach i ostatnio nie mają już problemów w szkole - stwierdził z dumą Andrew.

- Gratulacje - powiedziała Leonora.

- Przydałby mi się taki wujek, gdy byłem w szkole - westchnął Thomas.

Nim dojechali do zjazdu na Wing Cove, krótki dzień powoli dobiegał końca. Mgła, która wcześniej jedynie pokryła rosą przednią szybę, przez ostatnie trzydzieści kilometrów zmieniła się bez ostrzeżenia w gwałtowny deszcz. Thomas zwiększył tempo pracy wycieraczek i zjechał na właściwy pas autostrady.

Kiedy opuścili dom Andrew Graysona na Mercer Island, długo rozmawiali, ale nie doszli do żadnych konkretnych wniosków.

- Musisz przyznać, że niektóre informacje do siebie pasują - stwierdziła Leonora. - Szukaliśmy śladów i częściowo je znaleźliśmy. Załóżmy, że Bethany w trakcie swojej pracy zaczęła podejrzewać, że to Sebastian Eubanks był ojcem algorytmu. Załóżmy, że doszła do wniosku, iż Osmond Kern ukradł pracę i opublikował jako własną. Załóżmy, że powiedziała mu o swoim odkryciu.

Thomas koncentrował się na prowadzeniu samochodu.

- Myślisz, że to Kern ją zamordował, żeby nie wyjawiała jego tajemnicy?

- Czemu nie? Jeśli trzydzieści lat temu zabił Eubanksa, żeby dostać algorytm, dlaczego nie miałby zabić po raz drugi, żeby sekret się nie wydał?

- I co dalej? Uważasz, że Meredith natknęła się na tę samą informację, więc ją także zabił? Co by ją obchodziło trzydziestoletnie odkrycie matematyczne?

- Dzięki temu algorytmowi Kern stał się bogaty. Może usiłowała go szantażować?

Thomas zwolnił trochę ze względu na zapadający zmierzch i duży deszcz.

- Mogę sobie wyobrazić, że próbowała szantażu i została zamordowana, ale to nie wyjaśnia roli Aleksa Rhodesa. Ani plotek o narkotykach.

Leonora zamilkła.

Byli teraz na Cliff Drive. Thomas zwolnił jeszcze bardziej, gdyż widoczność była mocno ograniczona. Na dole kotłowały się w ciemnościach zimne głębokie wody cieśniny.

Nagle we wstecznym lusterku zaśniły reflektory. Z tyłu szybko nadjeżdżał jakiś

samochód. Światła znikły, kiedy Thomas wjechał w następny zakręt.

- Rhodes mieszka tu od mniej więcej roku - powiedział Thomas. - Kto wie, czego się mógł dowiedzieć od któregoś ze swoich klientów. Margaret Lewis i Andrew Grayson na pewno nie są jedynymi ludźmi, którzy mają podejrzenia w sprawie morderstwa Eubanksa.

- Uważasz, że Alex domyślił się roli Kerna? - Leonora zastanowiła się przez moment. - Jeśli tak, to może szantażować Kerna. I zabił Bethany oraz Meredith, kiedy się niebezpiecznie zbliżyły do wykrycia prawdy, żeby chronić źródło swych dochodów.

- Jest w tym rozumowaniu pewna logika.

Światła jadącego za nimi wozu znów zabłyśły w lusterku. Thomas przesunął lusterko, aby go tak nie oślepiały, choć nie na wiele się to zdało. Duży samochód był coraz bliżej.

Znowu miał to dziwne, przyprawiające o dreszcze uczucie. Paranoja.

- Nigdy niczego nikomu nie udowodnimy - stwierdziła smutno Leonora.

- Nie byłbym taki pewny. - Rzucił okiem w lusterko. Samochód jechał tuż za nimi. - Mogą być pewne możliwości. Płacenie szantażyście to tylko zwykłe transakcje finansowe. A pieniądze zawsze zostawiają ślad.

- Ale jak je znajdziemy?

- Pamiętasz ten laptop, który widzieliśmy na biurku Rhodesa, kiedy go „odwiedziliśmy”? Może Deke coś z niego wydusi.

- Chcesz znów tam pójść? - wykrzyknęła Leonora. - Nie, Thomas, instynkt podpowiada mi, że to nie jest dobry pomysł. Nie teraz. To się robi zbyt niebezpieczne. Musimy porozmawiać z Edem Stovallem...

Światła uderzyły z całą mocą w lusterko. Thomas przestał słuchać Leonory.

Samochód z tyłu szykował się do wyprzedzania.

- Cholera - zaklął cicho Thomas. Leonora zamilkła i obejrzała się za siebie.

- O, Boże, tylko jakiś morderca albo pijany usiłowałby wyprzedzać w tym miejscu, zwłaszcza przy tej pogodzie.

- Stawiam na mordercę.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział. Zbliżyli się do bardzo krótkiego odcinka prostej drogi, biegnącej wzdłuż najwyższego miejsca w Cliff Drive.

Jeśli będzie próbował, to tutaj, pomyślał.

Światła w tylnym lusterku były jasne jak słońce w południe. Nie patrzył na nie,

lecz kątem oka dostrzegał kształt samochodu, nadjeżdżającego z lewej strony!

- Sprawdź, czy masz dobrze zapięty pas.

Nie czekał, aby się przekonać, czy Leonora go posłuchała. Nie miał już czasu. Nacisnął na hamulec, usiłując wyczuć ten magiczny moment między kontrolowanym zatrzymaniem a niebezpiecznym poślizgiem, który wyrzuciłby ich w przepaść.

Ciemny pojazd z lewej strony skręci! gwałtownie w stronę błotnika ich auta, niczym metalowy rekin wyłaniający się z mroku nocy, aby przynieść śmierć.

Nagle hamowanie zaskoczyło napastnika. Żelazne szczęki nie trafiły do celu. Samochód zakręcił i przez sekundę Thomas myślał, że wpadnie na barierkę, jednak w ostatniej chwili kierowcy udało się odzyskać panowanie nad kierownicą.

Thomas zauważył, że było to czarne bmw, które teraz zniknęło za zakrętem.

Przez kilka długich jak wieczność sekund żadne z nich się nie odezwało. Patrzyli przed siebie, gdzie znikł tajemniczy samochód.

W końcu Leonora odwróciła się do Thomasa.

- Czy to tu? - szepnęła.

- Tak. - Celowo przyspieszył. - Tutaj Bethany skoczyła w przepaść.

Dwie godziny później Thomas siedział z bratem na przednim siedzeniu samochodu, pośród drzew za opuszczoną chatą niedaleko domu Aleksa Rhodesa. Przestało padać, choć chmury nadal wisiały nisko, jakby niewidzialna siła napierała z nocnego nieba.

Kilka minut wcześniej przejechali obok domu Rhodesa. Na podjeździe nie było samochodu i w oknach nie paliło się światło. Wyglądało na to, że Rhodesa nie ma w domu.

- Pewnie poszedł do pubu - stwierdził Deke. - Może postanowił się upić. Ten wypadek musiał go niezłe nastraszyć. Z tego, co mówiłeś, wygląda na to, że mało brakowało, a wyleciałby za barierkę, gdy nagle zahamowałeś. Zdał sobie sprawę, że sam był bliżej śmierci niż ty.

- Mam nadzieję, że gnojek trochę się przestraszył - wycedził Thomas.

- Jesteś pewny, że to był Rhodes? W tym mieście jest bardzo dużo ciemnych bmw z napędem na cztery koła.

- Absolutnej pewności nie mam, ale musisz przyznać, że lista potencjalnych kandydatów jest bardzo krótka.

- To mógł być też Osmond Kern. Wydaje mi się, że jeździ ciemnoniebieskim bmw. A jeśli Andrew Grayson ma rację, Kern potrafi zabić.

- Może, jednak ja stawiam na Rhodesa.

- Dlatego że jesteś na niego wściekły za to, że podrywał Leonorę i być może namówił tego chłopaka, żeby napadł na ciebie wczoraj w nocy.

- Dobrze, jestem lekko uprzedzony. - Thomas otworzył drzwi. - Idziemy? Zróbmy to i się pospieszmy, tak jak obiecaliśmy Leonorze i Cassie. Wchodzimy, ty przegrywasz co się da z laptopa i wychodzimy.

- A jeżeli nie złamię jego zabezpieczeń?

- To zabierzemy komputer. Do diabła! Niech leci do Eda Stovalla i się skarży, że ktoś mu go ukradł.

- Dobrze. - Deke wysiadł i zasunął suwak kurtki. - To powinno być ciekawe.

Ruszyli między drzewa, w kierunku ciemnego domu na końcu alei.

Leonora siedziała naprzeciwko Cassie, a przed nią stała filiżanka słabej herbaty. Młody człowiek za barem bardzo się starał, ale co można zrobić z torebką kiepskiej herbaty i wodą która się nawet nie zagotowała.

Zresztą to nie ma większego znaczenia, pomyślała ponuro. I tak nie mogła się absolutnie na niczym skoncentrować. Martwiła się wyłącznie o Thomasa i Deke'a.

Pub z restauracją Ogniste Skrzydła był pełen studentów, wykładowców i mieszkańców miasta, którzy tego wilgotnego, chłodnego wieczoru szukali ciepła i towarzystwa. Na małej scenie grupka muzyków grała spokojny jazz.

Cassie wzięła butelkę wody mineralnej i wlała jej zawartość do szklanki z lodem.

- Nie jestem pewna, czy zachwyca mnie fakt, że siedzimy tu beczynninie, a nasi panowie narażają się na niebezpieczeństwo.

- Wiem. co czujesz. Musisz jednak przyznać, że Thomas miał rację, kiedy mówił, że nie ma sensu, żebyśmy w czwórkę poszli do domu Aleksa. Z nas wszystkich oni mają największą szansę, żeby zrobić dziś wieczorem coś pożytecznego. Thomas zna się na transakcjach finansowych, a Deke na komputerach.

- Nie podważam słuszności tej decyzji, tylko nie jestem zadowolona, i tyle. - Cassie wzięła z małego talerzyka precel. Żuła przez chwilę, po czym przełknęła i pochyliła się do Leonory. - Naprawdę myślisz, że to Rhodes chciał was zepchnąć w przepaść?

Leonora zadrżała.

- Rhodes albo Kern. To musiał być któryś z nich. Ja stawiam na Rhodesa. Kern, moim zdaniem, za dużo pije, żeby tak precyzyjnie prowadzić.

Na twarzy Cassie malował się niepokój.

- To wszystko jest okropnie dziwne. Mam nadzieję, że to nie są jakieś zbiorowe halucynacje.

- A istnieje coś takiego, jak zbiorowe halucynacje?

- Jasne. Występują bardzo często. Historia zna wiele takich przypadków.

- To fantastycznie. - Leonora napiła się herbaty. - Jeszcze jeden problem.

Milczały przez chwilę. Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Goście też.

- Z tego wszystkiego jedno jest dobre - stwierdziła z przekonaniem Cassie. - Deke się zmienia. Po raz pierwszy rozmawiał ze mną o swoim małżeństwie.

- To dobrze. - Leonora poklepała ją po ręku.

- Męczą go wyrzuty sumienia, bo na trzy dni przed śmiercią Bethany zażądał rozwodu.

- I dlatego tak bardzo przeżył werdykt o samobójstwie, tak?

- Aha. Nie uwierzył w to. Co więcej, nie mógł sobie pozwolić, aby uwierzyć, bo to by oznaczało, że mógł być odpowiedzialny za to, co zrobiła.

- Okropność. Cassie skinęła głową.

- Zjadało go to od środka. Ale teraz się przełamał. Dzięki tobie.

- Nie miałam z tym nic wspólnego. Podobnie jak ty czy Thomas. Deke sam z tego wychodzi. Możemy wyciągać do siebie pomocne dłonie i zażywać lekarstwa przepisane przez lekarzy, ale ostatecznie każdy z nas musi samodzielnie dopłynąć do brzegu. Nikt nie może nieść na plecach drugiego człowieka. W każdym razie niedługo.

Cassie wykrzywiła się.

- To bardzo darwinowski punkt widzenia.

- Jak często powtarzają biolodzy, wszyscy pochodzimy od ludzi, którzy zrobili wszystko, żeby przeżyć. - Leonora zamilkła na chwilę. - To zabawne, że użyłaś właśnie tego określenia.

- Darwinowski?

- Tak. Andrew Grayson też go użył, opisując życie na uczelni.

- Musisz przyznać, że słowo „darwinowski” doskonale określa politykę uniwersytecką.

- To prawda, jednak do tej pory nie traktowałam powiedzenia „publikuj albo giń” tak dosłownie.

- Nadal nie mamy pewności, że Kern zamordował Eubanksa. - Cassie urwała nagle, gdy na ich stół padł czyjś cień.

Leonora podniosła wzrok.

- Leo - powiedział Ky1e z serdecznym entuzjazmem, który brzmiał okropnie fałszywie. - Szukałem cię. Gdzie się podziewałaś? Dzwoniłem do ciebie parę razy, ale nikt nie odbierał.

- Byłam cały dzień zajęta.

- Ach, tak? - Uśmiechnął się znacząco do Cassie. - Przedstawisz mnie swojej przyjaciółce?

- To jest Ky1e Delling. Pracuje na wydziale anglistyki w Piercy. Ky1e, to jest Cassie Murray. Prowadzi studio jogi w Wing Cove.

- Miło mi panią poznać. - Biorąc prezentację za zaproszenie, Ky1e usiadł przy stoliku i objął Leonorę ramieniem. - Wiesz, Cassie, jesteśmy z Leonora więcej niż dobrymi znajomymi. Byliśmy zaręczeni.

- Rozumiem. - Cassie. spojrzała na Leonorę. - Czy on już poznał Thomasa?

- Poznał. - Leonora uśmiechnęła się słodko do Kyle'a. - Pamiętasz Thomasa, prawda? Tego faceta w mojej kuchni? Tego, co wyglądał, jakby go ktoś pobił? - Spojrzała na zegarek. - Powinien być tu lada chwila.

Ky1e zeszywniał i natychmiast zabrał rękę. Wstał, rzucając im promienny uśmiech.

- Co pijecie? - spytał. - Ja stawiam.

- Dziękuję, ja herbatę - mruknęła Leonora.

- A ja wodę. - Cassie uniosła butelkę, żeby mógł odczytać nazwę.

- Zaraz wracam. - Ky1e ruszył w tłum. Cassie spojrzała na Leonorę.

- To twój były narzeczony?

- Uhm.

- Ja mam byłego męża - oznajmiła Cassie. - Z mojego doświadczenia wynika, że byli faceci nie kręcą się bez powodu wokół byłych żon czy narzeczonych.

- Ky1e ma powód!

- Chodzi mu o ciebie?

- Nie, chodzi mu o pozycję pewniejszą od byłego narzeczonego.

- To znaczy?

- Stały etat na uniwersytecie.

Był zły zimnym potem. Znów.

Tego wieczoru na Cliff Drive mało brakowało. Wciąż miał dreszcze na myśl o niebezpieczeństwie. Chodził tam i z powrotem po pokoju, myśląc o tym, że o mało nie



stracił panowania nad samochodem i nie runął w przepaść.

Czy Walker miał okazję przyrzeć się samochodowi? Nieważne. Czarnych bmw było w mieście mnóstwo. Na szczęście pamiętał, żeby zakleić tablicę rejestracyjną.

Na wszelki wypadek zostawił samochód za domem, między drzewami, żeby Walker, gdyby tędy przejeżdżał, go nie zobaczył i nie zaczął sobie czegoś kojarzyć. Co z oczu, to z serca. W tym wypadku z głowy.

Nie mógł opanować zdenerwowania. Spojrzał na roleksa. Za chwilę miała się zjawić nowa klientka i na tym usiłował się skupić. Była olśniewająca. Blondynka. Supercycki. Trochę przypominała Meredith.

O Meredith nie należało myśleć. Wszystko zaczęło się psuć po Meredith.

Nowa klientka.

Przeszedł przez pokój i odsunął z lustra czarne aksamitne zasłony. Musiał przygotować dekoracje.

Terapia oparta na teorii powrotu do przeszłego życia działała bezbłędnie. Jak tylko udało się przekonać klientkę, że w poprzednim życiu miała romans z przystojnym rozbójnikiem albo średniowiecznym rycerzem, bez trudu można ją było namówić na pozbycie się stresu w obecnym życiu przez odegranie tamtego doświadczenia seksualnego. Oczywiście pod kierunkiem specjalisty.

Dziś potrzebował seksu. To by go rozluźniło. Pomogło pozbyć się napięcia związanego z nieudanym wypadkiem na Cliff Drive. Jutro pomyśli o jakimś innym sposobie pozbycia się Thomasa Walkera. Okazało się, że niełatwo go zabić.

Może to znak? Miał dość doświadczenia, żeby wiedzieć, kiedy się wycofać. Może już za bardzo wyeksploatował szczęśliwą passę w Wing Cove. Poza tym nie był najlepszy w mordowaniu. Do tej pory nigdy tego nie próbował i najwyraźniej nie miał w tym kierunku uzdolnień. Był oszustem, a nie zabójcą.

Ta myśl go uspokoiła. Powinien zrezygnować. Oszustwa i handel narkotykami przynosiły korzyści, ale nic nie trwa wiecznie.

Zadzwoił telefon. Nie odebrał.

Ten, kto dzwonił, nie nagrał się na automatyczną sekretarkę. Przypuszczalnie to jakiś akwizytor.

Spojrzał w dół na stare, dziwaczne, wybrzuszone lustro i zobaczył dziesiątki swoich małych wykrzywionych odbić. Każde było inne i żadne nie przedstawiało prawdziwego Aleksa Rhodessa.

Lustro pokazuje prawdę, pomyślał nagle. Nie istnieje prawdziwy Alex Rhodes.

Przeszedł go zimny dreszcz. Przez tyle lat żył kłamstwem, że nie wiedział już, kim jest naprawdę. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek miał wyraźne poczucie tożsamości. Jak na ironię potrafił sprawić, żeby inni widzieli to, co chciał, ale sam nie umiał zobaczyć swego prawdziwego oblicza.

Cholera, dziwaczy. To na pewno dlatego, że jest zestresowany.

Znów spojrzał na zegarek. Gdzie ona się podziewa? Potrzebował seksu. Bardzo. Tych paru przelotnych chwil, kiedy czuł się realny. Prawie ludzki. Seks był jego narkotykiem.

Ktoś zastukał do drzwi.

Przyszła.

Odczuł ogromną ulgę. Przywołał magiczny uśmiech, ten, który mówił: „ufaj mi”, i ruszył do drzwi.

- Twoja klientka odwołała wizytę - powiedział zabójca.

- Coś tu jest nie w porządku - stwierdził Thomas. - Miało go nie być w domu.

Przed paroma minutami zadzwonił z komórki do domu Rhodesa, Nikt nie odebrał.

Teraz stali na skraju lasu i obserwowali tyły domu. Tyle na razie wynikało z ich planu, aby dostać się do środka i skopiować zawartość twardego dysku Rhodesa.

Ze swojego miejsca Thomas widział w przerwie między zasłonami niewyraźne pulsujące światło ognia na kominku. Poza tym nie było żadnego innego źródła światła.

- Ciekawe, czy zajmuje się uwodzeniem klientki - szepnął Deke.

- A gdzie jest jej samochód? I gdzie jest, w takim razie, jego bmw?

- Nie mam pojęcia. Ukryte wśród drzew? Może klientka jest mężatką i nie chce się rzucać w oczy.

- To co robimy? Przyjdziemy kiedy indziej? Thomas nie ruszył się z miejsca.

- Naprawdę chciałbym sprawdzić, czy ktoś u niego jest i kto to taki.

- Jak zamierzasz to zrobić?

- Pójdę od frontu i zastukam.

Deke spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej.

- Być może masz do czynienia z draniem, który chciał cię strącić w przepaść.

- No to co? Przecież nie zechce mnie zamordować na własnym progu. Wypadek na Cliff Drive to jedno, ale ciało przed domem trudniej wytłumaczyć.

- A dwa ciała jeszcze trudniej - stwierdził sucho Deke. - Idę z tobą. Wyszli spośród drzew. Na otwartej przestrzeni Thomas poczuł się nieswojo. Deke musiał odczuwać to samo. Przeszli w milczeniu w głęboki cień pod okapem domu.

Zza zasłon w kuchennym oknie nie widać było żadnego światła, ale kiedy pod nim przechodzili, Thomas usłyszał jakieś hałasy. Ktoś z furią otwierał i zamykał szafki.

Thomas pomyślał, że może Rhodesowi wysiadła elektryczność i szuka latarki. Taki facet z pewnością nie trzyma niezbędnych rzeczy pod ręką.

Weszli po ocienionych schodach.

Drzwi były otwarte. Pulsujące w środku światło kojarzyło się Thomasowi z biciem ludzkiego serca.

Poczuł zimny dreszcz. Coś tu było zdecydowanie nie w porządku.

- Cholera - szepnął Deke. - To mi się nie podoba.

- Rhodes! - zawołał Thomas przez uchylone drzwi. - Jest pan tam? Zapadła sekunda ciszy, a potem rozległ się odgłos ciężkich kroków.

Ktoś biegł do tylnego wyjścia. Po chwili hałas otwieranych drzwi.

Thomas dwoma krokami pokonał odległość do rogu ganku i wyjrzał zza węgła. Na skraju przecinki dojrzał ciemną postać.

Postać zatrzymała się i uniosła rękę.

Thomas szybko cofnął się za róg. Rozległ się strzał. Pocisk odłupał drzazgi z balustrady ganku.

A potem zapadła cisza.

- Uciekł - stwierdził Thomas. - I tyle się dowiedzieliśmy, kogo Rhodes dziś podejmował.

- Thomas?

Na dźwięk dziwnego tonu brata szybko się odwrócił.

- Co się stało?

Deke wpatrywał się intensywnie w uchylone drzwi.

- Mamy problem.

Thomas podszedł do drzwi i otworzył je szerzej. Z progu widział niewielki przedpokój i duży pokój, oświetlony światłem z kominka.

Na poduszkach przed niskim stolikiem leżała czarno ubrana postać.

Thomas wszedł powoli do środka i zatrzymał się przy ciele. Krew wsiąkała w dywanik za głową Rhodesa. Więcej krwi widać było na jego czarnej jedwabnej koszuli.

- Nie żyje - oznajmił Deke.

Stare lustro nie było przykryte. Thomas widział w nim dziesiątki małych kominków, odbitych w dziesiątkach małych wklęsłych i wypukłych lusterek.

Małe kawałki piekła.

Pokój był zdemolowany. W powietrzu unosiło się pierze z podartych poduszek. Zawartość powyciąganych szuflad i pootwieranych szaf wysypywała się na podłogę.

Thomas sięgnął do kieszeni po komórkę.

- Ten, kto go zabił, czegoś szukał i go przepłoszyliśmy - stwierdził Deke.

- Zawsze mówią, żeby tego nie robić. - Thomas wystukał numer policji.

- Teraz wiemy dlaczego. Można stracić życie. Z daleka usłyszeli warkot włączonego silnika.

Zgłosiła się dyżurna na policji. Thomas przekazał jej, co się stało.

- Dobra, dobra - powiedział, tracąc w końcu cierpliwość przy nie wiadomo którym pytaniu. - Zaczekamy tu na Stovalla. Mamy jakiś wybór? Niech mu pani powie, żeby po drodze wypatrywał małej ciężarówki albo kombi. Morderca odjechał jakimś dużym samochodem.

W lesie zawodził wiatr.

## ROZDZIAŁ 18

Podjazd domu był oświetlony reflektorami trzech samochodów policyjnych i dwóch karettek. Na miejsce zbrodni przybyli pracownicy szpitala, Ed Stovall z całym swoim personelem, burmistrz i reporter z „Wing Cove Star”.

Morderstwo było w małym mieście wielkim wydarzeniem.

- Obserwowałem Rhodesa od dłuższego czasu - powiedział Ed Stovall. - Miałem przecucie, że handluje narkotykami. Pracował kiedyś jako chemik, a DiL na pewno stworzono w laboratorium.

Stał sztywno wyprostowany przed błyszczącym zderzakiem policyjnego auta. Thomas doszedł do wniosku, że szef policji nie potrafiłby po prostu oprzeć się o coś niedbale. Przypuszczalnie nigdy nie był w stanie się rozluźnić.

- Elissa zaofiarowała się, że będzie moim szpiegiem - wyjaśnił Ed. - Bardzo dzielna kobieta. Uważała, że należy to do jej obywatelskich obowiązków. Dostarczyła mi próbki tego środka wzmacniającego, który sprzedawał Rhodes. Okazało się, że to kolorowe kryształki cukru i mąka kartoflana. Za to nie mogłem go aresztować, ale byłem pewny, że ma coś jeszcze na sumieniu. Zauważył pan te jego dziwne oczy?

- Kolorowe kontakty - powiedział Thomas.

- Wiem. Niesamowite.

- Wydaje mi się, że Rhodes chciał robić dramatyczne wrażenie.

- W końcu bym go przyłapał. Niestety, ktoś inny mnie uprzedził. Dwaj mężczyźni wkładali nosze z ciałem Rhodesa do karetki. Deke skrzywił się.

- Naprawdę uważa pan, że to miało coś wspólnego z narkotykami? Był wściekły i nawet nie starał się tego ukryć. Thomas nie miał mu tego za złe. Rozmowa przybierała niekorzystny obrót. Eda, jak zwykle, nie interesowały ich teorie. Wyciągnął już własne wnioski.

- Wszystko pasuje - upierał się Ed.

- Dobrze, powiedzmy, że handlował narkotykami - odezwał się Thomas. - Dlaczego jest pan taki pewien, że sprzątnęła go konkurencja?

Ed poprawił czapkę.

- Handel narkotykami to brudny interes. Dilerzy najczęściej kończą gwałtowną śmiercią.

- A dlaczego zabójca miałby potem tracić czas na przeszukanie domu Rhodesa?

- Szukał towaru i może forsy, albo jakichś kosztowności. To są oportuniści.

Rekiny. - Ed pokręcił głową. - Jedyna dobra wiadomość to taka, że ten, kto go zabił, jest już prawdopodobnie w połowie drogi do Seattle. I ktoś inny będzie musiał się nim zająć.

- Doprawdy? - Deke prychnął z oburzeniem. Ed odetchnął głęboko.

- Rano musimy spisać wasze zeznania. Mogę coś doradzić?

- Raczej nie - mruknął Deke. Ed go zignorował.

- Niech pan się trzyma faktów. I nie miesza do tego swoich prywatnych teorii dotyczących śmierci pani Walker.

- Dlaczego nie? - Deke zmrużył oczy, bo oślepiły go reflektory policyjnego wozu. - Bo to by mogło wzbudzić jakieś wątpliwości co do pańskiego śledztwa?

- Nie - odparł cicho Ed. - Bo to postawiłoby pod znakiem zapytania stan pańskiego umysłu.

- Mnie akurat głównie obchodzi pańska opinia na temat mojego umysłu, Stovall.

- Hej, daj spokój, Deke - rzucił Thomas. Ed odwrócił się do nich gwałtownie.

- Chcecie usłyszeć parę niewygodnych pytań? Po co w ogóle przyjechaliście tu dziś wieczorem?

- Już panu mówiłem - odparł Thomas. - Przyjechaliśmy, żeby porozmawiać z Rhodesem o tym, co się zdarzyło na Cliff Drive. Chciałem posłuchać jego wykrętów.

- Naprawdę pan uważa, że chciał was zabić?

- Tak. Naprawdę uważam, że chciał zabić mnie i Leonorę Hutton.

- Nie ma pan żadnych dowodów. Nawet nie zgłosił się pan na policję.

- Wiedziałem, że nie zwróci pan uwagi na kolejną skargę jednego z Walkerów.

Ed zacisnął usta.

- Powinien pan to zgłosić - powtórzył przez zaciśnięte zęby.

- I co by to dało przy pańskim nastawieniu? - odparował Deke.

- Śmierć pana żony nie ma z tym nic wspólnego - powiedział Ed zaskakująco spokojnym tonem. - Moja praca polega na zajmowaniu się faktami, a fakty są takie, że to, co się tu stało, ma wszelkie znamiona porachunków dilerów.

Deke spojrzał na Thomasa.

- Beznadziejne. Tak, jak mówiłeś.

- Nie przejmuj się. Musimy pojechać po Cassie i Leonorę. Pewnie się martwią.

Deke przeczesał palcami brodę.

- Masz rację. Rozmowa ze Stovallem to zawsze strata czasu. Chodźmy stąd.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drogi prowadzącej do starego domu,

gdzie zostawili samochód. Thomas ruszył za nim.

- Proszę zaczekać - poprosił cicho Stovall. - Jeszcze jedno. Thomas przystanął i odwrócił się. Deke niechętnie zrobił to samo. <sup>TM</sup> Co znowu?

- Trochę nad tym wszystkim myślałem.

- To musiało być bolesne - stwierdził Deke. Ed zignorował docinek.

- Rhodes przyjechał tu rok temu. Już tu mieszkał, gdy zginęła Bethany Walker. Jeśli uda mi się udowodnić, że Rhodes miał do czynienia z narkotykami, a sądzę, że nie będę miał z tym trudności, rozpatrzę ponownie sprawę samobójstwa pani Walker. Sprawdzę, czy Rhodes nie maczał w tym palców. Ponadto skontaktuję się z policją w Kalifornii i poproszę o kopię raportu w sprawie wypadku Meredith Spooner. Zobaczę, czy nie było tam jakichś powiązań, które może przegapiono.

Deke przyglądał mu się w milczeniu.

- To wszystko, co mogę zrobić - dokończył Ed.

- Doceniamy to - zapewnił Thomas. Ed skinął głową.

- Ale niczego nie obiecuję.

- To mnie nie dziwi - mruknął Deke.

Leonora pierwsza zauważyła Thomasa i Deke'a. I odetchnęła z ulgą.

- Są - powiedziała, wstając.

- Najwyższy czas. - Cassie odstawiła na stolik butelkę z niedopitą wodą mineralną i też się podniosła.

Thomas i Deke szli w ich stronę. Leonora zauważyła, że wszyscy ustępowali im z drogi. Kiedy się zbliżyli, zrozumiała, dlaczego każdy omijał ich szerokim łukiem. Obaj bracia Walkerowie patrzyli zimnym wzrokiem.

Poczuła chłód.

- Coś się stało - wyszeptała. Cassie spojrzała na Deke'a.

- Wielki Boże!

Ruszyły naprzód, mijając Kyle'a, który wracał z baru z tacą, na której stała butelka wody mineralnej i dzbanek ze świeżo zaparzoną herbatą.

- Hej - zawołał, gdy ominęły go bezceremonialnie. - Dokąd się wybieracie?

Nie zwróciły na niego uwagi. Leonora pierwsza dotarła do Thomasa i przytuliła się do niego.

- Co się stało? Nic ci nie jest?

- Nie. - Przytulił ją mocniej. - Nam nic nie jest. Cassie położyła rękę na ramieniu Deke'a.

- Co się stało?

- To długa historia. - Deke rzucił jej krzywy uśmiezek. - A mnie nikt nie przytuli?

Z cichym okrzykiem Cassie objęła go w pasie i wtuliła twarz w jego ramię.

- Musimy się napić piwa - powiedział Thomas i obejmując Leonorę ramieniem, poprowadził ich z powrotem do stolika. Wyraz jego oczu stał się jeszcze twardszy na widok Kyle'a. - A ten co tu robi?

- Nie zwracaj na niego uwagi. - Leonora złapała go za ramię i pociągnęła. - Siadaj.

Thomas posłusznie usiadł. Leonora zajęła miejsce obok niego. Deke i Cassie usiedli naprzeciwko. Kyle stał nad nimi z tacą, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić.

- Ja poproszę piwo. Z beczki - powiedział Thomas do Kyle'a.

- Dla mnie to samo - dodał Deke.

Kyle otworzył usta, zamknął je i z westchnieniem ruszył z powrotem do baru.

Leonora spojrzała na Thomasa.

- Słuchamy.

- Rhodes nie żyje.

Cassie gapiała się na niego w milczeniu.

Leonora poczuła się tak, jakby ktoś wypompował z niej całe powietrze.

- Nie żyje? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Nie żyje? Jesteś pewien?

- Tak.

- Nie... - Leonora urwała.

- Nie my - uspokoił ją sucho Deke. - Ktoś inny był pierwszy. Dostał dwa razy.

- Kto? - spytała z naciskiem Leonora.

- Nie widziałem dokładnie - wyjaśnił Thomas - ale sądzę...

- Co to znaczy: nie widziałeś dokładnie? - Leonora wstała i oparła obie dłonie na stoliku. - Widziałeś mordercę? Był tam, kiedy przyjechaliście?

- Nie za długo - wtrącił Deke. - Wystrzelił tylko raz w naszą stronę i uciekł.

- O, mój Boże - szepnęła Cassie. - O, mój Boże.

Leonora usiadła. Oparła łokcie na stoliku i zakryła twarz rękami.

- Stovall jest przekonany, że zabójstwo ma związek z narkotykami i wprawdzie bardzo niechętnie, ale muszę przyznać, że może mieć trochę racji - powiedział Thomas. - Ale my też możemy na tym skorzystać. Ponieważ po śmierci Bethany i Meredith krążyły plotki, że zażywały narkotyki, Stovall obiecał, że jeszcze raz obejrzy



raporty. I sprawdzi, czy nie ma jakiegoś powiązania z Rhodesem.

Leonora podniosła głowę.

- Masz rację, to jest pewne osiągnięcie. Thomas położył ręce na stoliku i zniżył głos.

- Nadal nie wiemy jednak, jaki to ma związek z morderstwem Eubanksa sprzed trzydziestu lat.

- Pracuję nad nową teorią - oznajmił Deke. - Zakładam, że Bethany, a później Meredith, wykombinowały, że to Kern zabił Eubanksa. I Kern, bojąc się ujawnienia zbrodni, utraty reputacji i szantażu, postanowił pozbyć się obu kobiet i potrzebował do tego pomocy.

- Rozumiem twój punkt widzenia - szepnęła Leonora. - Może Kern podejrzewał Aleksa Rhodesa o sprzedaż narkotyków? Kupił od niego DiL i otruł najpierw Bethany, a pół roku później Meredith. Bez trudu mógł zaaranżować samobójstwo i wypadek samochodowy, jeśli obie kobiety były pod wpływem silnego narkotyku.

Thomas spojrział na brata.

- Jeżeli ty i Leonora macie rację, to do czego nas to prowadzi?

- Znów do Osmonda Kerna - odparł Deke. - Może to właśnie jego zaskoczyliśmy dziś u Rhodesa. Może Kern wiedział, że jesteśmy na tropie. Musiał się pozbyć Rhodesa, ponieważ ten sprzedał mu narkotyk i jako jedyny potrafił powiązać go ze śmiercią obu kobiet.

- Jeśli masz rację, Elissa może być w niebezpieczeństwie - stwierdził Thomas.

Cassie spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Przecież to jej ojciec.

- Wydaje mi się, że Osmond Kern nie jest zbyt kochającym ojcem. - Thomas wziął komórkę. - Zadzwoń do Stovalla. Przypuszczalnie powie mi, że jestem takim samym wariatem, jak Deke, ale, z drugiej strony, interesuje się Elissą Kern. Zależy mu na niej. Będzie chciał zapewnić jej bezpieczeństwo.

Ed stał w małym ciemnym gabinecie Osmonda Kerna, gapiąc się na tekst na ekranie komputera, gdy zadzwonił telefon.

- Stovall.

- Mówi Walker. Thomas Walker. Wiem, że dziś nie chce pan słuchać o kolejnych teoriach spiskowych, ale jeśli bracia Walkerowie i ich partnerki mają rację, Elissa może być w poważnym niebezpieczeństwie.

- Już nie.

- Proszę mnie wysłuchać. Być może to Osmond Kern zastrzelił Aleksa Rhodesa, aby zatuszować morderstwo, które wydarzyło się trzydzieści lat temu.

- Wie pan co, Walker? Jest pan dobry jako detektyw. Może powinien pan rozważyć karierę w policji.

Zapadła krótka chwila ciszy. Ed słyszał rozmowy i dźwięki muzyki. Walkerowie byli w pubie Ogniste Skrzydło. Sam by się tam chemie wybrał. Nie pił dużo, lecz teraz nie odmówiłby kieliszka czegoś mocniejszego.

- Czy coś się stało? - zapytał w końcu Thomas.

- Elissa będzie dziś w nocy bezpieczna i nie sądzę, abyśmy mieli jakieś powody do niepokoju.

- Skąd ta pewność, że nic jej nie grozi? Wiem, że pana zdaniem zabójca jest już daleko, ale czy może pan ryzykować jej życie?

- Zabójca nie wyjechał z miasta - powiedział Ed. Czuł się potwornie zmęczony, lecz nie zamierzał się poddawać. Wiedział, że nieprędko pójdzie dziś spać. - Jeszcze nie wiem, gdzie jest Kern, ale niebawem go odnajdę.

- Kern? - Thomas urwał na moment, jakby zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Czy to Kern jest mordercą? Jak pan do tego doszedł?

- Nie doszedłem. Elissa zadzwoniła do mnie parę minut temu i powiedziała, że jej ojciec znikł. Zostawił list pożegnalny. - Ed spojrzał na ekran. - Napisał go na komputerze. Elissa znalazła go, kiedy wróciła wieczorem z koncertu.

- Samobójstwo - stwierdził Thomas obojętnie.

- Samobójstwo? - powtórzyła jakaś kobieta w tle. - Co jest? Co się dzieje?

To pewnie Leonora Hutton, pomyślał Ed. Siedzi obok Walkera i słucha rozmowy.

- Nie ma Kerna ani jego łodzi - wyjaśnił Ed. - Wygląda na to, że wypłynął gdzieś po powrocie od Rhodesa.

- A broń?

- Jest tutaj, w gabinecie, obok komputera. - Zawahał się, a potem doszedł do wniosku, że nie musi się przejmować policyjną procedurą. Walkerowie wiele przeszli w ostatnim roku i mieli prawo do informacji. - Nie podam panu szczegółów z listu, ale między nami mówiąc, wygląda na to, że wszystko odbyło się tak, jak wydedukowaliście pan i pański brat. A zaczęło się dawno temu od Eubanksa.

- A Bethany i Meredith?

- Wszystko tu jest. Bethany Walker groziła, że go zdemaskuje jako oszusta.

Podał jej narkotyk i zepchnął ze skały. Pół roku później Meredith odgadła, co się stało, i próbowała go szantażować. Umówił się z nią na spotkanie w Kalifornii. Powiedział, że chce dojść do porozumienia. On zapłaci raz, a ona obieca, że zniknie. Spotkali się na obiedzie w restauracji.

- Wrzucił jej narkotyk do jedzenia, a potem zaaranżował wypadek?

- Tak. I miał nadzieję, że na tym się skończy. Zakładał, że nikt nie będzie brał poważnie szalonych teorii braci Walkerów. Tymczasem sprawy zaczęły się komplikować. Na scenie pojawiła się Leonora Hutton. Zaraz potem Alex Rhodes zaczął go szantażować.

- Jest pan tego pewien?

- Wspomina o tym w liście. Poza tym Elissa sprawdzała ostatnio finanse ojca i znalazła jakieś transakcje, których nie potrafi zidentyfikować. Jest prawie pewna, że to wypłaty dla szantażysty.

- Dlaczego Kern załamał się po zabiciu Rhodesa? Ed wpatrywał się w ekran.

- Dziś omal nie dał się złapać na gorącym uczynku. Zdawał sobie sprawę, że mało brakowało, a by wpadł. Pisze, że teraz to byłaby już tylko kwestia czasu, nim wszystko by się zawaliło. I że nie może znieść myśli, że koledzy i znajomi dowiedzieliby się, że przez trzydzieści lat żył kłamstwem.

- A to, że wszyscy się dowiedzą, że oprócz Sebastiana Eubanksa zabił jeszcze trzy osoby mu nie przeszkadza?

- Mnie się wydaje, że morderstwa najmniej go obchodziły - powiedział Ed, wiedząc, że Elissa słucha każdego jego słowa. - Do samobójstwa skłonił go strach, że na jaw wyjdzie prawda o algorytmie.

- Jak się miewa Elissa?

Spojrzał na nią z niepokojem. Stała spokojnie, z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. W świetle z ekranu widział łzy płynące jej po twarzy.

- To był trudny wieczór, ale jakoś się trzyma. To silna kobieta. - Elissa rzuciła mu dzielny uśmiech. - Muszę już iść, Walker. Oprócz morderstwa Rhodesa mam na głowie poszukiwania Kerna. Jutro porozmawiamy.

Kiedy odłożył słuchawkę, Elissa podeszła do niego.

- Dziękuję za wszystko, Ed. Nie wiem, jak dałabym sobie radę bez ciebie.

Objął ją i przytulił na tyle, na ile się odważył. Trwało to mniej więcej minutę.

Niechętnie wypuścił ją z objęć, uściśnął jej dłoń i wziął czapkę.

- Mam robotę.

- Rozumiem. Wracaj do pracy. - Zrobiła krok w tył, spoglądając na niego z podziwem. - Masz swoje obowiązki i wiem, że traktujesz je poważnie. Dlatego jesteś takim wspaniałym mężczyzną.

Poczuł, że się czerwieni. Zadowolony, że w gabinecie było prawie ciemno, odwrócił się szybko i ruszył do drzwi.

Nie każda kobieta potrafiłaby zrozumieć, jak wymagająca jest jego praca. Elissa byłaby świetną żoną dla policjanta, pomyślał. Nie może jednak pozwolić sobie na rozmyślania o przyszłości, dopóki nie znajdzie jej ojca i odpowiedzi na pozostałe pytania.

Wszystko po kolei. Na tym właśnie polega jego praca.

## ROZDZIAŁ 19

Wróciła do domu z Thomasem. Zachowywał się tak, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie, ale nie to ją zaniepokoiło. Niepokoił ją fakt, że dla niej to także było naturalne. Wrench najwyraźniej miał takie samo zdanie, ponieważ czekał w drzwiach z gumową piłką, która piszczała, gdy naciskał ją zębami.

Tak było bardzo wygodnie. Może nawet za wygodnie, pomyślała Leonora. Oczywiście mogła powiedzieć Thomasowi, że skoro Rhodes nie żyje, a Osmond Kern zniknął, a może także nie żyje, nic jej nie grozi i brakuje logicznych powodów, dla których powinni razem spędzić noc. Jednak nic nie powiedziała.

Chwilowo jego dom najbardziej jej odpowiadał. Poszła z Thomasem do łóżka z cudownym poczuciem, że to jest to, czego w tej chwili pragnie. Kochał się z nią szaleńczo, była zmęczona i całkowicie usatysfakcjonowana. Spodziewała się bezsennej nocy po wyczerpującym dniu, tymczasem od razu głęboko zasnęła.

Następnego dnia poszli w trójkę do miasta na kawę, herbatę i najnowsze plotki. Było zimno, a chmury wisiały tak nisko, że przesłaniały czubki drzew. Poranni biegacze już trenowali.

Omówili z Thomasem szczegóły morderstw i niektóre niewyjaśnione wciąż wątpliwości, zastanawiając się, czy znajdą na nie odpowiedzi i kiedy policja odnajdzie ciało Osmonda Kerna.

- Ciekawe, ile Meredith naprawdę wiedziała i jak zamierzała tę wiedzę wykorzystać<sup>TM</sup> powiedział Thomas. W jednym ręku trzymał smycz Wrencha, drugą schował do kieszeni marynarki.

- Podejrzewam, że wiedziała dość, aby szantażować Kerna. Tylko to wyjaśniałoby jej śmierć. - Leonora przyglądała się, jak Wrench obwąchuje pustą plastikową szklankę. - Najwyraźniej jednak nie zachowała należytej ostrożności.

- Szantaż to niebezpieczna rzecz.

- Tak, ale to nie była dla niej pierwszozna. Ciekawe, dlaczego nie szantażowała go anonimowo.

- Może próbowała ukryć swoją tożsamość? Przecież pojechała do Kalifornii. Kern musiał się jakoś dowiedzieć, kto go szantażuje.

- Nadal nie rozumiem, jak Meredith doszła do tego wszystkiego, mając jedynie wycinki Bethany.

- Nie zapominaj, że romansowała z Rhodesem.

- Fakt. Meredith na pewno wyciągnęła od niego wszystko, co wiedział, a niewątpliwie wiedział o Kernie.

Przywiązali Wrencha do barierki na rowery przed kawiarnią i weszli do środka, żeby napić się czegoś gorącego. Leonora stanęła z Thomasem w kolejce do baru i przysłuchiwała się rozmowom.

- Słyszałem, że w nocy znaleźli łódź Kerna. Woda wyrzuciła ją na brzeg. Zawór był otwarty, ale bak pusty. Kem chyba wyskoczył...

- W tej temperaturze nie mógłby wytrzymać w wodzie dłużej niż dwadzieścia minut. Potem następuje całkowite wyziębienie organizmu...

- Kto by pomyślał. Byłam w zeszłym roku na jego wykładzie. Niesamowite, że potrafił tak stać i mówić o tym swoim algorytmie, jak gdyby nigdy nic. A przecież zabił już dwoje ludzi. I jeszcze dwoje miał zabić...

Thomas zapłacił za kawę, herbatę i kilka bułeczek i wyszli z powrotem na dwór. Na chodniku, w ostrożnej odległości od Wrencha, stali Julie i Travis.

- Dzień dobry państwu. To jest Travis.

- Halo, Travis. - Thomas skinął chłopakowi głową.

- Dzień dobry - powiedziała Leonora. Julie z rezerwą przyglądała się psu.

- Pomyśleliśmy, że to pana pies. Widzieliśmy, jak pan z nim spacerował. Wygląda na ostrego. Gryzie?

Wrench nie przejął się tą obraźliwą uwagą. Wstał i nie spuszczał wzroku z papierowej torby w ręku Leonory. Leonora odłamała kawałek bułki i dała psu.

- Wrench nie skrzywdziłby nawet muchy - uspokoił ich Thomas. - Zakładam, że wiecie, co się stało.

- O tym, że zastrzelono Rhodesa? - Julie wzdrygnęła się. - Miał pan rację, on sprzedawał narkotyki. Ja nie wiedziałam, naprawdę. Chciałam to panu powiedzieć.

Thomas znów skinął głową zdejmując przykrywkę ze swojej kawy.

- Podobno był pan tam wczoraj. - Travis spoglądał na Thomasa z nieukrywanym podziwem. - Słyszałem, że pojechał pan tam z bratem, kiedy profesor Kern wychodził. Was też mógł zabić.

- Wiadomości szybko się tu rozchodzą - zauważył Thomas, popijając kawę. - Znaleźli już Kerna?

- Nie - odparł Travis - choć słyszałem, że podobno znaleźli jego łódź. Wszyscy mówią, że pewnie nie mógł znieść myśli o kompromitacji zawodowej.

- I mówią też, że w zeszłym roku Kern zamordował panią profesor Walker. -

Julie przygryzła wargę. - I tę panią, co przez jakiś czas pracowała w Domu Luster. Meredith jakąś tam.

- Nazywała się Meredith Spooner - powiedziała cicho Leonora.

- Aha, ją też. - Julie znów się wzdrygnęła. - To bardzo dziwne. Trzymał wszystko w tajemnicy przez wiele lat i nagle się wydało. Wtedy zaczął zabijać, żeby się nikt nie dowiedział, że jest oszustem.

- Dziwne - przyznała Leonora.

Travis przysunął się do Julie i objął ją ramieniem, jakby chciał ją obronić.

- Najbardziej zdenerwowało mnie to, że Julie ostatnio wykonywała pewne zlecenia dla Rhodesa. A gdyby pojechała do niego po pieniądze wczoraj wieczorem? Profesor Kern też by ją tam zastał.

Leonora rzuciła Julie znaczące spojrzenie.

- Zawsze dobrze jest wiedzieć, dla kogo się pracuje.

Julie zaczerwieniła się i nic nie powiedziała. Travis pogładził ją po ramieniu.

Thomas odwiązał smycz Wrencha i ruszyli w stronę ścieżki.

- Powinam wrócić do domu - stwierdziła Leonora. - Chcę zadzwonić do Glorii. Poinformować ją, co się dzieje.

W połowie drogi do domu Leonory zobaczyli na moście mały tłumek biegaczy. Wszyscy gapili się w dół, na głębokie wody zatoki.

Przy ścieżce stał zaparkowany wóz Eda Stovalla, a obok karetki i drugi samochód policyjny. Dwaj sanitariusze wyjmowali z karetki nosze.

- O co się założył, że znaleźli ciało Kerna? - zapytał Thomas.

Deke zjawił się u Thomasa późnym popołudniem. Thomas poczęstował brata piwem i wziął drugie dla siebie. Usiedli w dużym pokoju.

- Przyszedł do mnie Stovall - zaczął Deke. - Ten facet chyba nie spał przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Był wykończony. Stwierdził, że mamy prawo wiedzieć, co się dzieje.

- Jedno trzeba mu przyznać, ma poczucie obowiązku. - Thomas napił się piwa. - To mi się podoba u funkcjonariusza państwowego. Czy powiedział coś, o czym byśmy nie wiedzieli?

- Niewiele. Kiedy przeszukali dom Rhodesa, znaleźli coś, co może być narkotykiem.

- To mnie nie dziwi.

- Mnie też nie. Stovall mówi, że posłali próbkę do laboratorium, ale właściwie

jest pewien, że to będzie to halucynogenne świństwo, które pojawia się od roku. Mówił też, że zrobią sekcję, choć wygląda na to, że Kern napisał list pożegnalny, wypił kilka drinków, wsiadł do łodzi i nastawił silnik na całą parę. Potem wyskoczył. Temperatura wody dokonała reszty.

- Nie byłby pierwszą osobą, która się w ten sposób zabiła. Napili się piwa. Milczenie między nami nie jest złe, pomyślał Thomas. Znajome. Wygodne. Wszystko wraca do normy.

- Zaprosiłem Cassie na wieczór absolwentów w Domu Luster, w sobotę wieczorem - powiedział po chwili Deke.

Wiadomość, podana bez żadnego ostrzeżenia czy wstępu, zaskoczyła Thomasa.

- I co powiedziała?

- Zgodziła się.

- To świetnie. - Thomas uśmiechnął się.

- A ty?

- Co ja?

Deke zagłębił się w fotelu i obrócił w dłoniach wilgotną butelkę.

- Myślałem, że zaprosisz Leonorę.

- Nie jestem członkiem Domu Luster. Leonora też nie - odparł Thomas zdumiony.

- Ja jestem i mogę was oboje zaprosić jako swoich gości.

- Nie wiem jak długo Leonora tu zostanie, skoro wszystko się wyjaśniło. Być może wyjedzie przed sobotą.

Deke uniósł w górę brwi. Wyglądał na rozbawionego.

- Pytałeś ją, czy zamierza niedługo wyjechać?

- Nie.

- Masz jakiś problem? Dlaczego nie możesz jej zadać prostego pytania?

- Może nie chcę znać odpowiedzi.

- Aha. Napili się piwa.

- Mam pomysł - powiedział po chwili Deke.

- Tak?

- Powiedz jej, że chciałbyś, aby została jeszcze na sobotę i poszła z tobą na przyjęcie, bo Cassie będzie się lepiej czuła.

- Uważasz, że to poskutkuje?

- Jasne. Leonora chciałaby, żebym zajął się Cassie. Myślę, że zostałyby jeszcze



parę dni i wybrała się na przyjęcie, gdybyś ją przekonał, że w ten sposób pomoże Cassie.

- To podstęp.

- Tak - przyznał z dumą Deke. - Sam to wymyśliłem. Thomas zastanawiał się przez chwilę.

- Dobrze, spróbuję.

- Doskonale. Możesz powiedzieć Leonorze, że stanowisko, które stworzyliśmy dla niej w Domu Luster jest na dłużej. Doszedłem do wniosku, że ma rację. Kolekcja jest cenna i powinna zostać skatalogowana oraz wprowadzona do Internetu. Fundacja Bethany Walker będzie dawała na to pieniądze.

- Wspomnę jej o tym.

Deke spojrział na czubki swoich sportowych butów.

- Sporo czasu minęło, odkąd umawiałem się z kobietami.

- Nie martw się, to jedna z tych rzeczy, których się nie zapomina.

- Coś takiego jak algebra Boole'a, co?

- Mniej więcej. Dam ci dobrą radę.

- Jaka?

- Zgól brodę.

Deke spojrział na niego ze zdumieniem, a potem uśmiechnął się smutno.

- Nie uważasz, że mam swój styl?

- Tutaj liczy się opinia Cassie, a mam wrażenie, że jej się twoja broda nie podoba.

Deke przeczesał palcami brodę.

- Margaret Lewis też się nie podobała.

- No, proszę. To przesądza sprawę. Sami mówiliście, że to sekretarki rządzą.

Zaczekał, aż Deke wyjdzie, i zadzwonił do Leonory. Odebrała po pierwszym dzwonku.

- Czy nadal jesteś zainteresowana promocją intymnego związku między Cassie a moim bratem?

- Wydaje mi się, że całkiem nieźle sobie radzą.

- Deke chce ją zaprosić na przyjęcie w sobotę wieczorem. Zasugerował, że czułaby się pewniej, gdybyśmy poszli we czwórkę. Mam jednak wrażenie, że to on się denerwuje.

- To znaczy zapraszasz mnie na przyjęcie, ponieważ sądzisz, że twojemu bratu

przyda się nasze moralne wsparcie?

- Nie wierzysz, co?

- Deke i Cassie są dorośli i główny problem już chyba rozwiązali. Na pewno dadzą sobie radę.

Thomas podszedł do okna. Noc nadchodziła szybko. Nie widział mgły nadciągającej z nad wody, ale wydawało mu się, że czuje jej ciężar.

- Dobrze, sformułuję to inaczej. Czy nie wybrałabyś się na przyjęcie w Domu Luster w sobotę wieczorem?

- Z tobą?

- Tak, proszę pani. Ze mną.

- O, tak - powiedziała cicho. - Tak, bardzo chętnie. W oknie odbijała się jego uszczęśliwiona twarz.

- I jeszcze coś. Deke prosił, abym ci powtórzył, że zgadza się z tobą co do znaczenia kolekcji. Mówi, że fundacja Bethany Walker będzie nadal finansować ten etat, jeśli zgodzisz się tam pracować aż do zakończenia zadania.

Leonora milczała przez chwilę.

- Zastanowię się - obiecała w końcu. - Przypuszczalnie zabierze mi to parę miesięcy.

- Tak. - Thomas pomyślał, że w ciągu paru miesięcy może wiele zdziałać.

Leonora milczała.

- Oczywiście mogę się też przenieść do Melba Creek.

- Thomas...

- Za bardzo na ciebie naciskam, prawda?

- Musimy być ostrożni...

- Jasne. Ostrożni. Trzeba zawsze mierzyć dwa razy, dopiero potem ciąć. Stara prawda.

Leonora zaskoczyła go swoim śmiechem.

- Nie zamierzałam niczego ciąć.

- Nie masz pojęcia, jak mnie to pociesza.

- To przyjdź na kolację, będziemy razem dalej myśleć. I weź psa.

- Dobrze. Wezmę też moje narzędzia.

- Chcesz mi znów zademonstrować swoje niesamowite umiejętności?

- Poczekaj, aż zobaczysz, co robię z wiertłem.

Tej nocy Thomas kochał się z Leonora niespiesznie i zmysłowo. W pewnym

momencie pomyślała, że działa jak prawdziwy mistrz, zajmujący się nawet najdrobniejszymi detalami. Kto by pomyślał, że będzie tak wrażliwa w tym miejscu?

- Thomas...

- Ściśnij trochę mocniej.

- Thomas...

- Właśnie. Tak jak teraz. Coraz ciaśniej. Teraz naprawdę czuję te wszystkie drobne mięśnie.

- Thomas...

- Nie, nie możesz poruszyć żadną inną częścią ciała. Tylko tą jedną. Pracujemy bardzo precyzyjnym narzędziem.

- Do diabła, Thomas! - Sfrustrowana do granic wytrzymałości zerwała się z łóżka.

Roześmiał się cicho, kiedy się na nim położyła. Po chwili, gdy oboje przeżyli intensywny orgazm, przestał się śmiać.

Długi czas potem przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

Zasnęła rozluźniona, rozgrzana i bezpieczna. Jej ostatnią myślą przed zaśnięciem było przekonanie, że nic jej się tej nocy nie przyśni. Znalazła odpowiedzi na wszystkie swoje wątpliwości. Meredith mogła odpoczywać w spokoju.

Znów znalazła się w niekończącym się korytarzu luster, uciekając przed niewidzialnym niebezpieczeństwem. Wiedziała, że nie może patrzeć wprost w ciemne lustra. Kontakt wzrokowy z którymś z duchów uwięzionych w środku, byłby śmiertelny. Natychmiast zostałyby wciągnięta do świata po drugiej stronie.

Jej prześladowca był coraz bliżej. Słyszała śmiech.

Nie zatrzymuj się.

Przystanęła.

Nie odwracaj się.

Musiała się odwrócić. Musiała zobaczyć twarz mordercy.

Coś się popsuło. Ku swemu przerażeniu wpatrywała się w przerażająco znajome, dziewięciowymiarowe, wypukłe lustro. Srebrne potwory wyrzeźbione na ramie wiły się w konwulsjach, z otwartymi ustami i wyciągniętymi pazurami.

Zniekształcona twarz Meredith wykrzywiła się do niej z ciemnego lustra.

- Jeszcze nie możesz zasnąć...

- Leonoro! Leonoro! - Głos Thomasa roztrzaskał sen tak pewnie, jakby uderzył młotkiem w srebrną ramę lustra.

Obudziła się z bijącym sercem, w wilgotnej koszuli przyklejonej do ciała.

- Już dobrze - szeptał Thomas, przytulając ją z jedną ręką zanurzoną w jej potarganych włosach. - Już dobrze. To tylko sen.

Wciągnęła głośno powietrze, czerpiąc spokój z jego siły i ciepła.

- Znow ten przekłety sen - jęknęła po chwili. - Myślałam, że teraz się to skończy.

- Spokojnie, już się skończyło. - Delikatnie głaskał ją po głowie. - O czym jest ten sen?

- Jestem w długim korytarzu pełnym ciemnych luster. Ktoś mnie goni. Wiem, że nie powinnam spoglądać w żadne lustro, ale nie mogę się powstrzymać. W jednym z luster widzę twarz Meredith. Mówi mi, że jeszcze nie mogę zasnąć.

- Chyba wiemy, skąd się wzięła symbolika tego snu, prawda? Wprost z Domu Luster. Postaraj się nie myśleć o tym, skarbie. Ostatnio wiele przeszłaś. Być może podświadomość musi się uwolnić od koszmarów.

Nie przestawał głaskać jej włosów. Uwielbiała dotyk jego dłoni. Była w nim siła i pewność. Spokój i mądrość. Moc i pasja. Powoli się rozluźniła. Kiedy znow zasnęła, nic jej się nie przyśniło.

## ROZDZIAŁ 20

Następnego ranka usiadła w bibliotece Domu Luster, z komputerem i stosem książek pod ręką i zaczęła się zastanawiać nad pozostaniem w Wing Cove.

Wprowadzenie kolekcji Domu Luster do sieci byłoby interesującym zajęciem, a Gloria z radością poleciałaby z wizytą do Waszyngtonu w trakcie odwiedzin u wnuczki. Bo w odwiedzinie przyjechałaby na pewno. Nie mogłaby sobie odmówić poznania Thomasa.

Jednak Leonora zastanawiała się nad propozycją Deke'a z innych powodów.

Musiała w końcu przyznać sama przed sobą że to, co czuła do Thomasa, było czymś więcej niż przelotną fascynacją. Leonora była zakochana. I gotowa zaryzykować. Ale pod warunkiem, że Thomas zaryzykowałby razem z nią.

Zdała sobie z tego sprawę ostatniej nocy, lecz wiedziała, że to się zaczęło już wcześniej. Usiłowała skupić się na tym, co sprowadziło ją do Wing Cove, choć, patrząc wstecz, widziała wyraźnie, że od samego początku między nią a Thomasem działo się coś ważnego. Coś, co sprawiło, że warto było podjąć ryzyko.

Otworzyła jedną ze starych książek - mały, oprawny w skórę tomik, napisany pod koniec siedemnastego wieku, i przyjrzała się stronie tytułowej.

*O prawdziwej metodzie łapania szatana w magiczne zwierciadło.* Autor wolał pozostać anonimowy, niewątpliwie ze względów społecznych i politycznych. Jednak w długiej przedmowie zapewniał czytelnika, że jest... „badaczem nauk okultystycznych, który najlepiej potrafi przekazać instrukcje tej bardzo niebezpiecznej i potężnej sztuki”.

Ciekawe, czy autor tej małej książeczki zarobił dużo pieniędzy, sprzedając metodę łapania szatana w lustro, pomyślała. Przypomniał jej się Alex Rhodes ze swoją antystresową formułą i terapią lustrem. Niezależnie od czasów nigdy nie brakowało szarlatanów i oszustów. Ani ludzi, którzy chętnie płacili za cudowne lekarstwo.

Zainteresował ją inny kawałek tekstu:

„Uwaga, wyobrażenia w czarodziejskim zwierciadle muszą być zbadane starannie oraz zinterpretowane mądrze i z wielką ostrożnością, ponieważ w tamtym świecie nic nie jest takie, jakie się wydaje...”

Za drzwiami usłyszała kroki Thomasa. Ogarnęło ją poczucie pewności. W przeciwieństwie do wizerunków w lustrze, Thomas był dokładnie taki, jaki się wydawał, realny i solidny.

Staął w drzwiach, z marynarką przewieszoną przez ramię.

- Idziemy na lunch?

Przyglądała mu się, nie wstając z miejsca. Staął przy stole i rzucił jej pytający uśmiech.

- Coś się stało?

- Nie. - Starannie zamknęła małą książeczkę. - Nic się nie stało. Powiedz bratu, że skończę tę pracę.

- Zostaniesz tu jeszcze przez jakiś czas?

- Tak. To jest bardzo interesująca i ważna kolekcja. Ma znaczenie historyczne i powinna być udostępniona naukowcom.

- A ja? - Thomas przyglądał jej się uważnie. - Czy ja też mam znaczenie historyczne?

- Jasne. Ale nie zamierzam cię nikomu udostępniać. Thomas uśmiechnął się.

- Zatrzymasz mnie wyłącznie dla siebie?

- W mojej własnej prywatnej kolekcji.

- Mnie to odpowiada. O ile będę jedynym eksponatem.

- Będziesz.

Na korytarzu rozległy się kroki i w drzwiach stanął Kyie.

- Skąd tu tyle tych starych okropnych luster? - spytał.

- Kolekcjonował je pierwszy właściciel tego domu - odparła Leonora. - Co ty tu robisz?

Kyie rzucił okiem na Thomasa.

- Przyszedłem zaprosić cię na lunch.

- Dziękuję, ale jestem zajęta.

- Słyszał pan. - Thomas wziął Leonorę za ramię i ruszył do drzwi. - Może się jeszcze zobaczymy, Delling.

- Leo, zaczekaj. - Kyie złapał Leonorę za drugą rękę. - Muszę z tobą porozmawiać.

- Kiedy indziej - oświadczył Thomas. Kyie zignorował go i nie puszczał Leonory.

- Posłuchaj, mam coraz mniej czasu. Nie mogę tu dłużej zostać.

Muszę wracać na zajęcia.

Można było odnieść wrażenie, że dwaj mężczyźni chcą ją sobie wyrwać.

- Zawsze marzyłam o takiej sytuacji - mruknęła. Thomas przystanął i odwrócił

się.

- Puść ją, Delling.

Coś w twarzy Thomasa musiało przekonać Kyle'a, bo posłuchał jego prośby.

- Leo... - zaczął Kyle.

- W porządku, Kyle - powiedziała Leonora, widząc, że jest zdesperowany. -

Dziś po południu zadzwonię do Helen.

Jej słowa dotarły do niego po dłuższej chwili.

- Naprawdę? - zapytał.

- Tak, choć, oczywiście, nie mogę ci niczego obiecać. To komitet podejmuje decyzję i nie mam pojęcia, jaka ona będzie. Ale zadzwonię.

- Dziękuję. - Na twarzy Kyle'a odmalowała się ulga. - Wiedziałem, że zrobisz to dla mnie, kochanie.

Nim zdała sobie sprawę z jego intencji, złapał ją za ramiona i zamierzał pocałować w usta.

Szybko odwróciła głowę, a jednocześnie Thomas pociągnął ją w bok.

Kyle pocałował powietrze, jednak w euforii nawet tego nie zauważył.

- Musimy to uczcić. - Rozłożył ręce w szerokim geście. - Zapraszam was oboje na lunch.

- Nie ma mowy - stwierdził Thomas, wyprowadzając Leonorę z biblioteki.

- No i po moim marzeniu.

- Jakim marzeniu?

- Że dwóch mężczyzn będzie się o mnie pojedynkować.

- Chcesz, żebym wrócił i porządnie mu dołożył? Proszę bardzo.

- Daj spokój. Jesteś wart dwóch takich jak on. Nie, tuzin. Thomas uśmiechnął się z zadowoleniem. Przypominał Wrencha, kiedy przyjmowała od niego któryś ze skarbów.

- Tak myślisz?

Nim Leonora zdążyła odpowiedzieć, na schodach minęła ich Roberta, rzucając im zmęczony uśmiech.

- A, tu pani jest, Leonoro. Przed chwilą pytał o panią w moim biurze bardzo miły człowiek. Posłałam go na górę. Znalazł panią?

- Tak.

- To dobrze.

- Przygotowania do przyjęcia są pod kontrolą? - spytał Thomas.

- Jestem wykończona. Panuje kompletny chaos. Wiadomości o morderstwie Rhodessa i samobójstwie profesora Kenia wywarły na wszystkich, łącznie ze mną, duże wrażenie.

- Jestem pewna, że wszystko uda się doskonale - • pocieszała ją Leonora.

- Łatwo pani mówić. Wychodzą państwo na lunch?

- Tak - powiedziała Leonora. - Do pubu. Czy mamy pani coś przynieść?

- Dziękuję za propozycję, ale nie. Przyniosłam dziś sobie z domu kanapki. Wiedziałam, że nie będę miała czasu, aby wyjść coś zjeść. Do zobaczenia - rzuciła, wchodząc po schodach.

Na parterze rzeczywiście panował bałagan. Ani Leonora, ani Thomas nie odezwali się słowem, dopóki nie wyszli z budynku.

- Naprawdę masz zamiar zadzwonić do swojej przyjaciółki, Helen? - zapytał obojętnie Thomas.

- Tak.

- A co ze słodką zemstą?

Zastanawiała się nad jego pytaniem, gdy schodzili po kamiennych schodach na parking. Co się stało ze słodką zemstą?

- Znalazłam coś bardziej smakowitego - powiedziała w końcu.

Tuż przed czwartą Thomas udał się do swojego ulubionego sklepu w Wing Cove, Artykuły metalowe i hydrauliczne Pitneya. Był to jeden z najstarszych sklepów w mieście i jeden z niewielu, których nie przebranzowiono na coś, co byłoby bardziej popularne wśród studentów.

W długim przejściu między regałami znalazł to, czego szukał.

Elegancki podręczny zestaw narzędzi domowych składał się z kilku śrubokrętów, błyszczącego klucza francuskiego, małego młotka i kompletu cęgów. Narzędzia były zapakowane w czarne plastikowe pudełko.

Wyjął młotek i przez chwilę ważył w ręku, sprawdzając ciężar i proporcje.

Między półkami pojawiła się jakaś postać. Thomas opuścił młotek i powściągnął jęk, gdy zobaczył, że zbliża się do niego Kyie.

- Tak mi się wydawało, że pan tu wszedł, Walker - powiedział. - Piłem kawę po drugiej stronie ulicy. Cieszę się, że pana złapałem.

- Miałem nadzieję, że już pan stąd wyjechał, Delling.

- Proszę się nie martwić, niedługo wyjeżdżam. Najpierw jednak chciałem z panem porozmawiać. - Kyie przystanął. - Chodzi o Leo.



Thomas nawet nie drgnął.

- Nie chcę o niej rozmawiać. Zwłaszcza z panem.

- To miła osoba - powiedział Kyle takim tonem, jakby zdradzał tajemnicę państwową. - Naprawdę bardzo miła.

- I dlatego przyjechał pan tutaj, wiedząc, że ją pan namówi, aby wykonała ten telefon do przyjaciółki?

- Jasne. - Kyle wzruszył obojętnie ramionami. - Wiadomo było, że w końcu to zrobi. Jaja znam. Nie zniszczyłyby komuś kariery.

- Ma pan, czego pan chciał i może pan już się stąd wynosić. Kyle uśmiechnął się.

- Chciałby się pan mnie pozbyć, prawda?

- Aha.

- Niech się pan tak nie gorączkuje, wyjeżdżam. Pomyślałem sobie jednak, że zanim wyjadę, dam panu jedną radę. W związku z Leo. Żeby nie popełnił pan tego samego błędu, co ja.

- Na pewno nie popełnię.

- Pod pewnymi względami jest bardzo staromodna. Przypuszczalnie dlatego, że wychowywali ją dziadkowie. Z niektórymi rzeczami po prostu sobie nie radzi.

- Na przykład z narzeczonym w łóżku z jej przyjaciółką? Myśli pan, że jej reakcja była przesadna?

- To była jednorazowa historia. Mówi pan, jak Leonora. Niech mi pan wierzy, gdyby znał pan Meredith, zrozumiałby pan, dlaczego tego dnia wylądowałem z nią w łóżku. To ona mnie poderwała.

- Znałem Meredith. Spotykaliśmy się przez jakiś czas.

Do Kyle'a dopiero po chwili dotarło znaczenie słów Thomasa.

- Pieprzył pan Meredith? Naprawdę? Thomas milczał.

- To niedobrze - powiedział Kyle. - Bardzo niedobrze. Czy Leo o tym wie?

- Wie.

Kyle nie krył zdziwienia.

- Nie rozumiem. Dlaczego wciąż się z panem spotyka, jeśli wie, że miał pan romans z Meredith?

- Spotykałem się z Meredith, zanim poznałem Leonorę. Pan pieprzył się z Meredith, będąc z Leonora zaręczony. Widzi pan tę subtelną różnicę, Delling?

Kyle na moment opuścił oczy i spojrzał na młotek.

- Nie mam zamiaru słuchać wykładu o semantyce od faceta, który wie, jak używać dużych i niebezpiecznych narzędzi.

- To nie wykład - wyjaśnił cierpliwie Thomas. - Obrażam pański honor i godność.

- Rozumiem. Jeżeli szuka pan zwady, niech pan sobie da spokój. Mam doktorat z filologii angielskiej. W moim zawodzie wolimy walczyć na słowa.

- Popsuł mi pan całe popołudnie. Ky1e westchnął.

- Jeśli znał pan Meredith, to powinien pan zrozumieć, dlaczego poszedłem z nią do łóżka i wszystko popsulem.

- Nie, nie rozumiem, dlaczego ryzykował pan utratę Leonory dla jednorazowego wybuchu z kobietą zimną jak lód.

- Meredith? Zimna? - zdumiał się Ky1e i zachichotał. - Nie wiem, jak z panem, ale przy mnie była gorąca jak wulkan.

- Dał się pan nabrać na jej przedstawienie, co? A ja myślałem, że faceci z doktoratami są mądrzejsi niż zwykli ludzie.

- Jakie przedstawienie?

- Meredith nie lubiła mężczyzn.

- Nie lubiła mężczyzn? Pan zwariował. Thomas wzruszył ramionami.

- Niech pan zapyta Leonorę. Meredith była molestowana seksualnie jako dziecko. Obrzydziło jej to seks na resztę życia. Nie lubiła mężczyzn i im nie ufała. Wykorzystywała swoje ciało, aby dostać to, co chciała, ale kiedy osiągnęła cel, kończyła znajomość.

- Nie wierzę. Dlaczego mnie uwiodła, skoro nie była zainteresowana?

- Naprawdę nie ma pan zielonego pojęcia, o co w tym chodziło, prawda? Wyłącznie o to, żeby zniszczyć pański związek z Leonora. Meredith nie chciała, aby jej siostra wyszła za pana, i dlatego zaciągnęła pana do łóżka. Żeby udowodnić Leonorze, że nie jest pan osobą godną zaufania.

- Bzdura.

- Udało jej się, co? Meredith dobrze znała Leonorę i wiedziała, że oszustwo jest jedną z rzeczy, których jej siostra nie wybacza.

- Same bzdury.

- Niech pan używa rozumu, Dellling. Dlaczego Meredith zrobiła to akurat w łóżku Leonory? Kto, pana zdaniem, zadzwonił do Leonory na pół godziny przed wielką sceną łóżkową, aby być pewnym, że wejdzie do domu w odpowiednim

momencie?

Kyie był zaszokowany.

- Meredith zadzwoniła do Leonory? To dlatego ona wtedy wcześniej wróciła do domu...

- Nigdy się pan tego nie domyślił, co?

- Pan wszystko przekreśla i zmienia.

- Niech mi pan powie jedną rzecz. Czy Meredith kiedykolwiek robiła panu jakieś propozycje po tym, jak Leonora z panem zerwała?

Kyie zacisnął usta.

- Sytuacja była skomplikowana. Wątpię, aby potrafił pan to zrozumieć.

- Ależ rozumiem bardzo dobrze. Usiłował pan później umówić się z Meredith, a ona nie chciała pana znać.

Kyie zaczerwienił się.

- Miała swoje zasady. W końcu ona i Leo były przyrodnimi siostrami.

- Meredith nie miała zasad, wyłącznie sprawy do załatwienia. Skończyła z panem i zajęła się czym innym.

Kyie przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał się sprzeczać, ale zmienił zdanie.

- Leo panu o tym powiedziała?

- Tak.

- Wiedziała, że padłem ofiarą prowokacji?

- Jasne.

- Nie rozumiem. - Kyie rozłożył ręce. - Jeśli Leo wie, że tonie była moja wina, dlaczego nie dała mi drugiej szansy? To do niej niepodobne, zerwać związek, w który tyle zainwestowała.

- Być może dużo inwestuje, ale to nie znaczy, że nie przestrzega pewnych zasad. A pan oblał z tych zasad, Delling.

- Oblałem? To niewłaściwe słowo.

- Moim zdaniem bardzo dobre.

- Nigdy w życiu niczego nie oblałem. Zawsze byłem najlepszy, od pierwszych egzaminów do ostatnich. Mam kilkanaście recenzji. Jak pan śmie twierdzić, że coś oblałem?

Thomas odłożył młotek i wziął do ręki błyszczący śrubokręt.

- Przypomina pan to narzędzie. Jest błyszczące, ale zrobione ze słabego stopu,

a nie z porządnej stali. Nie wytrzyma dłuższego używania.

Ky1e zacisnął pięści z wściekłości.

- Leonora mnie nie porzuciła, ty gnojku!

- To pan jest specjalistą od języka. Wydawałoby się, że powinien pan używać odpowiednich słów. Ale jak pan chce. Chodzi oto, że Leonora zrobiła to, co zrobiłaby każda rozsądna osoba z kiepskim narzędziem. Pozbyła się go.

- Zamknij się pan - powiedział Ky1e przez zęby. - Raz na zawsze. Nic pan nie wie o Leonorze. Nie zna jej pan. Z tego, co widzę, nic was nie łączy.

- Dlatego że nie mam stopni naukowych?

- Stuknij się pan w głowę - prychnął pogardliwie Ky1e. - Nie jest pan w jej typie. Przez chwilę może jej się podobać twardy facet i „złota rączka”, ale to nie potrwa długo.

- Gdyby znał pan Leonorę tak dobrze, jak się panu zdaje, to by pan wiedział, że najłatwiej jest ją stracić, jeśli nadużyje się jej zaufania.

- Ta chwila w łóżku z Meredith nie miała nic wspólnego z zaufaniem. Czysty seks. Zwykle pieprzenie.

- Leonora tak tego nie odebrała, prawda?

- To swojej przekłętej siostrze nie mogła ufać, a nie mnie.

- Niestety, Meredith miała nad panem przewagę, którą wykorzystała do końca.

- Jaka?

- Należała do rodziny.

Ky1e wpatrywał się w niego bez słowa.

- Leonora mogła porzucić faceta, który ją oszukał - wyjaśnił cierpliwie Thomas - ale nie mogła porzucić siostry. Jak to mówią, rodziny człowiek sobie nie wybiera i mają na całe życie.

Ky1e zamknął usta.

- Skąd pan wie, co myśli Leonora?

Thomas pomyślał o Leonorze, która postanowiła znaleźć odpowiedzi na pytania dotyczące śmierci przyrodniej siostry, sprawiającej jej wyłącznie kłopoty. O tym, jak zawsze pomagali sobie wzajemnie z bratem.

- W ważnych sprawach oboje myślimy bardzo podobnie - powiedział cicho.

Twarz Kyle'a przypominała maskę. Przez moment Thomas sądził, że Ky1e się na niego rzuci. Ta możliwość bardzo go ucieszyła.

Jednak ku jego rozczarowaniu Ky1e z westchnieniem zrezygnował.

- Proszę posłuchać - zaczął. - Naprawdę nie przyszedłem się tu kłócić. Chciałem pana ostrzec, aby traktował pan Leo z szacunkiem. Ona nie jest taka, jak Meredith. To dobry człowiek.

- Wiem.

Kyie zawahał się i skinął głową.

- Możliwe. Patrząc wstecz, żałuję, że zachowałem się tak, jak się zachowałem. Myślę, że było między nami coś specjalnego.

- Prędzej czy później znajdzie pan kogoś innego.

- Jasne, życie idzie naprzód.

Thomas przypomniał sobie, że użył dokładnie tych samych słów, kiedy opowiadał Leonorze o swoim rozwodzie. Teraz jednak wiedział, że gdyby stracił Leonorę, nie przyszłyby mu one do głowy.

- Mam nadzieję, że dostanie pan ten stały etat, Delling. Kyie nie ukrywał zaskoczenia.

- Dzięki. A dlaczego panu na tym zależy?

- Bo nie chcę, żeby znów zawracał pan głowę Leonorze swoimi problemami. - Thomas zatrzasnął wieczko pudelka z narzędziami. - Rozumiemy się?

- Tak. I życzę panu wszystkiego najlepszego. Nie sądzę, aby miał pan cię szansy na małżeństwo z Leonora ale życzę szczęścia.

- Nie zamierzam zrezygnować z tego szczęścia. Kyie odwracał się, by odejść, ale jeszcze zapytał:

- Ten szary potwór przywiązany na dworze, który wygląda, jakby żył na śmietniku, to pana?

- Wrench? Tak. A bo co?

- Tak pytam. Nigdy nie widziałem takiego psa. Jaka to rasa?

- Nie mam pojęcia.

- Gryzie?

- Bez trudu przegryzie panu gardło.

- Wierzę.

- Ale tylko wtedy, kiedy mu każę - dodał cicho Thomas. Kyie odwrócił się i odszedł.

Thomas czekał, aż zabrzącza dzwonek przy drzwiach, a potem podszedł z eleganckim kompletem narzędzi do kasy.

Gus Pitney, założyciel i właściciel sklepu Artykuły metalowe i hydrauliczne

Pitneya, przerwał lekturę gazety i spojrzął na Thomasa znad okularów.

Twarz Gusa przypominała Thomasowi jego sklep, stary, pełen interesujących rzeczy.

- Przez chwilę myślałem, że się pobijecie - mruknął Gus.

- Nie. Tacy faceci się nie biją. - Thomas położył pudełko na brudnej szklanej ladzie. - Zamiast tego drukują i recenzują książki znajomych.

- Naprawdę?

- Uhm. - Thomas sięgnął po portfel. - Wezmę to. Pitney spojrzął na pudełko z narzędziami, mrużąc oczy.

- Na co ci coś takiego? To zestaw podstawowy. Chyba masz po kilka sztuk tego, co tam jest.

- To prezent. - Thomas wyjął z portfela kartę kredytową. - Czy mógłby pan to zapakować w ładny papier?

- Ładny papier? Skąd mam ci wziąć ładny papier? - Gus sięgnął pod ladę i wyciągnął brązową papierową torbę. - To jest wszystko, co mam.

- Nie szkodzi. - Thomas postanowił kupić kawałek ładnego papieru w sklepie papierniczym naprzeciwko.

Gus wystukał cenę na starej kasie.

- Oczywiście to nie moja sprawa, ale o co wam właściwie chodziło?

- Profesor Delling i ja dyskutowaliśmy po przyjacielsku o tym, że zawsze należy używać właściwych narzędzi.

- Aha. - Gus włożył pudełko z narzędziami do torby. - Najlepsze narzędzie jest do niczego, jeśli człowiek nie wie, jak się nim posługiwać.

- To samo mu powiedziałem.

Cassie wyszła w szlafroku z łazienki. Rude włosy owinęła ręcznikiem. W rękach trzymała dwa wieszaki z sukienkami.

- Która? - spytała.

Leonora odchyliła się na krześle, wyciągnęła nogi i przyjrzała się sukienkom. W lewym ręku Cassie trzymała krótką, seksowną małą czarną, w prawym - skromną beżową. Obie nadal miały metki ze sklepu.

- Czarna - zdecydowała Leonora.

Cassie przyjrzała się sukni bez przekonania.

- No, nie wiem. Może jest zbyt śmiała na pierwsze spotkanie.

- To nie jest pierwsze spotkanie. Pierwszym spotkaniem była kolacja u mnie. A

poza tym spotykasz się z nim na lekcjach jogi.

- Wiem, ale nie chcę zaszokować Deke'a. Zadzwoń do babci. - Nie możemy same podjąć decyzji?

- Nie chcę ryzykować. Powiedz babci, że potrzebujemy porady od Henrietty.

- Cassie, na litość...

- Zadzwoń. Zależy mi na opinii eksperta.

- Dobrze, dobrze. - Leonora wzięła słuchawkę. - Pewnie jej nie zastanę. To jest jej dzień brydżowy. I chyba ma też aerobik na basenie.

Cassie stała nad nią z upartym wyrazem twarzy. Na szczęście Gloria odebrała po drugim dzwonku.

- Leo, kochanie, właśnie wychodziłam i wróciłam od drzwi. - Gloria powiesiła ręcznik na poręczy balkonika i przełożyła telefon do drugiego ucha. - Idę na basen. U ciebie wszystko w porządku?

- Moja przyjaciółka Cassie potrzebuje jeszcze kilku rad. Wychodzi na półoficjalne przyjęcie. Ma niesłychanie seksowną czarną suknię i drugą, prostą, choć elegancką, beżową, do kolan, z długimi rękawami. Pyta, co by zasugerowała Henrietta?

- Rozumiem. Przyjaciółka, mówisz?

- Aha. Posłuchaj, jak będziesz pytała o radę dla Cassie, czy mogłabyś zapytać Henriettę o coś dla mojej drugiej przyjaciółki?

- Ona też idzie na przyjęcie?

- Tak.

- Oddzwonię od Herba za kilka minut - obiecała Gloria.

- Jestem u Cassie. Podam ci jej numer telefonu.

- Chwileczkę.

Gloria zapisała numer, odłożyła słuchawkę, mocniej zawiązała pasek szlafroka i z balkonikiem ruszyła do drzwi.

Herb natychmiast zareagował na jej głośne stukanie.

- Co się stało? - zapytał, marszcząc brwi. - Chyba wybierasz się na basen.

- Basen nie jest teraz ważny. Mam kolejne pytania od mojej wnuczki i jej przyjaciółki. Wiesz, Herb, sytuacja staje się poważna.

Rzucił okiem na zegarek.

- Za piętnaście minut mam zajęcia komputerowe.

- To jest ważniejsze. - Wstawiła balkonik przez drzwi. - Zejdź mi z drogi.

- Poczekaj, nie tak szybko. - Herb odsunął się, żeby mogła wejść do środka i zamknął za nią drzwi.

Gloria zatrzymała się, odwróciła i usiadła na siedzeniu balkonika. Na komórce wystukała numer, który podała jej Leonora.

- Strzelaj - powiedziała, kiedy Leonora odebrała telefon. - Jesteśmy gotowi.

- Cassie waha się między krótką seksowną, czarną sukienką a bardziej poważną beżową - przypomniała Leonora.

Gloria spojrzała na Herba.

- Krótka, czarna, seksowna sukienka czy beżowa dla pierwszej przyjaciółki?

- To łatwe. Czarna seksowna.

- Czarna - powtórzyła do telefonu Gloria. Cassie przejęła słuchawkę.

- Proszę zapytać Herba, czy seksowna sukienka zniszczy mój wizerunek troskliwej i czulej kobiety. Bo o to chodziło z lazania i szarlotką, prawda?

Gloria spojrzała na Herba.

- Martwi się, że zepsuje wizerunek kobiety opiekuńczej.

- Na wszystko jest pora. Powiedz jej, żeby włożyła czarną. Prawdziwy mężczyzna nie uznaje beżowego koloru.

- Dobrze. Słyszała pani, Cassie? Herb mówi, że prawdziwy mężczyzna nie uznaje beżowego.

- W porządku - powiedziała Cassie. - Włożę czarną. Proszę podziękować ode mnie Herbowi.

Leonora z powrotem wzięła słuchawkę. Wydawała się lekko spięta.

- Powiedz Herbowi, że moja druga przyjaciółka ma tylko ciemnozieloną sukienkę z długimi rękawami i z kapturem. Czy powinna pójść na zakupy?

Gloria powtórzyła pytanie Herbowi.

- Powiedz jej, żeby włożyła zieloną, Będzie pasowała do jej oczu.

- Herb mówi, że zieloną - przekazała Gloria.

- Rozumiem. Dziękuję, Glorio. I podziękuj Herbowi.

- Zrobię to, kochanie.

Gloria zakończyła rozmowę, nie kryjąc satysfakcji.

- Działa - powiedziała. - Najpierw kolacja, a teraz przyjęcie. Ten Thomas Walker to poważna sprawa.

- Ja też mówię poważnie - odparł Herb. - Kiedy wykreślimy wreszcie imię Henrietty, chcę dać tu moje zdjęcie.



- Wszyscy dziennikarze to primadonny.

## ROZDZIAŁ 21

Leonora stała przy oknie i przyglądała się Thomasowi, który zbliżał się do jej drzwi. Dziś nie wygląda jak fachowiec, stwierdziła. W garniturze i w krawacie wyglądał dokładnie tak, jak się spodziewała. Jak dobrze ubrany mafioso.

Gładka ciemna marynarka nie łagodziła wrażenia, jakie robiła jego potężna figura. Podkreślała za to szerokość ramion. Był ekscytujący i niebezpieczny. Nigdy w życiu nie widziała kogoś tak pociągającego.

W jednym ręku trzymał paczkę owiniętą w czerwoną cyfalię. Gdy zobaczył Leonorę w oknie, uśmiechnął się. W żołądku zatańczyło jej stado motyli.

Była zakochana.

Zdawała sobie sprawę, że w życiu niewiele jest takich momentów. Kiedy świadomość i oczekiwanie, a także ekscytacja wynikająca z samego faktu istnienia drugiej osoby łączą się w oszalamiającą mieszankę, dzięki której śpiewa serce. Takie momenty należy chronić i doceniać.

Można by pomyśleć, że jest nastolatką szykującą się na szkolny bal. Tymczasem dawno skończyła szkołę, a Thomas z pewnością nie był chłopakiem. Był mężczyzną w każdym tego słowa znaczeniu i ta świadomość napelniała ją głęboką radością.

Otworzyła drzwi.

- Fantastycznie wyglądasz.

Był zaskoczony i zadowolony z jej słów.

- Zdumiewające, co garnitur robi z mężczyzny - mruknął. Pokręciła głową i cofnęła się o krok.

- Zdumiewające, co ty robisz z garniturem.

- Dzięki. - Powoli obrzucił wzrokiem zieloną suknię i buty na wysokim obcasie. Potem spojrzął na usta. - To ty wyglądasz tak, że chciałbym cię zjeść. Może później?

Zaczerwieniła się.

- Jeśli wciąż będziesz głodny.

- Będę.

Podał jej pakunek.

- Dla mnie? Dziękuję.

- Postanowiłem uczyć się od psa. On zawsze coś ci daje. Zważyła paczkę w dłoni. O wiele za ciężkie na bieliznę, biżuterię czy papeterię. Zzerała ją ciekawość,

więc jednym ruchem szarpnęła opakowanie.

Ku jej zdumieniu, papier nie dał się łatwo zerwać. Brzegi sklejała oryginalna szara taśma.

Spróbowała podważyć taśmę palcami.

- Chyba jeszcze nigdy nie widziałam tak zapakowanego prezentu.

- Sam pakowałem. Kupiłem papier w sklepie papierniczym. Mocniej szarpnęła taśmę.

- I tam też kupiłeś tę wyjątkowo mocną taśmę?

- Nie, miałem w domu.

- Takiej taśmy też nigdy nie widziałam.

- Jest elastyczna.

- Aha, teraz rozumiem. - Wreszcie udało jej się zdjąć taśmę i czerwone opakowanie. Spojrzała na czarne plastikowe pudełko. - Śliczne.

- Otwórz.

Nacisnęła na zamek i podniosła pokrywkę. Rząd śrubokrętów różnych rozmiarów i inne narzędzia, ułożone w specjalnych wgłębieniach, błyszcząły nierdzewną stalą.

- Piękne. - Nie mogła oderwać oczu od eleganckich narzędzi. - Wprost przepiękne. Nigdy nie widziałam tak wspaniałego zestawu narzędzi.

- Naprawdę ci się podobają? - spytał Thomas, nie kryjąc zadowolenia. - Jasne. Nigdy od nikogo nie dostałam tak cudownego prezentu. Są doskonałe.

- To dość podstawowy zestaw, ale przydadzą się w domu. Najmniejszy śrubokręt powinien pasować do śrubek w twoich okularach.

Zamknęła pokrywkę i odłożyła pudełko na stół, a potem wyprostowała się i pocałowała Thomasa w usta.

- Dziękuję - powiedziała cicho. - Żałuję, że nic dla ciebie nie mam.

- Ty jesteś moim prezentem. Ale rozpakuję cię później.

- Muszę ci coś powiedzieć...

- Co takiego? - spytał z niepokojem.

- Uważam, że byłbyś doskonałym ojcem. Wpatrywał się w nią bez słowa.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do drzwi.

Leonora usiadła w niewielkiej wnęce obok parkietu do tańca. Czekwała na Thomasa, który poszedł do bufetu po jedzenie.

Dom Luster przeszedł całkowitą transformację. Nie było śladów chaosu, jaki

panował na parterze przez ostatnie kilka dni. Teraz wszystko kapąło od złota, a salę wypełniali elegancyści absolwenci, profesorowie i ich goście. Ciężkie drewniane meble, czerwone aksamitne story i dywany zalewało światło z kandelabrow. Lustra odbijały sylwetki gości w seriach oślepiających, nieustannie powtarzających się wizerunków, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Roberta, w szarej jedwabnej garsonce ozdobionej sznurem pereł, przystanęła obok Leonory i przyjrzała się swemu dziełu z niekłamaną satysfakcją.

- Przez jakiś czas martwiłam się, że niedawne wydarzenia popsują atmosferę dzisiejszej uroczystości - przyznała. - Ale tak się chyba nie stało. Wszyscy się dobrze bawią.

- Z pewnością obecnym trudno byłoby uwierzyć, że jeden z najbardziej szanowanych profesorów Eubanks College zamordował kilka osób, a potem popełnił samobójstwo.

- Trzeba wziąć pod uwagę fakt, że wielu gości to absolwenci spoza naszego miasta - przypomniała Roberta. - Większość z nich nie znała profesora Kerna albo krótko miała z nim bardzo sporadyczny kontakt. I niewielu znało jego ofiary.

- To prawda.

- Rozmawiałam wczoraj z Edem Stovallem - ciągnęła Roberta. - Powiedział, że w domu Rhodesa znaleźli narkotyki i dziwne chemikalia.

Policja uważa, że produkował te niedozwolone substancje u siebie w kuchni. Wyobraża sobie pani coś podobnego?

- Niestety tak.

Roberta przyglądała się tłumowi gości.

- Świat jest dziś zupełnie inny. Czasami myślę o moich latach uniwersyteckich i nie chce mi się wierzyć, jak bardzo się wszystko zmieniło.

- Powiem pani jedno. Pani następcą będzie miał bardzo trudne zadanie.

Roberta rozejrzała się z tęsknym wyrazem twarzy.

- Będzie mi tego brakowało.

- Zarządzania Domem Luster? Niech pani spojrzy na to od jaśniejszej strony. Nie będzie pani musiała użerać się ze zrzędliwymi profesorami. Nie będzie pani musiała co kwartał uczyć nowych asystentów. Nie będzie pani musiała uspokajać trudnych absolwentów grożących, że prześlą fundusze komu innemu, jeśli nie spełni się ich warunków.

- To prawda. Jednak będę się dziwnie czuła, wstając rano i zdając sobie sprawę,

że nie muszę już iść do biura.

- Mam przecucie, że kiedy obudzi się pani pierwszego dnia na statku, w rejsie dookoła świata, bardzo prędko zapomni pani o dotychczasowej rutynie.

Roberta roześmiała się.

- Ma pani rację. Jest jeszcze jeden duży plus. Jako emerytowana dyrektorka administracyjna Domu Luster będę mogła wziąć udział w przyszłorocznym przyjęciu, nie martwiąc się o jego organizację.

- To przyjemna perspektywa.

Roberta spojrzała na Deke'a i Cassie, którzy stali nieopodal, pogrążeni w rozmowie z grupką osób.

- Pozytywną rzeczą, jaka wynika z tych wszystkich okropnych wydarzeń ostatnich kilku dni - zauważyła - jest to, że Deke Walker stał się nowym człowiekiem.

Leonora podążyła za jej wzrokiem. Deke obejmował Cassie w pasie intymnym władczym gestem. Wspaniałą figurę Cassie podkreślała czarna suknia. Jej twarz promieniała szczęściem.

Deke roześmiał się z czyjś dowcipu, a Leonorze przypomniało się, jak zobaczyła go pierwszy raz - z wychudzoną ponurą twarzą, oświetloną blaskiem padającym z monitora komputerowego. Jego przemiana była jeszcze bardziej spektakularna niż przemiana Domu Luster.

- Tak - przyznała. - Wygląda jak inny człowiek.

- Dobrze, że zgolił tę paskudną brodę. Powinien był zrobić to już dawno.

W tym momencie Leonora i Cassie spojrzały na siebie.

- To nie jest kwestia brody - stwierdziła z uśmiechem Leonora.

Deke popatrzył na stojącą w drzwiach Cassie. Jej sylwetkę podświetlał urokliwy blask lampy, która paliła się w dużym pokoju. Deke uświadomił sobie, że nigdy nie był u Cassie w domu.

- Dziękuję za cudowny wieczór - powiedziała Cassie.

- Po raz pierwszy mogę szczerze stwierdzić, że dobrze się bawiłem na przyjęciu absolwentów. - Zawahał się. - Musimy to powtórzyć.

- Za rok - powiedziała trochę za szybko. - W tym samym miejscu, o tej samej porze. Zapiszę to sobie w kalendarzu.

- Myślałem raczej o kolacji w najbliższą sobotę.

- Och...

Czekał, ale Cassie milczała.

- Czy mam rozumieć, że przyjęłaś zaproszenie? - spytał w końcu.

- Och, tak. Tak, bardzo chętnie. Nie mogę się doczekać.

- Nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

- Nie, naprawdę, chętnie wybiorę się z tobą na kolację w sobotę wieczorem.

Odruchowo podniósł dłoń do twarzy, by pogłaskać brodę. Wzdrygnął się, gdy dotknął gładkiej skóry i opuścił rękę.

- Jesteś taka cierpliwa, Cassie. Taka uprzejma. Czuję się, jakbym przez rok żył w innym świecie. Ale już wróciłem.

- Cieszę się - szepnęła.

- Już jest dobrze - kontynuował. - Nie potrzebuję współczucia ani łaski. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Nie chcę, żebyś się ze mną spotykała z litości.

- Aleja chcę pójść z tobą na kolację, Deke, tylko... - Urwała.

Wpadł w panikę. Nie wiedział, jak ratować sytuację. W gruncie rzeczy nie miał zbyt wielkiego doświadczenia w tych sprawach. Od dawna z nikim się nie spotykał. Zresztą chyba nigdy nie był specjalnie dobry w te klocki.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Spojrzał na nią, pod światło, mrużąc oczy.

- Może wejdę na chwilę i porozmawiamy o tym przy kawie - zaproponował.

- Wejdiesz?

- To pytanie czy zaproszenie? Cassie stała przez moment nieruchomo.

- Deke, muszę ci coś powiedzieć.

Cholera, oczywiście lituje się nad nim. Nie interesuje jej jako mężczyzna. Po prostu współczuje mu jak dobremu znajomemu. Był przygotowany na odrzucenie. Wytrzyma każdą prawdę. Nie znosi tylko fałszywych nadziei i grzeczności, które udają namiętność.

- Powiedz - zażądał. - Powiedz, niech się w końcu dowiem. Nie rozlecę się na kawałki.

- Wiem. Tylko bardzo silny mężczyzna potrafiłby znieść te wszystkie plotki dotyczące stanu jego umysłu podczas ostatnich miesięcy. Tylko bardzo silny mężczyzna potrafiłby trzymać się swoich przekonań, gdy inni tłumaczyli mu, że ma idiotyczną obsesję.

- Nie wszyscy tak uważali. Nie ty i nie Thomas. Przynajmniej nie mówiliście mi tego.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że nie poszłam dziś z tobą na przyjęcie, dlatego że

było mi cię żal, i nie z litości przyjął zaproszenie na sobotę. Chcę, abyś poznał prawdę, zanim wejdiesz do mnie na kawę.

- Jaką prawdę?

- Stałeś się celem starannie zaplanowanej kampanii uwodzicielskiej.

- Słucham?

- Pamiętasz kolację z Leonora i z Thomasem? Tę, którą pomogłam przygotować?

- Tak - odparł ostrożnie.

- To był element strategii. I dziś, ta czarna suknia.

- Twoja suknia naprawdę szalenie mi się podoba.

- To kolejny element strategii. Leonora skonsultowała się ze swoją babką, która poradziła się Herba, który prowadzi dział porad.

- Rozumiem.

- To Herb zasugerował lazanie, szarlotkę i tę suknię.

- Będę musiał podziękować Herbowi. Czy mogę zapytać, dlaczego wybrałaś mnie jako cel kampanii uwodzicielskiej?

- Dlaczego? Jeszcze pytasz dlaczego? Czy to nie jest oczywiste? Wybrałam ciebie, bo się w tobie zakochałam. - Rozłożyła ręce. - Jestem w tobie zakochana od pół roku, ale ty w ogóle nie zwracałeś na mnie uwagi. Bałam się, że nigdy mnie nie zauważysz, twoja broda była coraz dłuższa i sytuacja stawała się po prostu beznadziejna. Dlatego.

Wilgotne nocne powietrze zapieniło się nagie jak szampan. Deke roześmiał się.

- To jest chyba najszczęśliwsza noc w moim życiu - stwierdził.

- Naprawdę?

- Kocham cię. Mam wrażenie, że zakochałem się w tobie gdzieś w połowie pierwszej lekcji jogi.

- Naprawdę?

- Jak myślisz, dlaczego zapłaciłem za cały rok z góry?

- Och. - Uśmiechnęła się.

- Czy teraz zaprosisz mnie na kawę? Odsunęła się, żeby mógł wejść.

Znacznie, znacznie później usiadł przy niej w ciepłym przytulnym łóżku, usatysfakcjonowany i szczęśliwy. Wyciągnął rękę do Cassie. Przytuliła się do niego, ciepła i szczęśliwa.

- To było niewiarygodne - westchnęła.

- Prawda? Też tak uważam. - Poglaskał jej okrągłe biodro. - Wiedziałem, że te cholerne lekcje jogi kiedyś mi się przydadzą.

Leonora zrzuciła z nóg szpilki, gdy tylko weszła do domu Thomasa. Wrench przyniósł jej skórzaną kość, którą podziwiała przez chwilę, gdy tymczasem Thomas powiesił ich płaszcze i rozpałił w kominku.

Kiedy ogień już trzaskał, Thomas obszedł ladę, nalał koniaku do dwóch kieliszków i zaniósł je do dużego pokoju.

Przyglądała mu się z prawdziwą przyjemnością, kiedy siadał przy niej na sofie. Zdjął marynarkę, rozpiął pod szyją białą koszulę, rozluźnił węzeł krawata i podwinął rękawy. Położył stopy w czarnych skarpetkach obok jej stóp w nylonowych rajstopach na małym stoliku.

W ciszy popijali koniak.

- Jak myślisz - spytała w końcu Leonora - czy są już w łóżku? Thomas spojrział na zegarek.

- Minęło prawie czterdzieści minut, odkąd zostawiliśmy ich pod drzwiami domu Cassie. Tak, myślę, że są już w łóżku.

- Na pewno?

- Zdecydowanie.

- Ciekawa jestem, jak możesz być tego taki pewien.

- Wywnioskowałem ze sposobu, w jaki na siebie patrzyli podczas ostatniego tańca.

- Byli sobą oczarowani.

- Właśnie. - Thomas upił łyk koniaku i odstawił kieliszek. - Oczarowani.

Oparła głowę na poduszce i spojrzała na jego skrzyżowane na stoliku stopy. Przy jej stopach wydawały się ogromne. Sama też była oczarowana. Zamknęła oczy.

- Jestem twoim dłużnikiem - stwierdził po chwili Thomas. - Jestem ci wdzięczny za to, że przyjechałaś do Wing Cove. Za to, że razem ze mną i z moim bratem starałaś się rozwiązać te wszystkie zagadki. Za to, że pomogłaś Cassie zdobyć Deke'a. Za...

- Nie mów - przerwała mu, nie otwierając oczu.

- Czego mam nie mówić?

- Nie mów, że za pójście z tobą do łóżka, bo nigdy ci tego nie wybaczę.

- Wcale nie zamierzałem tego powiedzieć.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Thomas przygląda się z namysłem jej stopom.



- A co chciałeś powiedzieć?

- Chciałem ci podziękować za to, że jeszcze trochę zostaniesz w Wing Cove.

- Ach, to.

- Tak, to. Muszę cię o coś zapytać.

- O co?

- O to, co mówiłaś przedtem. Że byłbym dobrym ojcem. Naprawdę tak myślisz?

- Tak. - Umilkła. Kiedy się nie odzywał, zaryzykowała szybkie spojrzenie na jego ostry profil. - Dlaczego?

- Byłem ciekaw, dlaczego to powiedziałaś.

- Wiesz, jak się zaangażować w związek i go utrzymać. Moim zdaniem to najważniejszy element ojcostwa.

- Nie sądzisz, że jestem trochę za stary na ojca?

- Nie.

Wyjął z jej ręki kieliszek i postawił na stoliku obok swojego. Położył Leonorę na sofie i sam wyciągnął się przy niej. Był ciepły, ciężki i podniecony.

Wzięła w dłonie dwa luźne końce krawata.

- Kocham cię - powiedziała.

- A ja zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

- Niemożliwe. - Zmarszczyła nos. - Traktowałeś mnie jak kłamczuchę i złodziejkę.

- Jedno z drugim nie miało nic wspólnego. - Wziął jej twarz w dłonie. - Przez jakiś czas bardzo się denerwowałem.

Całował ją długo i mocno.

Siedzieli w dużym pokoju w jej domu i patrzyli na ogród. Nalała im po kieliszku zabawnego, pomarańczowego likieru, który dostała od Leonory na dzień matki. Telewizor nadal był włączony, ale dźwięk wyłączyła godzinę temu.

Oboje z Herbem widzieli nocny film czterdzieści lat temu, kiedy wszedł na ekrany. Romantyczna komedia. Znali zakończenie. Żadne z nich w prawdziwym życiu nie przeżyło nic, co miało coś wspólnego z tą hollywoodzką wersją miłości, ale to im nie przeszkadzało.

Gloria pomyślała, że im człowiek jest starszy, tym lepiej rozumie, że rzeczywistość i fikcja nie muszą do siebie pasować.

Spojrzała z zadowoleniem na swoje kostki. Prawie nie spuchły i wyglądały dość atrakcyjnie.

Rzuciła okiem na Herba. On też nieźle wyglądał. Rozluźniony. Jakby trochę młodszy. W każdym razie tryskający energią. Ona też czuła się ożywiona.

- Jak myślisz - spytała - są już w łóżku? Herb spojrział na zegarek.

- Mam nadzieję. Jeżeli nie, to nie moja wina. Doradca może tylko doradzać.

Potem zainteresowani muszą wziąć sprawy w swoje ręce.

Gloria przypomniała sobie podekscytowany głos Leonory, kiedy pytała przez telefon, co jej przyjaciółki powinny włożyć na przyjęcie.

- Moim zdaniem ona się zakochała. Tym razem na serio. W przypadku Kyle'a Dellinga tylko udawała, bo tak wypadło.

Herb uniósł w górę kieliszek.

- Wypijmy za miłość. Wypili.

Herb znów spojrział na zegarek.

- Skoro mowa o łóżku, to powinniśmy się pospieszyć. Wziąłem tę małą niebieską pigułkę czterdzieści minut temu, Efekty nie trwają wiecznie.

- Nic nie trwa wiecznie. Dlatego trzeba chwycić życie na gorąco.

- Wiem. To co, chwytamy je zaraz? Gloria uśmiechnęła się.

- Masz dar przekonywania. Odstawiła kieliszek i wstała z fotela.

Nie używała balkonika, bo Herb trzymał ją pod ramię. Razem przeszli do ciemnej sypialni.

- A nasza umowa? - spytał Herb po jakimś czasie. Gloria roześmiała się.

- Wreszcie udało ci się załatwić sprawę przez łóżko. Jutro obok twojej rubryki zamieszczę twoje zdjęcie i imię.

## ROZDZIAŁ 22

Telefon w biurze obok biblioteki zadzwonił piętnaście po trzeciej w poniedziałkowe popołudnie. Po raz pierwszy tego dnia. Leonora wzdrygnęła się na ten niespodziewany dźwięk. Nagły przypływ adrenaliny nie był specjalnie przyjemny.

Wcześniej tłumaczyła sobie, że te dziwne, nerwowe reakcje muszą być rezultatem stresu, na jaki była narażona przez ostatnich parę dni, oraz faktu, że znów miała sen o lustrach. Teraz jednak zastanawiała się, czy to przypadkiem nie jest wpływ ponurej atmosfery panującej tego dnia w Domu Luster.

W całym budynku była tylko Roberta i ona. Po całych dniach gorączkowych przygotowań przed zjazdem absolwentów, teraz panowała tu martwa cisza.

Telefon zadzwonił! po raz drugi. Leonora zamknęła książeczkę o wykorzystaniu luster jako symboli w sztuce i wstała zza biurka. Weszła do małego biura i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Okropnie tu dziś spokojnie, prawda? - powiedziała Roberta. Leonora poczuła lekką ulgę.

- Wręcz niesamowicie.

- Zawsze tak jest w poniedziałki po weekendowych zjazdach absolwentów. Zrobiłam kawę. Pomyślałam, że na chwilę przerwę pracę. Zejdzie pani do mnie?

Wzdrygnęła się na myśl o kawie Roberty, ale potrzebowała czegoś, co oderwałoby jej myśli od dziwnego nastroju.

- Dziękuję, już schodzę.

Odłożyła słuchawkę i szybko wyszła na mroczny korytarz. Kiedy schodziła szerokimi schodami, miała wrażenie, że dziwny ponury nastrój unosi się z parteru, aby wyjść jej naprzeciw. Dom Luster był dziś innym światem. Błyskotliwy przepych sobotniego wieczoru gdzieś przepadł. Wróciło poczucie zawieszenia w czasie.

Wrażenie nieuchronnego nieszczęścia stawało się coraz silniejsze. Z trudem pokonała ostatnie stopnie.

To szaleństwo! Co jej jest? Może to początek jakiejś choroby? Pomyślała, że filiżanka kawy dobrze jej zrobi. A jeszcze bardziej od kawy potrzebowała towarzystwa drugiego człowieka.

Błysk z monitora komputerowego odbijał się w szklach okularów Deke'a. Uderzał w klawiaturę z wprawą magika.

- W porządku, wszedłem - mruknął, nie odrywając wzroku od ekranu. - Mam konto Kerna. I co teraz?

Thomas odwrócił się od okna i podszedł do biurka, zaglądając bratu przez ramię.

- Teraz poszukamy jakichś regularnych wypłat. Czegoś, co Elissa Kern uważała za dowód, iż jej ojciec płaci! Rhodesowi za milczenie.

- Nadal nie rozumiem sensu tych poszukiwań. Stovall powiedział nam, że Rhodes szantażował Kerna. To nic nowego. W dodatku obaj nie żyją.

- Usiłuję rozwiązać pewne wątpliwości.

- Jakie wątpliwości? - zapytał zniecierpliwiony Deke. - Ta sprawa jest zakończona.

- Czyja wydziwiałem, kiedy zachowywałeś się jak kompletny wariat, bo domagałeś się szukania mordercy Bethany?

- Owszem. Przypominam sobie liczne wykłady na temat oderwania się od przeszłości i życia przyszłością. I jeszcze sugerowałeś, że powinienem pójść do psychiatrii.

- A teraz ja zachowuję się jak wariat. Pomóż mi.

- Jak sobie życzysz. - Deke wrócił do komputera. - Ale muszę ci powiedzieć, że zamierzałem spędzić dzień w łóżku na ćwiczeniach jogi.

Roberta stała za biurkiem, wkładając fotografie w ramkach do jednego z trzech kartonowych pudeł. Na widok Leonory uśmiechnęła się z ulgą.

Nie tylko mnie dręczy dziś niepokój, pomyślała Leonora. Przygniatająca atmosfera wpłynęła także na Robertę.

- O, dobrze, że pani jest - powiedziała Roberta. - Proszę usiąść. - Z wyraźną ulgą odłożyła fotografię, którą zamierzała schować do pudła i podeszła do stolika z ekspresem do kawy. - Dziękuję, że pani przyszła.

- Cieszę się, że pani po mnie zadzwoniła. Praca i tak nie bardzo mi szła. To miejsce robi dziś jeszcze dziwniejsze wrażenie niż zwykle.

- Zgadzam się. A przecież jestem przyzwyczajona do Domu Luster. - Roberta naląła kawy do dwóch filiżanek. - To chyba nie był najlepszy pomysł, żeby akurat dzisiaj się pakować. Spędziłam tu tyle lat i mam tyle wspomnień. Ale kiedyś trzeba to zrobić.

- Wyobrażam sobie, że to musi być bardzo dziwne uczucie, odchodzić stąd po tylu latach. - Leonora usiadła w jednym ze skórzanych foteli i spojrzała na stos

fotografii na biurku. - Jak wyprowadzka z domu, w którym się długo mieszkało.

- Zdradzę pani pewien sekret. - Roberta odstawiła dzbanek z kawą. - To biuro przez te wszystkie lata było więcej niż miejscem pracy. Było jak dom. Nawet wtedy, gdy żył mój mąż. Mleko czy cukier?

- Nic, dziękuję.

- Ach, prawda, zapomniałam. Pani pije czarną kawę bez cukru. - Roberta postawiła filiżanki na biurku.

Leonora wypila mały łyżeczek. Kawa miała jeszcze bardziej gorzki smak niż ostatnim razem, ale może ona się po prostu nie zna. Nie znosiła kawy, ale postanowiła wypić przynajmniej pół filiżanki.

Roberta nie była małą kobietą. Fotel jęknął pod jej ciężarem, gdy usiadła.

- Może obie powinnyśmy dziś wcześniej pójść do domu - powiedziała w zamyśleniu. - Nie ma tu nic pilnego do zrobienia.

- To niezły pomysł - przyznała Leonora i spojrzała na pudła na biurku. - Gdzie pani powiesi te wszystkie zdjęcia?

Roberta przyjrzała się fotografiom, lekko przechylając głowę na bok.

- Jeszcze nie wiem. Być może na ścianie w kuchni, ale to nie będzie to samo. Nic już nie będzie takie samo. Nawet jak człowiek myśli, że jest przygotowany na zmianę, i tak zawsze przeżywa szok, prawda?

Leonora pomyślała o tym, jak bardzo zmieniło się jej życie.

- To prawda, czasem jednak szok bywa pożyteczny.

- Może ma pani rację. - Roberta piła kawę i z namysłem przyglądała się jednej z fotografii. - Szkoda, że George nie dożył tego rejsu. Byłby zachwycony.

- George?

- Mój świętej pamięci mąż. Był etatowym profesorem na wydziale chemii, tutaj, w Eubanks. - Wokół ust Roberty uwydatniły się bruzdy. - Był typowym roztargnionym naukowcem. Żył wyłącznie swoją pracą. Gdyby mógł, nie opuszczałby laboratorium. Tam zresztą zmarł. Czasem zastanawiam się...

Przerwał jej odgłos kroków w korytarzu. Gwałtownie podniosła głowę. Leonora aż podskoczyła. Były pewne, że poza nimi dwiema w Domu Luster nikogo nie ma.

- Przypuszczalnie któryś z asystentów studentów. - Roberta odstawiła filiżankę i wstała. - Zapowiadałam, że dziś nikogo tu nie oczekuję, ale wie pani, jacy są studenci. Trzeba im wszystko powtarzać przynajmniej trzy razy, żeby zdołali zapamiętać. Przepraszam, zaraz wracam.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Leonora usłyszała z korytarza jej stłumiony głos.

- Co ty tu robisz, Julie? Mówiłam, żeby nikt dzisiaj nie przychodził...

Leonora spojrzała na niedopitą kawę. Potrzebowała ciepła i kofeiny, ale smak kawy wprost ją odrzucał. Nie mogła przełknąć kolejnego łyka, choć, z drugiej strony, nie chciała być niegrzeczna.

Kiedy wstała, zakręciło jej się w głowie. Przerazona złapała za brzeg biurka, bojąc się, że zaraz zemdleje.

Niemile uczucie po chwili minęło. Kiedy pokój przestał wirować, powoli podeszła do donicy z palmą i wylała resztę kawy, która wsiąkła w ciemną ziemię.

Gdy się odwróciła, pokój znów lekko się zakołysał i choć zaraz znieruchomiał, Leonora poważnie się zaniepokoiła. Coś było nie w porządku.

Musi wrócić do domu i zadzwonić do lekarza. Nie, to bez sensu, pomyślała. Nie zna żadnego lekarza w Wing Cove. Zadzwoni do Thomasa.

Tak, to dobry pomysł. Thomas zawiezie ją do lekarza.

Jednak potrzebuje kluczyków od samochodu. Kluczyki są w torbie, a torba w bibliotece.

Łatwe. Musi pójść do biblioteki i wziąć torbę.

Pierwszy krok - przejść przez drzwi.

Ale o co chodziło z tymi drzwiami? Ach, tak, przypomniała sobie, co powiedziała Roberta pierwszego dnia, kiedy oprowadzała ją po Domu Luster „Moje drzwi są zawsze otwarte”.

Teraz jednak drzwi Roberty były zamknięte. Zauważyła, że na odwrocie wisiało stare lustro.

Ośmiokątne wypukłe lustro w wymyślnej ramie z wytartego srebra. Smoki, gryfy i sfinksy wiły się i brykały na brzegach ciemnego szkła. Na szczycie lustra widniał feniks.

Prawdopodobnie koniec osiemnastego wieku, pomyślała Leonora. Dzięki lekturom, którym poświęcała czas w bibliotece, stawała się prawdziwym ekspertem.

Widziała to lustro na jakiejś ilustracji, ale nie pamiętała tytułu książki.

Pokój znów lekko zawirował.

Podeszła chwiejnym krokiem do biurka i oparła się o nie, czekając, aż zawrót głowy minie.

Kiedy świat wrócił do równowagi, spojrzała w stare lustro.

I nagle, przez mgłę, która spowijała jej umysł, przypomniała sobie, gdzie widziała zdjęcie tego lustra.

Na osiemdziesiątej pierwszej stronie *Katalogu antycznych zwierciadeł w kolekcji Domu Luster*.

Zdała sobie sprawę, że Roberta, siedząc za biurkiem, przy zamkniętych drzwiach, widziała w lustrze swoje odbicie.

Twarz mordercy.

Takie posłanie zostawiła Bethany, która mimo halucynacji, obrysowała zdjęcie lustra w katalogu.

Pokój znów zawirował.

Narkotyki. Dostała narkotyki. Jak Bethany. Jak Meredith.

Oddechnęła głęboko. Pokój znieruchomiał. Powoli okrążyła biurko. Może Julie jeszcze tu jest. Poprosi, aby zawiozła ją do domu. Roberta nie będzie mogła powstrzymać ich obu.

Kiedy doszła do drzwi, nie spojrzała w głąbię wypukłego lustra. Bała się tego, co w nim zobaczy. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Na korytarzu nie było śladu Roberty ani Julie, ale Leonora słyszała głosy, które dochodziły gdzieś z głównego holu. Zbyt daleko, aby mogła usłyszeć, o czym mówiono.

Ale w tej samej chwili usłyszała odgłos zamykanych drzwi.

Julie wyszła. Strach groził paralizem. Najprościej byłoby usiąść i zamknąć oczy. Jeszcze nie możesz zasnąć.

Oczywiście nie mogła usiąść i zasnąć. Co jej jest? Musi stąd wyjść. Wypiła tylko kilka łyków kawy z narkotykiem, a nie całą filiżankę. Może wyjść.

Pomyśleć przez chwilę.

Dobrze, nie może liczyć na pomoc Julie. Musi radzić sobie sama.

Kluczyki. Potrzebuje kluczyków do samochodu.

Opanowała panikę i ruszyła korytarzem do głównych drzwi.

Z daleka usłyszała kroki. Roberta wracała do biura.

Szybko, musi się pospieszyć. Biblioteka. Kluczyki.

Teraz była już na schodach. Stawiała jedną nogę za drugą.

Stopnie były nierówne. Niektóre za wysokie, inne za niskie. Obiema rękami trzymała się poręczy i wykorzystywała ją jak alpinista wykorzystuje linę poręczową.

- Leonoro? - zawołała Roberta z dołu. - Gdzie pani jest? Widzę, że wypila pani

kawę. Na pewno jest pani zamroczona.

Czas uciekał. Roberta jej szuka.

Weszła na górę, ale musiała na chwilę przystanąć, żeby zorientować się w sytuacji. Korytarz ciemnych luster stał się dziurą wydrążoną przez komiki, krętą ścieżką do innego świata. Panika spowodowała przyływ adrenaliny.

Zapomnij o dziurze. Nie myśl o świecie po drugiej stronie lustra. Nie idziesz tam. Jesteś tu, żeby wziąć kluczyki do samochodu.

- Zawiozę panią do domu. Morderca był już na schodach.

Chwiejnym krokiem szła wirującym korytarzem. W jednym z ciemnych luster po lewej stronie dostrzegła błysk odbicia. Własnej twarzy? Czy jednego z uwięzionych duchów, który się z niej naśmiewał?

Nie ma czegoś takiego jak duch w lustrze. Jesteś wykwalifikowaną bibliotekarką. Nie wierzysz w duchy. Nie wypijaś całej kawy. Idź. Jeśli się zatrzymasz, umrzesz.

Z determinacją wpatrywała się w podłogę, licząc drzwi, nie spoglądając w lustra. Drzwi do biblioteki są czwarte od lewej. Bardzo dobrze to pamiętała.

- Jestem pewna, że ma pani okropne halucynacje - powiedziała Roberta ze szczytu schodów. - Dałam pani dużą dawkę, a narkotyk działa bardzo szybko. Mój mąż wyprodukował ten narkotyk tuż przed śmiercią.

Nie słuchaj. Licz drzwi.

- Kochany George. Był naprawdę mądry, ale nie poznał się do końca na swoim wynalazku. Ja oczywiście wiedziałam, jakie ma możliwości. I musiałam się pozbyć George'a. Najpierw jednak kazałam mu zapisać wzór. To bardzo proste, kiedy ma się właściwe składniki. Można go zrobić we własnej kuchni.

Leonora starała się nie słuchać głosu Roberty. Musiała się skupić na liczeniu drzwi.

Dwa.

Trzy.

W żołądku miała bryłę lodu. Biblioteka była za daleko. Roberta dopadnie ją, nim tam dojdzie.

Jakoś minęła trzecie drzwi. Coraz trudniej było nie patrzeć w lustra. I ogarniało ją coraz większe zmęczenie. Wielkie, wielkie zmęczenie.

Coś zabłysło przelotnie w złoconym lustrze z prawej strony. Nie mogąc się powstrzymać, spojrzała w głąbię zwierciadła. Nie potrafiła zidentyfikować odbicia, ale



słyszała słowa w swojej głowie. Słowa ze snu.

Nie możesz jeszcze zasnąć.

Kluczyki do samochodu.

I po co jej te kluczyki? Nie uda jej się uciec przed Robertą. Równie dobrze może usiąść na korytarzu i poczekać na koniec.

Nie, nie może. Umówiła się z Thomasem na kolację.

Ta myśl dodała jej energii.

- Narkotyki może mieć różne stężenie. Słabsza wersja wywołuje halucynacje i powoduje, że człowiek staje się podatny na sugestię. Silniejsza wersja także tworzy halucynacje, ale nie trwają one długo. Człowiek szybko staje się senny. Bardzo szybko.

Idź, ruszaj się.

- Oczywiście dałam pani mocniejszą dawkę. Taką samą jaką dałam Bethany Walker i Meredith Spooner.

Jedną ręką oparła się o ścianę i odwróciła głowę. Roberta wylaniała się spomiędzy cieni. Trzymała coś w dłoni. Pistolet.

- To pani zabiła Rhodesa - szepnęła Leonora, z trudem formułując słowa. - Thomas i Deke widzieli panią tamtego wieczoru.

- A, pan Rhodes. Taki przystojny mężczyzna. To on wymyślił nazwę dla mojego narkotyku. Dymy i Lustra. Bardzo mi się podobała. Uważał, że odpowiednia nazwa jest niezbędna w marketingu. Wydaje mi się, że zaczerpnął pomysł z Domu Luster.

- Skąd wiedział... Skąd wiedział o pani? I o narkotyku?

- Domyślił się, że produkuję narkotyki tej nocy, kiedy zepchnęłam Bethany ze skały.

- Skąd wiedział, że to pani ją zabiła?

- Muszę przyznać, że zachowałam się trochę bez troski. Alex wracał do domu dość późno. Mijał Dom Luster, kiedy wsadzałam Bethany do samochodu. Widział, że coś jest nie w porządku. Pojechał za mną i zobaczył, jak zepchnęłam ją ze skały. Następnego dnia ostrożnie rozpuściłam plotki o tym, że Bethany zażywała narkotyki. Alex dodał dwa do dwóch.

- Chciał panią szantażować?

- Nie, zaproponował mi współpracę. Ja byłam producentem i dostawcą. On sprzedawał gotowy produkt. Miał w tej dziedzinie doświadczenie, którego mi brakowało. Oczywiście większość transakcji dotyczyła klientów spoza Wing Cove, Obawiał się, że jeśli będzie sprzedawał za dużo na miejscu, wkrótce się rozniesie, że to

on jest dilerem. Nie mógł jednak się powstrzymać przed eksperymentowaniem od czasu do czasu, zwłaszcza na klientkach.

- Dlaczego... Dlaczego go pani zabiła, jeśli dobrze się wam współpracowało?

- To była spółka przynosząca nam obojgu duże korzyści, ale kiedy wszystko zaczęło się sypać, doszłam do wniosku, że muszę zrobić porządek przed wyjazdem z miasta. Pan Rhodes za dużo o mnie wiedział. Nie mogłam zostawić go przy życiu, prawda?

- Dlaczego... Dlaczego zabiła pani Meredith Spooner?

- Ponieważ z jakiegoś powodu, którego nigdy nie odkryłam, za bardzo interesowała się okolicznościami śmierci Sebastiana Eubanksa. - Roberta zmarszczyła brwi. - Udało jej się powiązać jego śmierć z samobójstwem Bethany. Zupełnie nie rozumiem, jak na to wpadła. Ale teraz to już nieważne, prawda?

- Dlaczego dała mi pani narkotyk? Po śmierci Aleksa nic pani nie groziło. Nikt pani o nic nie podejrzewał.

Roberta zacisnęła dłoń na pistolecie.

- Nie mogłam stąd wyjechać i pani nie ukarać. To pani narobiła zamieszania w Wing Cove. To pani o mało wszystkiego nie popsuła. Musi pani zapłacić za wszystkie moje kłopoty.

- Dlaczego pani nic nie jest? - spytała szeptem Leonora. - Pani też piła tę kawę.

Roberta zachichotała.

- Narkotyk nie był w kawie. To jest proszek, który po prostu wsypałam do pani filiżanki przed nalaniem kawy. Natychmiast się rozpuszcza.

Miała jeszcze inne pytania, ale teraz musi zająć się ważniejszymi sprawami. Na przykład, jak przeżyć. Umówiła się z Thomasem na kolację. Nie może się spóźnić.

Na to bardzo ważne spotkanie.

O, cholera, traciła orientację. Pora wziąć się w garść.

Zdała sobie sprawę, że osuwa się po ścianie i ogarnął ją strach. Zamknęła oczy, zmobilizowała się i wyprostowała. Musi oprzeć się dwiema rękami o ścianę, żeby utrzymać równowagę.

Kiedy otworzyła oczy, stwierdziła, że wpatruje się w ciemne lustro oprawione w pozłocaną drewnianą ramę.

Jeszcze nie możesz zasnąć.

Wyciągnęła obie dłonie, złapała za ramę i zdjęła lustro z haka. Było ciężkie.

- Co pani robi? - spytała Roberta. - Proszę to odłożyć. Musimy iść. Trzymała

lustro, nie odwracając oczu od jego niemal matowej powierzchni.

- Dokąd idziemy?

- Do pani samochodu, oczywiście.

- Żeby mogła zasnąć za kierownicą, tak jak... Tak jak Meredith?

- Przecież chce się pani spać.

- Jeszcze nie mogę zasnąć.

- Niech pani odłoży lustro, Leonoro.

Zignorowała jej polecenie. Wpatrując się w lustro, jakby zahipnotyzowana własnym odbiciem, odwróciła się i chwiejnym krokiem weszła do biblioteki.

Pomyślała, że Roberta jej nie zastrzeli, dopóki nie będzie naprawdę zdeterminowana. Trudno byłoby wytłumaczyć krew w bibliotece.

- Halucynacje są już na pewno okropne. - Roberta stanęła w drzwiach. - Nie chce pani pójść spać? Jest pani bardzo śpiąca. Być może tym razem przygotowałam niewłaściwą mieszankę. Narkotyk jest nieprzewidywalny, a ja się spieszyłam. Ostatnio miałam naprawdę dużo zajęć w związku z pozbyciem się pana Rhodesa i Osmonda Kerna oraz szykowaniem zjazdu absolwentów.

- Kern. Jak pani spreparowała jego samobójstwo?

- Och, nie miałam z tym żadnych problemów. Był już dość pijany, kiedy zadzwoniłam i powiedziałam, że zdarzyło się coś ważnego i że musi się ze mną spotkać na przystani. Bez wahania wypił kawę, którą mu podałam. Przypuszczalnie sądził, że go otrzeźwi. Ale alkohol tylko wzmacnia działanie narkotyku. Wsadziłam go na łódź, wypłynęłam daleko od brzegu i wypchnęłam go za burtę. Potem wróciłam i puściłam łódź wolno.

- Thomas będzie wiedział. Jeśli mnie pani zabije, znajdzie panią.

- Nim policja skończy śledztwo w sprawie pani wypadku, mnie już tu dawno nie będzie. Nowe nazwisko, nowa tożsamość, nowe życie. Przygotowuję wszystko od kilku miesięcy.

- Nic!

Leonora uderzyła lustrem o metalowy szkielet najbliższego regału. Stare szkło roztrzaskało się na tysiąc błyszczących ostrych kawałków.

- No i co pani zrobiła? - Roberta zaśmiała się. - Siedem lat nieszczęścia. Ale nie pożyje pani tak długo. - Najwyraźniej spodobał jej się ten żart.

Leonora ukucnęła, powoli i ostrożnie, trzymając się jedną ręką regału.

- No, wreszcie panią zmgło - stwierdziła z zadowoleniem Roberta. - Idziemy.

Proszę wstać. Niedługo zaśnie pani na dobre.

Leonora milczała i wpatrywała się w lśniące kawałki szkła na podłodze.

- Straciłyśmy już dość czasu. - Roberta podeszła bliżej. - Musimy się wybrać na wycieczkę. Niech pani wstaje. Słyszysz pani? Proszę wstać.

Leonora przyglądała się kawałkom swego odbicia w rozbitym szkłe. Nadawały one nowego znaczenia słowom: „poskładać na nowo”.

Zaczęła chichotać.

- Dość! - Roberta przełożyła pistolet do lewej ręki i złapała Leonorę za ramię. Była dużą silną kobietą i nie spodziewała się oporu ze strony półprzytomnej ofiary.

Leonora nawet nie próbowała się opierać. Zebrała wszystkie siły i gwałtownie wstała.

Jednocześnie prawą ręką zamachnęła się w stronę twarzy Roberty.

Roberta zobaczyła długi ostry kawałek stłuczonego lustra w zaciśniętej dłoni Leonory. Szkło wbiło się w policzek.

Głośny krzyk odbił się echem w całej bibliotece.

Trysnęła krew. Nie tylko Roberty. Leonora poczuła, że szkło przecięło jej skórę dłoni.

Pistolet wypadł Robertce z ręki. Krzyknęła.

Leonora uniosła zakrwawioną dłoń i znów się zamachnęła. Tym razem nie trafiła, gdyż Roberta cofnęła się, zasłaniając twarz rękami.

Leonora rzuciła szkło i dwiema rękami chwyciła pistolet. Odwróciła się na pięcie. Przejście między regałami wirowało jej w oczach. Ruszyła w kierunku drzwi.

Wiedziała, że nie znajdzie kluczyków do samochodu ani że nie będzie w stanie prowadzić. Gdyby jednak doszła do ukrytych schodów prowadzących na drugie piętro, mogłaby w oczekiwaniu na pomoc zabarykadować się w wąskim przejściu. Wejście na klatkę schodową znajdowało się tuż za rogiem korytarza. Tylko nie może zasnąć.

Ciemna postać zasłoniła światło padające z korytarza.

- Leonoro - powiedział Thomas.

Poczuła cudowną ulgę i rzuciła się w jego wyciągnięte ramiona.

- Wiedziałam, że się zjawisz - szepnęła.

Jak przez mgłę zdała sobie sprawę z obecności Deke'a. Na drewnianej podłodze zastukały pazury. Wrench.

Gdzieś z tyłu Roberta zawyla z wściekłości. Leonorze udało się odwrócić głowę.

Roberta rzuciła się do drzwi z wielkim kawałkiem szkła w dłoniach.

- Cholera, ona zwariowała - powiedział Deke. - Zabierz ją stąd.

- Wrench. - Thomas pociągnął Leonorę na korytarz i skinął dłonią. Wrench przeleciał przez drzwi w całkowitej ciszy. Szybki drapieżnik skupiony na swoim zadaniu.

W bibliotece rozległ się krzyk Roberty.

Nie miała dokąd uciekać. Leonora usłyszała odgłos spadających książek. Ciało uderzyło o ziemię.

Podniosła głowę znad ramienia Thomasa i zajrzała do biblioteki. Roberta leżała na plecach między regałami, płacząc ze strachu i zasłaniając twarz krwawiącą ręką. Wrench stał nad nią, a jego spięta sylwetka dawała świadectwo wilczym genom.

- Podobno jest reinkarnacją pudła miniaturki - szepnęła Leonora.

- To musiał być odważny pudel - odparł Thomas. - Hej, ty krwawisz.

Chciała się uśmiechnąć, ale była zbyt zmęczona. Thomas wziął ją na ręce. Co za cudowne uczucie.

Kiedy się odwrócił, żeby zejść po schodach, spostrzegła cień odbicia w dziwnym lustrze, w którym powstawały podwójne wizerunki.

Przez chwilę wydawało jej się, że zobaczyła znajomą twarz, uśmiechającą się z drugiej strony lustra.

Teraz możesz już zasnąć; on będzie przy tobie, gdy się obudzisz. Pierwszej córce damy twoje imię. Wiem. Dziękuję. Do widzenia, siostrze. Do widzenia, Meredith.

Lustro było puste.

## ROZDZIAŁ 23

Następnego dnia zebrali się u Thomasa. Na kominku palił się przyjaźnie ogień. Kafelki błyszcząły. Deke i Cassie siedzieli koło siebie na kanapie, dotykając się kolanami.

Leonora rozłożyła się na jednym z foteli, z nogami wyciągniętymi w stronę płomieni. Miała zabandażowane dłonie i wciąż czuła się osłabiona, ale lekarstwo, które dostała w szpitalu pomogło zneutralizować większość narkotycznej substancji w jej organizmie. Czuła się znacznie lepiej.

Thomas zajmował drugi fotel. Wrench spał na podłodze.

Ed Stovall siedział sztywno wyprostowany na krześle. Nie wyjął notesu. Wyjaśnił na wstępie, że to ma być rozmowa całkowicie prywatna. Poza protokołem.

- Nie jestem psychiatrą ale Roberta Brinks musiała od dawna być kompletnie pokrecona, a wciąż ostatnich lat zwariowała do reszty - powiedział Thomas. - Stała się zwyczajną psychopatką. Taką, na którą nikt nie zwraca uwagi, dopóki nie zamorduje paru osób.

- Nadal nie mam pojęcia, skąd wam przyszło wczoraj do głowy, że grozi mi niebezpieczeństwo - odezwała się Leonora.

- Thomas chciał omówić kilka szczegółów, które nie dawały mu spokoju - wyjaśnił Deke, z ręką na kolanie Cassie.

- Chciałem ustalić, kto kogo szantażował. Kiedy Deke wszedł na konto Rhodesa, odkrył kilka dużych operacji z zeszłego roku. Pieniądze zostały wysłane na internetowe konto w zagranicznym banku. Początkowo zakładaliśmy, że to były pieniądze z szantażowania Osmonda Kerna.

- Ale żeby się upewnić, Thomas kazał mi sprawdzić także konto Kerna. Chciał się przekonać, czy sumy się zgadzają.

Cassie zmarszczyła brwi.

- I się nie zgadzały?

- Nie - powiedział Thomas. - W ogóle nie znaleźliśmy na koncie Kerna śladu dużych wypłat. Odkryliśmy jednak wiele małych przelewów na to samo konto w zagranicznym banku, przekazywanych regularnie pierwszego każdego miesiąca.

- Poszliśmy tym tropem i weszliśmy na stare zapisy z konta Kerna - wyjaśnił Deke. - Te opłaty ciągnęły się od wielu lat, choć konto za granicą pojawiło się dopiero trzy lata temu. Przedtem pieniądze szły na konto w Kalifornii. Udało nam się

dowiedzieć na czyje.

- Roberty Brinks? - spytała Leonora.

- Tak. - Thomas położył rękę na łbie Wrencha. - Osmond Kern płacił szantażystę przez prawie trzydzieści lat.

- Robercie Brinks, a nie Aleksowi Rhodesowi - stwierdziła Cassie.

- Dwie duże wpłaty Rhodesa na zagraniczne konto Roberty w tym roku nie miały nic wspólnego z szantażem. To była zapłata za narkotyki, które od niej dostał - powiedział Ed.

- Kiedy tylko zobaczyliśmy wpłaty z trzydziestu lat na konto Roberty Brinks, wiedzieliśmy, że sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż się nam wydawało - dodał Thomas.

Leonora oparła głowę o poduszki.

- Okazało się, że Osmond Kern był szantażowany przez Robertę prawie od śmierci Sebastiana Eubanksa. I istniało tylko jedno logiczne wytłumaczenie.

Ed skinął głową.

- Roberta Brinks wiedziała, że Kern zamordował Eubanksa i ukradł jego algorytm.

Kiedy Ed Stovall przybył do Domu Luster, Roberta o wszystkim mu opowiedziała.

Trzydzieści lat wcześniej była studentką anglistyki. Ciężko pracowała, żeby opłacić studia. Dawała korepetycje i zatrudniła się dodatkowo u Sebastiana Eubanksa.

- Wtedy był już takim paranoikiem, że nie wpuściłby do domu studenta matematyki czy innych nauk technicznych - wtrącił Deke. - Ale sądził, że studentka anglistyki nie ma pojęcia o matematyce, nawet gdyby udało jej się zobaczyć jego prace.

- Niedocenywanie studentów nauk humanistycznych zawsze się mści - zauważyła Leonora.

- Święta prawda - potwierdził Deke.

- Roberta była tam, gdy Kern przyszedł do Eubanksa - mówiła Leonora. - Kem jej nie widział, ale ona była świadkiem kłótni i morderstwa.

- O co się pokłócili? - spytała Cassie.

- Jak stwierdził Andrew Grayson, Kern znał się na tyle na pracach Eubanksa, że mógł docenić ich wartość - wyjaśnił Ed. - Twierdził, że ponieważ pracowali razem przez jakiś czas, miał prawo podpisać się pod teorią algorytmu i domagał się

dołączenia jego nazwiska. Eubanks w ogóle nie chciał publikować swojej teorii. Był przekonany, że algorytm stanowił jedynie wstęp do ważniejszego dzieła. Wyciągnął pistolet. Zaczęli się szamotać. Eubanks zginął. Kern był zaskoczony i nie wiedział, co robić. Roberta obiecała mu, że wszystkim się zajmie.

- I to właśnie zrobiła - wtrącił się Thomas. - Odwiozła Kerna do domu. Następnego dnia poszła do niego do pracy. Nadal był zdenerwowany. Spanikowany. Roberta namówiła go, aby opublikował teorię algorytmu pod własnym nazwiskiem. Zyskałby sławę i pieniądze, a także perspektywę solidnej kariery naukowej.

- I Kim się zgodził - dorzucił ponuro Deke. - Gdy jednak teorię przyjęto do druku, Roberta znów go odwiedziła. Tym razem podała mu swoje warunki. Obiecała mu ochronę pod warunkiem, że będzie jej płacił. Siebie zabezpieczyła w ten sposób, że schowała w sejfie opis morderstwa i kopie wczesnych notatek Eubanksa na temat algorytmu.

Cassie pokiwała głową.

- A więc gdyby jej się coś stało, Kern także byłby skompromitowany.

Thomas podrapał psa za uszami.

- Administracji tak bardzo zależało na wyciszeniu sprawy, że nikt nie zadawał pytań Robercie ani Kernowi. Przez prawie trzydzieści lat wszystko szło gładko. Kim stał się sławny i bogaty. Roberta rzuciła studia i wyszła za chemika. Leonora westchnęła.

- Jeszcze jeden PM, co zszedł na złą drogę.

- Co to znaczy? - spytał Ed, marszcząc brwi.

- Prawie magister - wyjaśniła Leonora. - To taki akademicki żarcik.

Ed się nie uśmiechnął. Thomas chrząknął.

- Roberta postanowiła poświęcić karierę anglistki na rzecz administrowania Domem Luster i organizowania zjazdów absolwentów. Jednocześnie tworzyła sobie prywatny fundusz emerytalny, szantażując Kerna.

- A potem znalazła drugie źródło dochodów, kiedy kilka lat temu jej mąż wynalazł ten halucynogeny narkotyk - dodała Leonora. - Jako typowa oportunistka natychmiast postanowiła go wykorzystać, choć nie miała doświadczenia w rozprowadzaniu nielegalnych substancji. Miała szczęście, że nikt jej nie przyłapał na eksperymentowaniu na studentach.

- Tymczasem Bethany zajęta była pracą nad swoją teorią luster - podjął wątek Deke. - W trakcie badań znalazła notatki, które przekonały ją, że to Eubanks, a nie



Kern, wynalazł algorytm. Poszła do niego, żądając wyjaśnień. Kern wpadł w panikę. Kiedy Bethany wyszła, zadzwonił do Roberty.

- A ona od razu zrozumiała, że praca Bethany może skompromitować Kerna i zrujnować jej plany finansowe - stwierdził Thomas. - Dlatego zaprosiła Bethany do biura, podała jej kawę z narkotykiem i zaaranżowała samobójstwo.

- Ale zanim narkotyk zaczął działać, Bethany udało się zostawić informacje na temat tożsamości morderczynie - dodał Deke. - Musiała mieć straszne halucynacje, jednak wszędzie wisiały lustra, a przecież od kilku miesięcy myślała o lustrach w kategoriach metaforycznych i matematycznych. Z pewnością nie była w stanie napisać niczego sensownego, wzięła więc katalog starych luster i zakresliła kółkiem zdjęcie tego, które ukazywało jej morderczynie. I ukryła katalog wraz z wycinkami za regałem u siebie w bibliotece.

- Alex Rhodes był świadkiem tak zwanego samobójstwa Bethany - powiedział Ed. - Domyślił się, że narkotyki pochodziły od Roberty Brinks i wszedł z nią w spółkę.

- Przez jakiś czas wszystko się układało - wtrącił Deke. - Nikt nie chciał słuchać szalonych braci Walkerów i ich żądań kolejnego śledztwa.

- Tak bym nie powiedziała - stwierdziła z namysłem Cassie. - To, że domagaliście się wyjaśnień, pchnęło Robertę do rozpowszechniania plotek o zażywaniu narkotyków przez Bethany. Uważała, że to będzie prostą i wiarygodną odpowiedzią na podejrzenia morderstwa.

- Mnie nie przekonała - zaprotestował Deke.

- Nie - przyznała Leonora. - To ją poważnie zaniepokoiło. Pół roku później pojawiła się Meredith, aby urzeczywistnić swój plan defraudacji pieniędzy. Na krótko wdała się w romans z Thomasem i dzięki temu dowiedziała się, że Deke miał poważne wątpliwości co do okoliczności samobójstwa Bethany.

- Nie romansowałem z Meredith - zaprzeczył spokojnie Thomas. - Spotkaliśmy się kilka razy.

- Meredith i Thomas zerwali ze sobą po kilku spotkaniach - stwierdziła gładko Leonora - i Meredith kontynuowała plan przejęcia pieniędzy. Spotkała się kilka razy z Alekssem Rhodesem, gdyż prawdopodobnie chciała go wykorzystać jako źródło informacji na temat miejscowych stosunków. Odkryła, że sprzedawał narkotyki i przestała się z nim spotykać.

- W którymś momencie znalazła katalog luster i kopertę z wycinkami - powiedział Thomas. - Odgadła, że zainteresowałyby mnie i Deke'a. Nie chciała jednak

ryzykować własnego planu, który był niemal na ukończeniu, i dlatego schowała obie te rzeczy do sejfów.

- A potem popełniła fatalny błąd - dodał Deke. - Przez pół roku pracowała z Robertą Brinks i zdążyła się zorientować, że Roberta była tu już w czasie zabójstwa Eubanksa. Usiłowała wyciągnąć z niej jakieś informacje. Gdy tylko zaczęła zadawać pytania, jej los był przesądzony.

- Roberta udawała, że nie ma o niczym pojęcia, ale bardzo się zdenerwowała - stwierdziła Leonora. - Najpierw Bethany interesowała się morderstwem Eubanksa, a teraz o to samo pytała kolejna osoba. Zaczekała, aż Meredith wyjedzie z Wing Cove i skontaktowała się z nią pewnego dnia przez Internet, pisząc, że znalazła coś ciekawego w sprawie zabójstwa Eubanksa. Spotkała się z nią w Los Angeles, zaprosiła na kolację, nafaszerowała narkotykami i zaaranżowała wypadek. Kiedy wiadomość o śmierci Meredith dotarła do Wing Cove, Roberta dowiedziała się, że Deke rozgłasza nową teorię spiskową.

Ed pokiwał głową.

- I zaczęła drugą rundę plotek w nadziei, że zapobiegnie poważnemu śledztwu.

- W końcu zaszkodziło jej to, że nikt z nas nie uwierzył w pogłoski o narkotykach - zauważył Thomas.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu.

W końcu Ed wstał z krzesła.

- Dziękuję za rozmowę. Muszę już iść, mam mnóstwo papierkowej roboty.

Thomas odprowadził go do drzwi, wyjmując z szafy kurtkę Eda. Ed, zapinając suwak, z aprobatą patrzył na kafelki na ścianach.

- Pierwszy raz tu jestem, odkąd kupił pan ten dom, Walker. Bardzo ładnie go pan odnowił.

- Dziękuję.

- Niech mi pan da znać, jak będzie go pan chciał sprzedać. Elissa i ja bierzemy ślub na wiosnę. Szukamy domu. Elissa nie chce mieszkać w starym "domu ojca, a moje mieszkanie jest za małe.

- Będę pamiętał.

Ed wyszedł na werandę. Thomas zamknął za nim drzwi i wrócił do pokoju. Na widok pytającego spojrzenia Leonory rozłożył ręce i uśmiechnął się z satysfakcją.

- Mówiłem ci, że moje domy zawsze znajdują odpowiednich właścicieli.

- A my? - spytała. - Gdzie będziemy mieszkali?

- Jeszcze nie wiem. - Rozejrzał się. - W każdym razie nie tutaj. Przynajmniej  
niezbyt długo.

- Dlaczego nie? Lubię ten dom. Znow się uśmiechnął.

- Jest za mały. Potrzebujemy więcej miejsca. Dla dzieci.

## ROZDZIAŁ 24

Tydzień później Leonora siedziała w dużym pokoju z Thomasem i Wrenchem. Na stole stała miska prażonej kukurydzy. Większość znikła w pysku psa.

- Chciałem ci to dać, zanim jutro pojedziemy na lotnisko po twoją babcię i Herba - powiedział Thomas, podając jej małe pudełeczko.

Uważnie mu się przyjrzała.

- Bardzo małe narzędzia?

- Nie całkiem.

Dała psu ostatnie ziarnko kukurydzy, wytarła ręce w serwetkę i otworzyła pudełko.

Na ciemnym aksamicie błyszczał pierścienek.

- Odpowiedź brzmi: „tak” - powiedziała uszczęśliwiona.

- Jeszcze ci nie zadałem żadnego pytania.

- Nie szkodzi. Odpowiedź nadal brzmi „tak”.

- Lubię kobiety, które wiedzą, czego chcą.

- Nigdy w życiu nie byłam niczego bardziej pewna.

- Ja też nie. Pocałował ją.

U boku Thomasa Walkera nie grożą człowiekowi iluzje czy fałszywe odbicia w lustrze, pomyślała. Thomas jest prawdziwy. Tak samo jak jego miłość.